SPRAWA PANI IZY Z PSZCZYNY BYŁA MANIPULACJĄ?
SZOKUJĄCE USTALENIA

POLSKA, ŚWIAT, PANDEMIA – PROGNOZY NA ROK 2022

WILDSTEIN: ESEJ O KRYZYSIE EUROPY

TUSK I APPLEBAUM SIĘ WYGADALI

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 52 (474-475) 2021/1 2022
27 XII 2021–9 I 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TAJEMNICA TAŚM JARUZELSKIEGO I MICHNIKA

CO CHCIAŁ UGRAĆ NACZELNY „GAZETY WYBORCZEJ”?
CO JESZCZE MOŻE WYPŁYNĄĆ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269205 01



Najlepszy pakiet e-prenumeraty

SIECI

3 e-booki w prezencie



TEOLOGIA TOLKIENA

Ukazuje chrześcijańskie prawdy wiary ukryte w losach bohaterów Śródziemia. Miłośnicy Tolkiena poznają go jeszcze lepiej, a wielbiciele teologii – dowiedzą się więcej o Bogu.

OJCIEC WOLNYCH LUDZI

Wciągająca opowieść oparta na faktach z życia Prymasa Tysiąclecia. Książka jest lekturą uzupełniającą dla szkół średnich.

SZUSTA RANO

Książka motywator o. Adama Szustaka z inspirującymi myślami na każdy dzień nadchodzącego 2022 r. Najlepiej ją czytać przy porannej kawie!

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl efefd978f4

Spokojnego w Państwa domach oraz Ojczyźnie
nowego 2022 roku
życzy redakcja tygodnika „Sieci”

Ofiara zemsty



Żeby zrozumieć istotę niecieka-wej operacji, której dokonano w majestacie prawa, trzeba się cofnąć do roku 2018. Oto podczas obrad Krajowej Rady Sądownictwa dochodzi do protestu z udziałem oddziałów szturmowych opozycji, w tym tzw. Obywateli RP. Ówczesny poseł Stanisław Piotrowicz, wybrany do KRS przez Sejm, odnosząc się do tej manifestacji, mówi dziennikarzom, że nie może być takiej sytuacji, by garstka niezadowolonych z utraty przywilejów blokowała prace organu konstytucyjnego. Dopytywany, o jakie przywileje chodzi, odpowiada: „Ano takie, żeby sędziowie, którzy są złodziejami, nie orzekali dalej”.

Ważny jest kontekst – media pokazują wtedy przypadki sędziów, którzy pomimo popełnienia czynów przestępczych nadal orzekają. Piotrowicz nie mówi też na konferencji, ale w przelocie, w trakcie swobodnej z natury wypowiedzi.

Media III RP rozpoczynają jednak akcję manipulacyjną. Wmawiają wszystkim, jakoby poseł Piotrowicz mówił o sędziach Sądu Najwyższego. Twierdzą, że „nazwał sędziów SN złodziejami”. Kolejne osoby są odpytywane, co sądzą o wypowiedzi Piotrowicza. Oczywiście podawana jest im ona w zmanipulowanej formie. To przygotowanie, by wytworzyć rzekomo pokrzywdzonych.

Następnie, ówczesna pierwsza prezes SN Małgorzata Gersdorf i sędzia SN Krzysztof Rączka składają pozew cywilny o ochronę dóbr osobistych przeciwko Piotrowiczowi. Sąd pozew przyjmuje mimo (potwierdzanej przez prawników, z którymi rozmawiałem) poważnej wątpliwości co do braku legitymacji procesowej powodów.

Sąd Okręgowy w Warszawie nie uważał też za stosowne wystąpić z wnioskiem do Sejmu o uchylenie immunitetu posła Piotrowicza, pomimo że jest on w KRS właśnie jako poseł! Sąd uznaje, że może go sądzić jako członka KRS. I to mimo że pozwani argumentują w pozwie, iż Piotrowicz jest „twarzą reformy wymiaru sprawiedliwości”. Czyli pozywają go jako posła! Sądowi ta oczywista sprzeczność nie przeszkadza.

W uzasadnieniu wyroku Sąd Okręgowy w Warszawie wskazał w styczniu, że „dziennikarze biorący udział w dyskusji z Piotrowiczem zrozumieli jego sporną wypowiedź jako słowa o sędziach SN, podobnie jak sami sędziowie tego sądu; tak samo zostały one zrozumiane przez część opinii publicznej, na co wskazywały m.in. komentarze w internecie”.

Biorąc pod uwagę moje doświadczenia z sądami – bardzo ciekawe. Czyli decyduje nie prawda obiektywna, nie realny kontekst wypowiedzi, ale zrozumienie jej przez media. Nie wszystkie przecież. Jak wielką władzę oddaje to w ręce naszych czarodziejów medialnych? Oni często „rozumieją” przecież wypowiedzi tak, jak im wygodnie.

A tuż przed świętami Sąd Apelacyjny podtrzymał tamten szokujący wyrok.

Sądził sędzia, który wcześniej przepadł w konkursie KRS na ważne stanowisko w Sądzie Najwyższym. Chce się wyłączyć, ale jakoś tak się składa, że zgody nie dostaje. Problemu nie dostrzeżono. Sędzia Sądu Apelacyjnego Jacek Sadomski stwierdza: „Nie jest przedmiotem rozstrzygania w tej sprawie, co naprawdę pozwany chciał powiedzieć [...]. Natomiast istota tej sprawy sprowadza się do tego, czy sposób rozumienia wypowiedzi przyjęty przez powodów, którzy tą wypowiedzią poczuli się urażeni, jest uzasadniony”. Wskazał, że „uzasadnione jest odczucie powodów, że te słowa zostały skierowane pod ich adresem nie jako konkretny zarzut, bo taka interpretacja byłaby absurdalna, ale po prostu jako zniewaga”.

Innymi słowy – mamy rozumieć, że nieważne, co powiedział, nieważne, co chciał powiedzieć, ważne, że ktoś – nienazwany nawet imiennie – poczuł się znieważony?

To ta wyśniona praworządność i wolność słowa? A przecież mówimy o parlamentaryście!

Stanisław Piotrowicz musi wpłacić 20 tys. zł zadośćuczynienia na rzecz organizacji pozarządowej, przeprosić powodów. Ale też te przeprosiny mogą/mają go zrujnować. W terminie 14 dni od uprawomocnienia się wyroku ma opublikować oświadczenie w telewizji TVN po głównym wydaniu „Faktów”. To może oznaczać dziesiątki, a być może setki tysięcy złotych opłaty za wykupienie takiego oświadczenia.

Słynna sędzia w słynnej wypowiedzi powiedziała kiedyś w kontekście reform sądownictwa: „Będę szczera, pragnę zemsty”. Uważam, że właśnie widzimy jej kolejną ofiarę.

Niestety, dla wielu ludzi w Polsce – jeśli mają niewłaściwe z punktu widzenia III RP poglądy – sądy są dziś nie miejscem szansy na sprawiedliwy wyrok, ale narzędziem wymierzania politycznej zemsty. Bez wstydu, w biały dzień. Z praworządnością na ustach.

Michał Karnowski

Autopromocja

eprasa.pl efefd978f4

SIECI spis treści



40 *Mściwy Łukaszenka*
Marek Budzisz



58 Z Judit Vargą, węgierską minister sprawiedliwości, *rozmawia Jacek Karnowski*



72 Pruska robota
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SZEŚĆ KRÓLOWYCH**
Krzysztof Feusette

9 **PANDEMIA OBOJĘTNOŚCI**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **WOLNOŚĆ SŁOWA MA NARODOWOŚĆ!**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

14 **BEZPIECZEŃSTWO BEZMYŚLNOŚCI**
Bronisław Wildstein

16 **WALIZKA HANKI RYBKI**
Michał Korsun

18 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

19 **PRACA ZDALNA TRAFI DO KODEKSU PRACY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

20 **PAMIĘTAMY JESZCZE, KTO JEST W CENTRUM TEGO WSZYSTKIEGO?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

22 **TAJEMNICE MICHNIKA**
Jakub Augustyn Maciejewski

SKANDAL W PSZCZYNIE

26 **ANATOMIA MANIPULACJI**
Dorota Łosiewicz

PROGNOZY 2022

30 **ROK NIEBEZPIECZNEGO ŻYCIA**
Stanisław Janecki

33 **10 PROGNOZ DLA ŚWIATA**
Jan Rokita

36 **ZARAZA ZOSTANIE Z NAMI NA DŁUŻEJ**
Konrad Kołodziejski

40 **MŚCIWY ŁUKASZENKA**
Marek Budzisz

KRAJ

44 **Z GEN. WALDEMAREM SKRZYPCZAKIEM**
rozmawia Adam Stankiewicz

46 **ZDEMASKOWANE ZNIESŁAWIENIE**
Marzena Nykiel

50 **WIELKIE WYPARCIE**
Marcin Wikło

NA NOWY ROK

54 **NOWY PORTRET POLAKÓW WE WNĘTRZU**
Maja Narbutt

58 **Z JUDIT VARGĄ, WĘGIERSKĄ MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI,**
rozmawia Jacek Karnowski

62 **OD ROMANTYKA DO POZYTYWISTY**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **POZORNIE ZABAWNA HISTORIA**
Aleksander Nalaskowski

69 **NIEMIECKA HISTORIA EUROPY**
Piotr Gontarczyk

72 **PRUSKA ROBOTA**
Wojciech Lada

75 **KRYZYS EUROPY**
Bronisław Wildstein

80 **MÓWIĆ BEZ SŁÓW**
Robert Tekieli

81 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

82 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

84 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

96 **ZE SŁAWOMIREM PIETRZYKIEM**
rozmawia Piotr Filipczyk

KUCHNIA

98 **MOJE SMAKI: MARCIN SCELINA**
Jolanta Gajda-Zadworna

99 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

100 **STAN WOJENNY I DZIENNIKARZE**
Hanna Karp

102 **NOWOROCZNE MYŚLI**
Alina Czerniakowska

103 **BANK HOLIDAY**
Wiktor Świetlik

103 **LICENCJA NA ZABIJANIE**
Lech Makowiecki

104 **NA NOWY ROK**
Tomasz Łysiak

104 **BAWÓŁ, MAŁPA I KOGUT**
Piotr Cywiński

105 **NOWY ROK I BŁĘKIT**
Leszek Długosz

106 **TRZY GROSZE DO EDUKACJI KLIMATYCZNEJ**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 62/1221/F

eprasa.pl efefd978f4



eprasa.pl efefd978f4



Sygnalista nadaje

Posłanka PO Izabela Leszczyna błysnęła takim oto stwierdzeniem: „Ludziom pod rządami PiS-u już niedługo będzie żyło się gorzej niż w czasach, kiedy rządziła Platforma Obywatelska". Biorąc pod uwagę, że pani poseł jest główną twarzą gospodarczą formacji Tuska, wypada stwierdzić, że wszystko jest na swoim miejscu. No i jeszcze pytanie: czy PiS może przegrać z takim przeciwnikiem?

No dobrze, wiemy, że prawdziwą opozycją jest TVN, a nie Platforma. Teraz razem walczą przeciwko ustawie, która zablokuje Amerykanom możliwość faktycznego omijania prawa w sferze własności mediów. Na wiecu opozycji w tej sprawie Tusk zwrócił się do prezydenta Dudy i prezesa Kaczyńskiego za pomocą cytatu z Miłosza: „Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy/ I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta". Tak daleko nie posunął się w Polsce jeszcze żaden polityk.

Brzydko się bawi „król Europy". Nie po raz pierwszy. „Kiedyś Tusk wyśmiewał się z moherowych beretów, potem w Sejmie straszył nas, że wyginiemy jak dinozaury. Dziś grozi śmiercią prezydentowi. Eskalacja gróźb. I to ma być polityk, który walczy o demokrację? W ten sposób wywoła tylko kolejnego Cybę. Niebezpieczna gra PO" – podsumował Witold Waszczykowski. Nakręcanie nienawiści pod sztandarem „polityki miłości" to stary numer Tuska. Na szczęście już bardzo czytelny.

Wiceminister spraw zagranicznych Szymon Szynkowski vel Sęk: „Tusk porównuje prezydenta Dudę i rząd ze stalinowskimi zbrodniarzami (wiersz Miłosza to 1953 r.). Grozi fizyczną zemstą i odwetem i aby uniknąć odpowiedzialności karnej, zasłania się cytatem. Demokrata? Raczej psychopata". Możliwe, że po prostu ktoś, kto realizuje zlecenie. Skłócona do granic szaleństwa Polska to przecież słaba Polska.

Włodzimierz Czarzasty, lider Lewicy, o skandalicznych słowach Tuska: „PiS sobie zasłużył [...] Wszystkie te osoby, które w tym momencie łamią prawo albo namawiają do łamania prawa, wydają dyspozycje do łamania prawa, czyli politycy, jak również urzędnicy, którzy to łamią, muszą wiedzieć jedną rzecz – będzie Trybunał Stanu, będzie więzienie, będzie prokuratura. Myślę, że to miał na myśli Donald Tusk". Gwoli ścisłości, Czarzasty też rządów Tuska (politycznie) nie przetrwa.

Robert Biedroń, jeden z liderów Lewicy: „Mam takie wrażenie, że dzisiaj większym wrogiem dla Donalda Tuska stała się Lewica niż Konfederacja i obawiam się, że Donald Tusk, który nie atakuje Konfederacji, jest gotów z nią w przyszłości zawiązać koalicję, a to już jest postawienie wszystkiego na głowie i zachowanie kompletnie nieodpowiedzialne". Też uważamy, że tak właśnie będzie.

Już ma kłopoty. Wicemarszałek Senatu Gabriela Morawska-Stanecka, senator Wojciech Konieczny oraz posłowie Robert Kwiatkowski, Joanna Senyszyn i Andrzej Rozenek odeszli z klubu Lewicy i stworzyli koło

Niemiecki tabloid „Bild" postawił pytanie: Czy to Niemcy są winne temu, że Ukraina jest tak słabo przygotowana na agresję ze strony Rosji? Dziennik podkreśla, że oficjalnie rząd Angeli Merkel zawsze stał po stronie Ukrainy. Ale nieoficjalnie jest inaczej. „RFN od maja 2021 r. wykorzystuje mechanizm w ramach NATO, aby uniemożliwić innym członkom sojuszu sprzedaż Ukrainie broni" – informuje „Bild". Tak kończy każdy, kto uwierzy, że Berlin ochroni go przed Rosją.

eprasa.pl efefd978f4

Polskiej Partii Socjalistycznej. Historycznie to potężna uzurpacja. Nowe koło powinno raczej nawiązać do Polskiej Partii Robotniczej. Bo przecież nie są to ludzie, którzy wstydziliby się dorobku i źródeł Polski Ludowej, prawda?

Były przewodniczący Rady Naczelnej PPS ***Piotr Ikonowicz*** ocenił rzecz następująco: „Nie znam specjalnie pani Joanny Senyszyn, a bliżej znam pana Andrzeja Rozenka, ale koło ideałów Polskiej Partii Socjalistycznej oni nigdy nie stali i raczej już nie staną". Jak dodał: „To jest jakiś danse macabre, to jest jakieś szyderstwo z tradycji, to nie ma nic wspólnego z PPS-em, bo kiedy oni walczyli o jakieś sprawy pracownicze?". W sumie „bliżej jest im do Leszka Balcerowicza niż do Adama Ciołkosza". Wszystko prawda. A PPS już w Polsce jest – w PiS.



Są i takie komuszki, które naprawdę uwierzyły, że kochają wolność. Dariusz Rosati (w latach 1966–1990 członek PZPR) tak skomentował dezercję jednego z naszych żołnierzy: „Kryzys na granicy polsko-białoruskiej. Polski żołnierz poprosił o azyl na Białorusi. Białoruś bastionem wolności w porównaniu z Polską PiS?". Nic nie stoi na przeszkodzie, można jechać. Człowiek tak elastyczny z pewnością da sobie radę i na Białorusi.



Europosłanka Koalicji Obywatelskiej Janina Ochojska: „Mam nadzieję, że kiedyś ludzie ze Straży Granicznej odpowiedzą za łamanie prawa i tortury zadawane niewinnym ludziom. Opisy takich czynów czytałam w relacjach osób, które przeżyły II wojnę światową. Wzorce z katów niemieckich i sowieckich obozów". Sformułowanie „pożyteczni idioci" pasuje tu wyjątkowo. Choć może należałoby raczej powiedzieć: „niebezpieczni idioci"?



Na czym mają polegać owe tortury? Ochojska odwołuje się do relacji aktywisty jednej z grup pomocowych działających w strefie przygranicznej, Kamila Syllera: „Żołnierze napadli dwie osoby z naszej sieci pomocowej – poza strefą, na skraju lasu. Zmusili do leżenia na mokrej ziemi. Po pewnym czasie pozwolili im klęknąć. Nie wstać. Klęknąć. [...] Zrewidowali ubrania (z przemacaniem) i plecaki. Przejrzeli telefony – kontakty, połączenia i esemesy (czyli naruszyli tajemnicą korespondencji i prawo do prywatności). Nagrali to przeglądanie". No rzeczywiście straszne te „tortury". Pani Ochojska wyraźnie nie ma bladego pojęcia o losie Polaków w czasie II wojny światowej. Może dlatego nic nie rozumie ze współczesności?



Muzyk ***Zbigniew Hołdys*** też uważa, że Polska nie zdała egzaminu z człowieczeństwa, jeśli chodzi o sytuację na granicy polsko-białoruskiej. „Dzisiaj człowieczeństwo zostało skopane. Polacy zostali nauczeni, a właściwie poinstruowani, że można innych ludzi wypchnąć do lasu. I pozwolić im tam umrzeć. Krok dalej jest już zamknięta płonąca stodoła na Wołyniu" – ocenia. Nie, dalej są już tylko rozbiory – gdyby Hołdysy i Ochojskie przejęły władzę.

W mediach społecznościowych pojawiło się nagranie ze spotkania Artura Dziambora z wyborcami w grudniu 2019 r. Poseł Konfederacji zadeklarował wówczas, że nie jest antyszczepionkowcem: „Nie przyłączyłem się do tego ruchu. Ja jestem synem lekarza, mam małe dzieci, które szczepię. Nie wyobrażam sobie walki o to, żeby każdy mógł z tym robić to, co chce. W tym przypadku mogę sobie nie być wolnościowcem. [...] Po prostu uważam, że trzeba być odpowiedzialnym, a odpowiedzialność widzę w ten sposób, że słucham ludzi, którzy są ode mnie mądrzejsi w konkretnych dziedzinach". Dziambor wypowiedział te słowa jeszcze przed wybuchem pandemii. Dziś jest już w innym miejscu. Dlaczego zmienił zdanie?

Poseł Dziambor swoim krytykom odpowiedział w taki oto sposób: „Zapraszam, chętnie opowiem, czym różnią się szczepionki, które wyeliminowały ze społeczeństwa niektóre choroby zakaźne, od szczepionki na grypę, czy C19, które tego efektu nie mają". Może się różnią, a może nie. Jest faktem, że w dobie internetu i przy tak wielkich emocjach nawet z polopiryny można zrobić lek podejrzany i groźny. A przecież to nie jest zabawa ani gra. Poseł Dziambor zapewne to rozumie. Jest w końcu synem lekarza.

Wyciekło także nagranie, na którym szef Towarzystwa Dziennikarskiego Seweryn Blumsztajn, ważna postać środowiska „Gazety Wyborczej", profanuje pieśń o ofierze Grudnia '70 – „Balladę o Janku Wiśniewskim", szydząc z Jarosława Kaczyńskiego. Razem z Blumsztajnem – w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego – śpiewają m.in. koordynator „Politico" Michał Broniatowski, były prezes TVP Janusz Daszczyński, członek Rady Etyki Mediów Andrzej Krajewski, były szef „Teleexpressu" Jerzy Modlinger. Cóż, przynajmniej wiemy, że ofiary Grudnia '70, najkrwawszej masakry w całych dziejach PRL, nie są dla tych ludzi święte. Czy Marzec '68 też ich tak śmieszy?

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk

eprasa.pl efefd978f4

Sześć królowych
(szopka całoroczna)



KRZYSZTOF FEUSETTE

Trzej Królowie Zjednoczonego Tuskmenistanu, Donald I Fiurdojszland, król Europy, Władysław II Procent, król tygrysów, i Szymon III Łzawy, król zbiórek – przemierzają Pustynię Błędowską w poszukiwaniu szopki. Albo Szłapki. Może Szłapki w szopie? Prowadzi ich Gwiazda Ekranu, pani Krysia z żelaza, promująca przy okazji serię kremów zmniejszających parcie na ekran i rozstępy między występami. Krok w krok, parytetowo i progresywnie, podążają za powyższym kwartetem Trzy Królowe Tuskanii: Marta I Żulia, zwana Olbrzymią, królowa chamstwa, Sylwia II Szalona, królowa tofu, oraz Klaudia I Lepsza, królowa obciachu.

Krysia z Żelaza: Chodźcie, panowie, chodźcie, ja was poprowadzę, bo jestem gwiazdą, a gwiazdy potrafią zagrać przewodników. Zwłaszcza duchowych. Przecież my ciągle powtarzamy piękne słowa na scenie. Albo pod sceną, jak Andrzej Wajda, gdy mówił o przyjaciołach z TVN, którzy mieli wspierać naszego Bronka jedynego... Oj, prędziuchno, bo czuję, że mi znowu leci, i to na głowę. Dobrze powiedziałam przed świętami: Polacy są obrzydliwi. Bo ja jestem chora. Mnie się wydaje, że na Polskę. Ale u lekarza nie byłam.

Klaudia I Lepsza: Pani jest wielka.

Marta I Żulia: Co ty, smarkulo, wiesz o wielkości? Jak ja nie lubię dzieci...

Władysław II Procent: A kogo pani lubi?

Marta: Siebie. I moje suczki.

Klaudia: Jak tak można o drugim człowieku?

Marta: O psach mówię! Happeningi to sobie rób tam u siebie, na Wiejskiej, ale małą literą pisanej. Dotarło?

Klaudia: Pani jest faszystką. Niech pani się obejrzy. Nie za siebie, tylko w lustrze. Z pani bije takie coś, że ja bym się bała panią spotkać przy granicy.

Marta: I o to chodzi, laluniu. A teraz wyp...

Donald I Fiurdojszland: No i o co ta awantura? Pani Marto, pani wie, że ja panią kocham, jak Michnik Jaruzelskiego, ale... No, niestety, muszę to powiedzieć: pani nas opóźnia.

Marta: Niby, k..., w czym?

Donald: W marszu.

Marta: Niby, k..., ku czemu?

Klaudia: Właśnie, niby, k..., czemu?

Donald: W marszu po władzę pani jest obciążeniem. Wizerunkowym.

Marta: Och, jaki pan wulgarny...

Donald: Dobra, zrobimy inaczej. Panie dojdą swoim tempem, a my biegniemy, bo nam wszystkie wywiady pouciekają.

Szymon III Łzawy: Przestańcie, bo się rozpłaczę ze szczęścia, że my nareszcie jesteśmy razem! Może policzę głosy, co?

Sylwia II Szalona: A może jednak najpierw ktoś mi powie, po co myśmy tu przyjechali?

Donald: Szopkę robić. To znaczy sesję zdjęciową. W ten sposób podkreślimy przywiązanie do tradycji.

Sylwia: Panie, co pan w ogóle wygaduje? Pan nie wie, co się dzieje w oborach? Jakie tam gwałty odchodzą? Reasumując: mięso, mleko, miód, ryby, konie, koniec z tym.

Władysław: Pani je konie?

Sylwia: Jaja pan sobie robi?

Władysław: Czasami. Na boczku.

Sylwia: To jest podwójne zabójstwo.

Władysław: Poczwórne, bo z trzech.

Marta: A mnie ani boczek nie przeszkadza, ani szyneczka, nawet w Wigilię lubię sobie skubnąć. Masz coś do tego, szkielecie?

Donald: No i po co te nerwy? Ja, jak się denerwuję, to sobie Miłosza czytam, np. „Który skrzywdziłeś Donalda Fiurdojszlanda", najlepsze jest o wieszaniu. Pani Klaudio, może pani coś pokaże dla rozluźnienia? Jakiś happening czy animację?

Klaudia: Ale tutaj czy na granicy?

Donald: Na jakiej znowu granicy?! Pani nie słyszała, że musimy biegusiem wracać do Warszawy, bo chcą TVN skrzywdzić?

Szymon: Nie odważą się. To jest jednak... ja tam pracowałem... z Marcinkiem... Przepraszam, czy ktoś ma chusteczkę? Albo chociaż dychę?

Władysław: Spokojnie, nikt nikogo nie zamknie. Tak się tylko mówi, żeby ludzie wyszli z siebie, a potem na ulice...

Sylwia: A w końcu na durniów? Jak możecie przejmować się jakąś telewizją, kiedy w tym czasie dżokeje na koniach skaczą przez przeszkody? Co to jest, Dziki Zachód?! Otóż nie! Tu jest Europa! I już zapowiadam, że po wyzwoleniu pszczół przyjdzie czas na komary! Bo ich w Brukseli nie reprezentuje nikt!

Władysław: No, a pani?

Donald: Ja to panią podziwiam, że pani odróżnia karpia z boczniaków od śledzika z boczniaków.

Sylwia: A panowie co będą jedli na tzw. Wigilię? Pewnie pasztecik, co? Proponuję świętować zgodnie z plakatami. Raczej łyżwiarstwo, paprykarz, świnie na lodzie, o ile, oczywiście, wyraziły zgodę, niż jakieś tam „narodzenie" wiadomo kogo...

Marta: O, właśnie tak powinno się mówić o tych sprawach. Bez imion, bez nazwisk. Jako ludzie racjonalni musimy to opiłować. I to jeszcze, zanim ten ciemny tłum ruszy nocą na pasterza...

Szymon: Pasterkę, nie „Pasterza"! No, jak tak można?! Boże, co ja robię z tymi ludźmi? To jest takie smutne, takie tragiczne... Czy pani już kupiła moją torbę?

Donald: Dobra, bo czas nagli. Włączamy kamery, powiem parę słów, potem kolęda i na protest.

Władysław: A która konkretnie?

Donald: Zaleska. Co się głupio pytasz, jak innej nie znamy? No i gdzie jest ta aktorka? Halo, pani Krysiu? Pani jest pewna, że my dobrze idziemy?

eprasa.pl efefd978f4

Pandemia obojętności

Z tego zamknięcia w elektronice i nierealnym świecie niewiele widać. Trudno dostrzec potrzebującego sąsiada, zgubionego psa...

Nim świat ogarnęło szaleństwo związane z pandemią COVID-19, nim kolejne lockdowny zamknęły ludzi w domach, przerwały lub ograniczyły międzyludzkie relacje, nim chirurgiczne maseczki przysłoniły ludziom twarze, chowając uśmiechy i inne emocje, zaczęła nas toczyć inna pandemia, tylko znacznie mniej dokuczliwa. A może po prostu mniej zauważalna. To pandemia obojętności.

Nim zamknięto nas w domach, sami zamknęliśmy się w swoich telefonach i komputerach. Odgrodziliśmy się od piękna świata, często wybierając piękno widoków wrzucanych przez innych w mediach społecznościowych. Zamiast żyć własnym życiem, zaczęliśmy żyć życiem innych, wpatrując się w cudze choinki, talerze, stoły, dekoracje, wakacje, włosy, paznokcie, samochody, wzloty i upadki, szczęścia i nieszczęścia. Zamiast iść na spacer do lasu, wolimy popatrzeć, gdzie poszli inni, zamiast wsiąść na rower, patrzymy, ile kilometrów przepedałowali dziś inni. Zamiast czuć, zaczęliśmy podglądać, co czują inni. Zamiast się śmiać, patrzymy, z czego śmieją się inni. I chętnie dyskutujemy, komentujemy, krytykujemy, obśmiewamy, wymądrzamy się, hejtujemy. Często wolimy zamieścić 150. komentarz, niż zagrać partię szachów z dzieckiem czy mężem.

Z młodym pokoleniem nie jest lepiej. Albo publikują, albo czekają na publikacje innych, albo lajkują, albo czekają na lajki innych. Albo komentują, albo czekają na komentarze. I już nie pamiętają, że kiedyś było inaczej, że rozmawiać można było w cztery oczy, nie tylko przez komunikatory.

Gdy jadę samochodem, często widzę ludzi zanurzonych we własnych telefonach, którzy z trudem zauważają, że właśnie weszli na pasy, nerwowo odskakują, gdy na kogoś wpadną, wściekle machają, gdy nie zauważą jadącego samochodu. W autobusach i tramwajach zamknięcie we własnych social mediach sprawia, że młodzi nie widzą staruszki czy kobiety w ciąży, które zdecydowanie bardziej potrzebują siedzącego miejsca niż ten, który właśnie ugina się pod ciężarem problemów znajomych–nieznajomych. W ogóle z tego zamknięcia w elektronice i nierealnym świecie niewiele widać. Trudno dostrzec potrzebującego sąsiada, zgubionego psa, ptaki na niebie, zieleń lasu, szum morza czy trzeszczący pod butami śnieg. Nie mówiąc już o deszczu Perseidów czy zachodzie słońca.

Radząc nieznajomemu, jak rozwiązać problemy wychowawcze z dwulatkiem, możemy niechcący przegapić problemy naszego 12-latka. Wpatrując się w rozmiłowany wzrok znajomego skierowany na idealnie wyglądającą pociechę, możemy przegapić głębokie spojrzenie w oczy naszego dziecka, męża, prawdziwego przyjaciela. To właśnie dlatego tak rzadko bywam na Facebooku, to dlatego nie pociąga mnie Instagram, nie kusi Twitter, nie bawi TikTok. Tam mało co jest prawdziwe. Nie ma szczęścia, tylko jego pozór, mało tam prawdy, a więcej kreacji, mało piękna, a więcej sztuczności. I ta wszechobecna, tocząca wszystkich i wszystko nieustająca wojna. Jak nie o szczepionki, to o maseczki, jak nie o maseczki, to o leki, jak nie o kwestie zdrowotne, to o światopoglądowe. Zdecydowanie bardziej wolę prawdziwy świat, prawdziwe spotkania i prawdziwe rozmowy, prawdziwe życie od sztucznego, realne emocje, a nie te na pokaz.

Życzę więc Czytelnikom, by 2022 był rokiem, w którym skończy się ta niewola i to uzależnienie od social mediów. Życzę, by udało się zrzucić maski, nie te chirurgiczne, ale te, które tworzymy od lat dla poklasku innych. Życzę braku lęku przed prawdziwym życiem, podejmowaniem prób, ryzyka, wyzwań. Życzę uwolnienia się od strachu przed odczuwaniem emocji, przed szukaniem prawdy, piękna i dobra.

Myślę jednak, że prędzej pokonamy pandemię koronawirusa niż tę pandemię obojętności i blagi, której nawet nikt już nie dostrzega, tak bardzo do niej przywykliśmy.

Dorota Łosiewicz



Gruba mistyfikacja

USA

Jussie Smollett był wschodzącą gwiazdą serialu „Imperium". Przełomem w jego karierze okazał się styczeń 2019 r. To wtedy miał zostać pobity na ulicy Chicago przez dwóch białych zwolenników Trumpa, krzyczących w jego stronę, że jest to kraj MAGA (make America great again). Aktor zeznał, że oblano go „chemiczną substancją" i zawiązano mu pętlę na szyi. Smollett jest czarnoskóry, więc pętla na szyi miała świadczyć o tym, że chciano go powiesić na latarni, tak jak podczas linczów organizowanych w czasach niewolnictwa. Aktor jest też homoseksualistą, więc napad miał mieć również podłoże homofobiczne.

Po nagłośnieniu tej sprawy Hollywood wpadło w spazmy złości, winiąc za atak Trumpa, biały suprematyzm i systemowy rasizm. Smolletta wspierał na Twitterze Joe Biden, a Kamala Harris nazwała napaść na aktora „współczesnym linczem". Smollett przechwalał się zaś w wywiadach, że napadnięto go w zemście za jego „odważną krytykę administracji Trumpa".

Po wielu miesiącach śledztwa wyszło jednak na jaw, że wszystkie opowieści o „rasistach od Trumpa" były grubą mistyfikacją. Zresztą napad od samego początku budził wątpliwości. Bo skąd w środku nocy w bardzo lewicowym Chicago na ulicach pojawili się rasiści z wybielaczem? Co nad ranem robił tam celebryta z Hollywood? Śledczy szybko wpadli na trop braci Osundiaro z Nigerii, którzy zeznali, że Smollett zapłacił im za napad 3,5 tys. dol. Kamery sklepowe nagrały moment, gdy bracia kupują maski, w których „zaatakowali" potem aktora. W śledztwie ustalono, że obaj byli statystami na planie „Imperium", a jeden z nich był osobistym trenerem Smolletta i – prawdopodobnie – jego kochankiem.

Po ujawnieniu mistyfikacji Smollett został zwolniony z serialu „Imperium", gdzie zarabiał 100 tys. dol. za jeden odcinek. W sądzie skarżył się, że nie ma teraz dla niego pracy w show-biznesie. Ława przysięgłych nie pochyliła się jednak na żalami Smolletta i w grudniu uznała go za winnego. Za sfingowanie ataku na siebie grozi mu teraz kara trzech lat więzienia. Wyrok zostanie ogłoszony w styczniu. Dodatkowo Smollett zostanie też pozwany przez miasto Chicago na kwotę 130 tys. dol. Takie były bowiem koszty śledztwa w sprawie sfingowanego napadu.

Miały być sława, nowy kontrakt i wieczny wizerunek męczennika trumpizmu. Skończyło się totalną kompromitacją, ale bardzo znamienną dla czasów dyktatury mediów społecznościowych. „Męczeństwo" Smolletta okazało się bowiem kolejnym fejkiem mijającego roku.

Łukasz Adamski

Fot. Kathy Hutchins/Shutterstock.com



Nadzieja dla Kościoła

Francja

Jednym ze wskaźników postępującego kryzysu Kościoła we Francji jest utrzymujący się od wielu lat spadek powołań kapłańskich. W ciągu ostatniego półwiecza liczba mężczyzn wstępujących do seminariów duchownych zmniejszyła się tam dziesięciokrotnie. Na tym tle chlubnym wyjątkiem pozostaje Wspólnota św. Marcina z Tours (na ilustracji), która stanowi dziś najdynamiczniej rozwijającą się kuźnię kadr kapłańskich w kraju. Choć jest stosunkowo młoda (oficjalnie zatwierdzona została w 1976 r.), to dała Francji czterech biskupów, liczy dziś 172 kapłanów i diakonów, w seminarium w Évron kształci zaś ponad stu alumnów.

Początki wspólnoty sięgają roku 1967, gdy w bazylice Sacré-Coeur w Paryżu spotkała się grupa kilkunastu studentów, którzy pragnęli zostać kapłanami. Ich opiekunem został charyzmatyczny duszpasterz, 38-letni wówczas ks. Jean-François Guérin. Wkrótce potem ekipę wziął pod swoje skrzydła włoski purpurat kard. Giuseppe Siri, który sprowadził ją do swojej stolicy arcybiskupiej w Genui i tam utrzymywał z własnych środków. On też zatwierdził na prawach diecezjalnych nową wspólnotę, która przez kilka lat działała jedynie w Ligurii. Jej członkom powiedział wówczas: „Chcę wam pomóc, ponieważ robię to dla Francji". Jego słowa okazały się prorocze.

Formacja kapłańska we Wspólnocie św. Marcina jest wymagająca: opiera się na ośmiu latach studiów (trzy lata filozofii, trzy teologii, rok praktyki duszpasterskiej w terenie, diakonat i święcenia). Towarzyszy temu intensywne życie wspólnotowe i liturgiczne, oparte na duchowości benedyktyńskiej, w którym ważne miejsce zajmują chorał gregoriański i język łaciński. Duchowni pozostają wierni katolickiej ortodoksji, odrzucając sekularyzacyjny wpływ współczesnych ideologii. Okazuje się, że tego typu formacja jest w stanie przyciągnąć bardzo wielu młodych ludzi. Jeśli wspólnoty nie dotknie kryzys (lub jeśli nie zostanie rozwiązana przez władze kościelne), to – zdaniem specjalistów – do 2050 r. może wywodzić się z niej co trzeci ksiądz we Francji.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4



Pomnik Kim Ir Sena i i Kim Dzong Ila w Pjongjangu

Korea Północna

Dekada terroru

W połowie grudnia minęła 10. rocznica objęcia władzy przez Kim Dzong Una – trzeciego przedstawiciela rodziny Kimów, która od 76 lat sprawuje dyktatorskie rządy w Korei Północnej. Wszelkie nadzieje na jakąkolwiek zmianę kursu i liberalizację reżimu, choćby w stylu chińskim, które wiązano z młodym, bo w chwili sukcesji zaledwie 27-letnim, przywódcą, okazały się płonne. Korea Północna pozostaje najbardziej zamkniętym państwem świata i opresyjną dyktaturą, tym bardziej niebezpieczną, że uzbrojoną w broń nuklearną.

Początkowo, tuż po sukcesji w 2011 r., podjęto nieśmiałe próby zmian. Były one ograniczone wyłącznie do sfery gospodarczej i polegały na komercjalizacji niektórych przedsiębiorstw, które uzyskały prawo do sprzedaży części swojej produkcji według cen rynkowych. Nie potrwało to jednak długo, tym bardziej że reformy miały jedynie posłużyć Kimowi do rozprawienia się z wysokimi dowódcami armii sprawującymi dotychczas kontrolę nad gospodarką.

Młody Kim dokonał wówczas czystki w aparacie reżimu, skazując m.in. na śmierć swojego wuja. Jak zauważają znawcy reżimu, Kim Dzong Un – w odróżnieniu od swojego ojca i dziadka – nie ma żadnych oporów przed skazywaniem na tortury i śmierć osób, które osobiście zna. Swoją władzę opiera na najbliższej rodzinie, przede wszystkim na siostrze Kim Jo Dzong oraz żonie Ri Sol Ju.

Państwo Kima tkwi w całkowitej izolacji od świata zewnętrznego. Od tej polityki nie ma wyjątków. Przykładowo wszystkie komputery muszą być zarejestrowane i oparte na lokalnym systemie wykorzystującym darmowego Linuksa, który uniemożliwia otwieranie plików przez osoby nieupoważnione. Nie da się więc przesłać pliku bez zgody władz. Za łamanie reguł grożą surowe represje. W grudniu 2020 r. przyjęto np. ustawę o walce z reakcyjną kulturą, która przewiduje karę śmierci za rozpowszechnianie muzyki K-pop z sąsiedniej Korei Południowej. Według nieoficjalnych informacji wykonano już kilka egzekucji z tego powodu.

Kim próbuje budować swoją potęgę, zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej, na sile militarnej. Wykorzystując atut, jakim jest broń nuklearna, chciał doprowadzić do uznania jego władzy przez Stany Zjednoczone, ale dwukrotne spotkania z Donaldem Trumpem niczego nie dały. Kim licytował zbyt wysoko i żądał od Amerykanów zbyt wiele.

Jednocześnie Korea Północna jest zakładniczką Pekinu. Chiny, choć poirytowane awanturami i zbrojeniami Kima, zamierzają za wszelką cenę utrzymywać strategicznie korzystny dla nich podział Półwyspu Koreańskiego. Nie ma więc mowy o zjednoczeniu z Koreą Południową. Nie chcą tego również północnokoreańskie elity reżimu, dla których taki scenariusz oznaczałby katastrofę i utratę przywilejów (o konsekwencjach nie wspominając).

Nic więc dziwnego, że w Korei Północnej nic się nie zmienia. Kim otrzymuje finansowe wsparcie z Pekinu i może jeszcze długie lata napawać się nieograniczoną władzą.

Konrad Kołodziejski

Fot. Truba7113/Shutterstock.com



Chile

Ostry skręt w lewo

35-letni Gabriel Boric (na zdj.), zwycięzca grudniowych wyborów w Chile, będzie najmłodszym prezydentem tego kraju. Były lider protestów studenckich, będzie też – jak się uważa – najbardziej lewicowym przywódcą Chile od czasów Salvadora Allendego, co było zresztą głównym zarzutem stawianym przez jego prawicowego rywala Joségo Antonia Kasta, wprost nazywającego Borica komunistą.

Z pewnością Ameryka Południowa wyraźnie skręca w lewo, bo po Peru mamy do czynienia z już drugim w ostatnich miesiącach zwycięstwem wyborczym kandydata skrajnej lewicy. Nowy prezydent Chile stojący na czele radykalnej formacji Frente Amplio, popierany przez koalicję, w której skład wchodzi również partia komunistyczna, zapowiedział już zmianę konstytucji oraz reformy społeczne. Mają one objąć podniesienie pensji minimalnej, likwidację obecnego systemu ubezpieczeń społecznych opartego na otwartych funduszach emerytalnych oraz znaczny wzrost nakładów na publiczną ochronę zdrowia i edukację. Boric planuje także nacjonalizację niektórych firm sektora wydobywczego, zwłaszcza kopalni strategicznie ważnego litu.

Polityka Borica jest charakterystyczna dla nowej lewicy, która dochodzi do władzy w państwach Ameryki Łacińskiej. Jej przedstawiciele łączą tradycyjne podejście egalitarystyczne z wrażliwością na zmiany klimatyczne, podkreślają prawa osób LGBT i opowiadają się za zwiększeniem praw ludności indiańskiej. Ich popularność związana jest z zakwestionowaniem starych instytucji społecznych i tradycyjnej hierarchii. „Skoro Chile było kolebką neoliberalizmu, to będzie też jego grobem" – deklarował na początku kampanii wyborczej Gabriel Boric, oskarżając przy okazji liderów starej lewicy o sprzeniewierzenie się jej ideałom.

Boric, który obejmie władzę w kraju borykającym się z 11-proc. inflacją, będzie miał jednak ograniczone pole manewru i jego daleko idące plany, w tym afirmowanie „rewolucji boliwariańskiej w Wenezueli", wkrótce zderzą się z realiami. Jeśli nowy prezydent okaże się nie pragmatykiem, lecz rewolucjonistą, to jego mocno spolaryzowany kraj mogą czekać poważne wstrząsy.

Marek Budzisz

Fot. @gabrielboric/Twitter

eprasa.pl efefd978f4

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wolność słowa ma narodowość!



Jan Pietrzak

Dziękując Bogu za kolejny przeżyty rok, łamiąc się opłatkiem z bliskimi, śpiewając kolędy, nie mogę się pozbyć narastającego w ostatnich miesiącach poczucia osłupienia. Niby w moim wieku wszystko się już widziało, a jednak każdy dzień potrafi mnie zaskoczyć jak królik wyskakujący z cylindra.

Wydało się, że pani Merkel uniemożliwiła zakup uzbrojenia dla Ukrainy! Powiadomił o tym „Bild". Chodziło o kilkadziesiąt karabinów amerykańskich i łotewskich, a więc natowskich. Czego się nie robi dla czarującego Putina? Nie można dopuścić, by Ukraińcy straszyli jego sołdatów jakimiś karabinami. Nowiutki kanclerz powiedział natomiast, że o reparacjach dla Polski nie ma mowy, bo Niemcy wpłacają do Unii duże składki. Czyli wymieszały mu się czas i przestrzeń, jak w filmach o kosmitach, z tym że my tych kosmitów znamy z realu. Od 1939 do 1945 r. mordowali, niszczyli, okradali nas, w związku z tym obecnie blokują należne nam wypłaty z Brukseli. Taka jest logika zachodnich sojuszników.

Między innymi z tych powodów na krajowym podwórku bieda. Koleżanka Janda żywi się jednym bochenkiem chleba tygodniowo, który zamraża w kawałkach. Pozostawię to bez komentarza, bo z biedy nie należy żartować, zwłaszcza kiedy ogłasza to w głodnych mediach. A po prawdzie, wstrzymywanie przez UE należnych Polsce funduszy to rozbój i złodziejstwo, zauważył na ogół spokojny Marek Jurek. Żeby tak rozsierdzić dobrotliwego polityka!

W ogóle wygląda na to, że denerwowanie, prowokowanie Polaków to ważny motyw działania europejskich urzędników i ich tubylczych agentów. Wysokiej rangi specjalistą w tej materii jest niejaki Tusk. Jego partyjna sympatyczka zamknęła bezprawnym wyrokiem przemysłowy region wokół Turowa. Nic nie stoi na przeszkodzie, by w następnym porywie furii zamknięto kombinat KGHM lub Orlen.

Teraz wyskoczył temat wolności słowa, ponieważ Sejm dostosował ustawę medialną do europejskich standardów. Histeria antypolskich mediów wylała się na ulice. Trudniej im będzie oszukiwać Polaków. Bo słowa mają narodowość, a polska wolność jest absolutnie sprzeczna z niemiecką, rosyjską, także z innymi...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Bez smaku



Dominik Zdort

Pewien naukowiec dostał niedawno nagrodę premiera za pracę doktorską. Nie odrzucił, wziął kasę, po czym przekazał ją na Aborcję bez Granic. W ten sposób – pośrednio i nieświadomie – polski rząd stał się instytucją finansującą ludobójcze działania, podobne do tych, jakie prowadził doktor Mengele.

Nie krytykuję tu decyzji rządu (jakżebym śmiał), mam wielką nadzieję, że u podstaw jego decyzji leżał cel pozytywny. Pokazać, że obecna władza nie jest zamknięta na niechętne jej środowiska, potrafi zakopać topór i może wesprzeć człowieka, który szuka nowych inspiracji, choć niekoniecznie zgadza się z „dobrą zmianą".

Ale wyszło, jak wyszło. Okazało się, że mamy do czynienia nie z obiecującym naukowcem, lecz z ideologicznym chamem, bydlakiem gotowym wykorzystać wsparcie władzy na rzecz ludobójczej organizacji. Amoralny bandzior, który dostał od Polski pieniądze, przeznaczył je na mordowanie małych Polaków.

To tylko świadczy, że zazwyczaj poszukiwanie porozumienia z mordercami, ekstremistami i zamordystami nie ma sensu. Jeśli bezwarunkowo im zaufasz i dasz kasę, to przeznaczą ją na swoje terrorystyczne i zabójcze działania.

To nauczka dla obecnie rządzących, premiera, ministra, ich analityków i ekspertów. Żeby – przed próbą wyciągnięcia ręki do jakiegoś pseudointeligenckiego chama – sprawdzić najpierw, czy jego retoryka nie jest nazbyt parciana, czy składnia nie była pozbawiona urody koniunktiwu... A taka w tym przypadku była.

Opisywany przypadek pokazuje, że całe to gadanie lewicowych liberałów, iż obecna władza sekuje ich artystycznych i naukowych sojuszników jest niewarte zastanowienia. No bo kiedy – jak widać na załączonym obrazku – kogoś się nie tylko nie sekuje, ale wręcz wspiera, to okazuje się, że władza dostaje po głowie, a na dodatek w efekcie następuje dramat, morderstwo, śmierć.

Niestety, są ludzie niegodni doceniania, wspólnicy morderców, których polskie państwo – i żadne inne państwo – wspierać nie powinno. Wszyscy powinniśmy o tym pamiętać. Trzeba się dobrze przyjrzeć człowiekowi z drugiej strony barykady, zanim wyciągniemy do niego dłoń. Bo nazbyt często zdarza się, że Pankracy nie potrafi wyspowiadać się ze swojego grzechu.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Reklama | 61/1221/F

eprasa.pl efefd978f4



Z okazji nadchodzącego **2022** roku
w imieniu całego Zarządu
składamy wszystkim czytelnikom:
wszelkiej pomyślności, dobrego zdrowia
i szczęścia na każdy dzień.
Niech Nowy Rok będzie pełen **innowacji**
i zintegrowanych działań biznesowych,
dając szansę na **realizację założonych planów.**

DASOFT
INNOWACYJNE TECHNOLOGIE

BRONISŁAW WILDSTEIN

Bezpieczeństwo bezmyślności



Znajomy profesor opowiadał mi, że po jego wykładzie na temat polityki „Willkommen" Angeli Merkel, dwójka studentów udała się na skargę do dziekana. Protestowali, gdyż wykład uderzał w ich poczucie bezpieczeństwa. Wychowani są w przeświadczeniu, że ludziom należy pomagać, a prawa człowieka polegają także na wybieraniu sobie miejsca zamieszkania. Wykładowca, który pokazywał, że otwarcie granic dla imigrantów (czy choćby uchodźców) z innego kręgu kulturowego wiąże się z poważnymi problemami, a więc dowodził, że konsekwencje humanitarnych poglądów wcale nie muszą być humanitarne, naruszał psychiczny dobrostan studentów, czego sobie nie życzyli.

Dziekan przeprosił sfrustrowanych donosicieli, ale zwrócił uwagę, że do praw człowieka należy wolność słowa, na którą również powołać się może wykładowca. Studentów nie przekonał, odgrażali się, że tak łatwo nie dadzą się zbyć i protest przeciw skandalowi będą kontynuować, ale profesor (na razie) przetrwał.

Zachowanie ich staje się regułą. W każdym razie na Zachodzie. Coraz częściej studenci oburzają się, jeśli wypowiedzi nauczycieli nie mieszczą się w wyznawanej przez nich ortodoksji, domagają się dymisji tych, którzy ośmieli się je wypowiedzieć, a w każdym razie zakazu głoszenia nieodpowiadających im treści, zrywają wykłady naruszających mentalne status quo naukowców. Okazuje się, że to studenci decydują, jakie myśli pojawić się mają na uczelniach, kto ma prawo w nich wykładać, a nawet wypowiadać się. W ten sposób to oni stają się nauczycielami kadry akademickiej na razie w domenie humanistyki i można tylko zadać pytanie: tyle wydziałów, katedr i uniwersytetów, aby reedukować tak niewielką w sumie grupkę profesorów? W III RP, w której bezrefleksyjne powielanie stanu rzeczy na Zachodzie ogłoszone zostało najwyższą cnotą, proces ten dopiero się rozpoczyna.

Argument „naruszenia mentalnego bezpieczeństwa" bardzo często pojawia się w protestach przeciw nieakceptowanym przez studentów wypowiedziom. Uzupełniany jest on kolejnym, że uczelnia wyższa ma być przestrzenią psychicznego komfortu. Dość zadziwiające to przekonanie, tym bardziej że właściwie nie jest kwestionowane. Uniwersytet powinien być miejscem edukacji, debaty i ścierania się myśli w celu wypracowania optymalnych odpowiedzi na ważne pytania, miejscem wysiłku intelektualnego, co z komfortem raczej się nie kojarzy. Czy kogoś, kto domaga się, aby nie wolno było kwestionować jego zestawu przeświadczeń, można czegoś nauczyć?

Powtarzam i, wszystko wskazuje na to, że powtarzać będę musiał, iż żyjemy w epoce odwróconych sensów, a terminy fetysze, które w niej dominują, niosą znaczenia przeciwne do tradycyjnie im przypisanych. Studenci w imię tolerancji domagają się zakazu wystąpień tych, którzy tolerancji muszą być wrogami, bo prezentują inne poglądy niż oni. A to przecież oni są zwolennikami tolerancji. Rzeczą tylko nieco inną jest żądanie bezpieczeństwa ze strony „pokolenia śnieżynek". Wychowani w kulcie praw człowieka, do których zaliczane jest już wszystko, co się komu zamarzy, uznają, że należą się im wszelkie formy bezpieczeństwa, w tym bezpieczeństwo bezmyślności. To, czego się domagają, ma taki właśnie charakter.

Nie trzeba być bezkrytycznym wyznawcą Poppera, żeby zrozumieć, iż jednym z fundamentów wiedzy jest poddawanie krytyce głoszonych przez nią tez i korygowanie ich, jeśli nie wytrzymają takiej próby. Wprawdzie każdy, kto ma jakie takie o nauce pojęcie, wie, że to tylko ideał, gdyż w rzeczywistości opór przeciwko falsyfikowaniu powszechnie uznanych przekonań jest poważny. Wbrew wyobrażeniom dyletantów empiria nigdy w całości nie potwierdza nawet najbardziej oczywistych interpretacji, fakty można analizować rozmaicie, a więc dużo trzeba, aby zrewidować obowiązujące paradygmaty, niemniej sama zasada falsyfikacji obowiązuje. Dodać trzeba, że do momentu, gdy nauka miesza się z polityką – co niestety dzieje się coraz częściej – bo wtedy zasady obowiązywać przestają. Widzimy to w wypadku teorii antropocentrycznej genezy globalnego ocieplenia, w którym to wypadku próba analizy jej podstaw naraża na epitet „negacjonisty" i potępienie. Nic dziwnego, że głównym naukowym ekspertem jest w tym wypadku Greta Thunberg.

Niemniej oficjalne domaganie się, aby na uniwersytetach nie pojawiły się interpretacje, a nawet fakty, które by sugerowały, że wyznawane przez studentów przekonania winne są przemyślenia, jest czymś nowym. Wydawać by się mogło, że młodość grzeszy raczej zuchwałością niż rozpaczliwym zamykaniem oczu na rzeczywistość, co ewentualnie tłumaczyć można ciężkimi doświadczeniami tych, którzy wiele przeżyli i nie chcą już widzieć niczego więcej.

No, ale myślenie boli.

Fot. Andrzej Wiktor

Reklama | 71/1221/F

eprasa.pl efefd978f4



Szanowni Państwo,

Z okazji nadchodzącego 2022 roku, chcielibyśmy pożyczyć Wam zdrowia, sukcesów i spełnienia najskrytszych marzeń. Dziękujemy za zaufanie i to, że już 10. rok będziemy mogli świadczyć dla naszych Klientów nowoczesne i dostępne usługi finansowe. Niech Nowy Rok przyniesie wszystkim wiele pomyślności i szczęścia!

Zarząd i pracownicy, wraz z rodzinami
Polskiego Związku Instytucji Pożyczkowych

1,8 mln osób
wzięło mikropożyczkę w sieci w 2021 r.

2,5 mld zł
pożyczyły przez internet instytucje pożyczkowe zrzeszone w PZIP w 2021 r.

40+ serwisów
pożyczkowych zrzesza PZIP. Nasze firmy są liderami w bezpiecznym pożyczaniu przez internet.

83% osób
spośród ankietowanych pozytywnie ocenia swoje doświadczenia z pożyczaniem w sieci.

POLSKI ZWIĄZEK
INSTYTUCJI
POŻYCZKOWYCH

Polski Związek Instytucji Pożyczkowych (PZIP), ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, tel. +48 22 692 42 43, www.pzip.pl, kontakt@pzip.pl

eprasa.pl efefd978f4



Walizka Hanki Rybki

wokalistki

Wszystko, co jest mi dane, to prezent „z góry”: wspaniali rodzice, którzy mnie wychowali i pokierowali fajną drogą, wyjątkowa druga połowa, czyli mój mąż, i cudowna córka. Rodzina jest najważniejsza. Ona daje mi siłę, energię i inspirację. Gdy gdzieś wyjeżdżam, nie mogę się doczekać powrotu do moich bliskich. Bóg jest menedżerem mojego życia osobistego, lecz również artystycznego. To On spowodował, że spotkałam w Zakopanem znakomitego amerykańskiego saksofonistę Benniego Maupina, który grał m.in. z Milesem Davisem i Herbiem Hancockiem. Bennie zaprosił mnie do współpracy, której owocem była płyta „Early Reflections” i pięcioletnia trasa koncertowa po prestiżowych klubach jazzowych na świecie, takich jak: Catalina Jazz Club w Hollywood, Jazz Standard w Nowym Jorku, Blue Note w Mediolanie, Jazz Club Ferrara we Włoszech (Rzym, Sycylia, Werona, Katania), Club Quasimodo w Berlinie. Graliśmy także we Francji, Szwajcarii, Słowacji, no i oczywiście w Polsce – w Zakopanem, Kaliszu i Krakowie. To były znakomite lekcje muzyki, cudowne miejsca, fantastyczne zespoły, światowej klasy jazzmani, a wśród rekinów jazzu byłam ja – Hanka Rybka.

RÓŻANIEC

Prezent z Jerozolimy. Dla mnie różaniec to podstawa, dlatego wszędzie ze mną jeździ. Nie zawsze mam czas na modlitwę, ale wiem, że go mam przy sobie i wtedy nie jestem sama.



MODLITEWNIK



Święty Józef jest patronem rodzin, a tym samym mojej rodziny. Powierzam mu moich bliskich i siebie samą. Nawet gdy jestem daleko od domu, to z modlitewnikiem czuję, że jestem blisko ukochanych.

PŁYTA

Zatytułowana „Gwiozdkowo Opowiostka” z podhalańskimi pastorałkami i polskimi kolędami w pięknej aranżacji Karima Martusewicza. Stworzona ze świetnymi muzykami (Andrzej Jarząbek, Andrzej Polak, Paweł Trebunia-Tutka, Paweł Szaflarski, Leszek Szczerba, Mateusz Pospieszalski, Grzegorz Lalek, Patryk Rogoziński, Piotr „Stopa” Żyżelewicz, Sławomir Berny), której utwory łączą w sobie tradycję kolędowania na Podhalu z energią i finezją muzyki etnicznej oraz brzmieniem klasycznym.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efefd978f4





CHUSTA

Szal to większy kawałek materiału pięknie przyozdobiony frędzlami i noszą go starsze kobiety, natomiast chustki zakładają nieco młodsze, takie jak ja, ale dojrzałe góralki mogą je też założyć, jeżeli chcą się tylko odmłodzić.



KOŻUSZEK

W przeciwieństwie do serdaka kożuszek jest wykorzystywany zimą. Uszyty z owczej skóry, ma charakter i dobrze grzeje. Solidnie wykonany z pięknymi zdobieniami ma swoją wartość, a na Podhalu musi mieć go każdy.

KORALE I KOLCZYKI

Integralna część ubrania góralek. Są to rodowe korale, które przechodzą z pokolenia na pokolenie. Te dostałam od mojej mamy. Jest to przepiękna biżuteria o dużej wartości, która dodaje urody.







KOSMETYCZKA

Jeżeli trzeba rękę Boga poprawić, to mam jak każda niewiasta w pobliżu kosmetyczkę, szczególnie gdy jest się wcześniej urodzoną.



GORSET

Rękodzieło autorstwa wybitnej podhalańskiej artystki, mojej koleżanki Józi Zubek. Gorset to podstawa naszego ubioru, podkreśla kształty i uwydatnia kobiece piękno, bez względu na figurę.



PERFUMY

Mniej góralski zapach, tylko światowy, żeby nie odstraszać, tylko przyciągać.



WSTĄŻKA

Do estetycznego związania gorsetu.



LEKARSTWA

Gdy jest trasa koncertowa, szczególnie w okresie zimowym przydają się leki, żeby coś naoliwić, podreperować struny głosowe. Rzadko używam, ale lepiej mieć, niż nie mieć.



SPÓDNICA

Dawniej góralki nosiły bardzo skromne gładkie spódnice. Z biegiem lat co bogatsze sprowadzały z Krakowskiego spódnice ozdobione kwiatami, które zakładały na odświętne okazje. I tak wzór krakowski przyjął się na Podhalu.



KIERPCE

Skórzane, muszą idealnie pasować. Wykonywane ręcznie od dekad niezmiennymi metodami. W zależności od potrzeb i gustu zamawiającego mogą mieć mniej lub więcej zdobień.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl efefd978f4

OGNIEM NA WPROST

Stan ducha Francuzów



Nanterre, Francja. 8 grudnia w jednej z parafii tego miasta islamiści zaatakowali maryjną procesję" – podaje portal Vaticannews.va. Biskup Matthieu Rougé, ordynariusz Nanterre, stwierdził, że choć dotychczas w jego diecezji tego typu zachowania występowały sporadycznie, to całkiem inna sytuacja panuje w większych miastach i na dużych osiedlach. Tam – jak relacjonuje duchowny – sami wierni oraz ich dzieci „są niekiedy przedmiotem obraźliwych czy wręcz niepokojących ataków słownych ze względu na ich chrześcijańską wiarę". Bp Rougé podkreśla, że we Francji niezbędne jest obecnie zapewnienie chrześcijanom „możliwości pełnego korzystania z wolności religijnej, która obejmuje również wyrażanie swej wiary na zewnątrz, np. w postaci procesji". Hierarcha zwrócił też uwagę na konieczność wypracowania nowego stylu relacji międzyreligijnych, a dialog między chrześcijanami i muzułmanami nie powinien być ustalany jedynie na poziomie rzeczników i hierarchii wyznań. Uważa, że w taki dialog zaangażowane powinny być całe wspólnoty. Dziwne w tym wszystkim jest to, że Francja od ponad dekady ma problem z asymilacją imigrantów i jak dotąd nie wypracowano żadnych widocznych form dialogu pomiędzy tak różnymi wspólnotami religijnymi, jak chrześcijanie i muzułmanie. Mleko się rozlało i tłumy „nachodźców" znalazły się we Francji. A teraz nie ma praktycznie sposobu, jak sobie z tym multikulti poradzić.

Burmistrz francuskiej gminy Var (Lazurowe Wybrzeże) chciał nadać jednemu z gimnazjów imię zamordowanego nauczyciela Samuela Paty. Głowę obciął mu 18-letni Czeczen za to, że pokazywał uczniom karykatury Mahometa. Jednak pomysł upadł ze względu na sprzeciw nauczycieli i rodziców. W wewnętrznej ankiecie 100 proc. nauczycieli, 89 proc. rodziców oraz 69 proc. uczniów opowiedziało się przeciwko zmianie nazwy gimnazjum. „Oczywiście chcemy oddać hołd naszemu koledze, [...] ale zmiana nazwy szkoły na Samuela Paty, naszym zdaniem, nie jest dobrym pomysłem – wyjaśniała Sandra Olivier, przedstawicielka związku zawodowego nauczycieli. – To czyni nas celem. Nie potrzebujemy tego. To ryzyko, którego można uniknąć". Władze gminy Var są załamane postawą szkoły. „To jest niepokojące. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, że pozwalamy, by wartości Republiki wymknęły się nam z rąk. Musimy powstać i bronić tych wartości" – przekonywał burmistrz Robert Beneventi. – Mamy do czynienia ze zwykłym tchórzostwem. Taki jest ogólny stan ducha naszego narodu" – dodał. Z kolei prezydent Emmanuel Macron przyznał nauczycielowi najwyższe odznaczenie Republiki – Legię Honorową, i wziął udział w jego pogrzebie, z którego okazji wygłosił jedno z najważniejszych przemówień w najnowszej historii Francji.

Przedstawiciele Pentagonu odwiedzili Ukrainę, by przeprowadzić rozmowy na temat „problemów obrony powietrznej i tego, czego im w tym zakresie brakuje". Dziś wiemy jedynie, że systemy obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej to jeden z głównych elementów uzbrojenia, których brakuje Ukraińcom. Wchodzą w nie m.in. zestawy Patriot i Żelazna Kopuła. Szczegóły mają podać Amerykanie, jak tylko zapadnie decyzja o wysłaniu kolejnej partii uzbrojenia do Kijowa. Tak jak działanie rakiet Patriot jest powszechnie znane, tak jeśli chodzi o Żelazną Kopułę, to warto poświęcić jej kilka zdań. Ten izraelski system posiada zdolność obrony obszaru o powierzchni ok. 150 km kw. przed pociskami artyleryjskimi kalibru 155 mm i rakietami o zasięgu do 70 km. System działa niezależnie od pogody i pory dnia, zwalczając jednocześnie wiele celów. W kwietniu 2012 r. przechwycił 93 rakiety, w listopadzie 2012 r. w ciągu tygodnia zestrzelono 421 rakiet. Zdaniem izraelskich wojskowych skuteczność systemu osiągnęła 87 proc. przy ówczesnym użyciu pięciu baterii przeciwrakietowych. Dawni kozacy Bohdana Chmielnickiego mogli tylko pomarzyć o takim sprzęcie.

Jak informuje wywiad ukraińskiego resortu obrony, na części terytorium wschodniej Ukrainy, niekontrolowanej przez rząd w Kijowie, na stałe stacjonuje 600–800 rosyjskich oficerów i generałów. Kadrowi rosyjscy wojskowi zajmują dowódcze stanowiska w 1. i 2. Korpusie Armijnym „rosyjskich wojsk okupacyjnych". 1. i 2. Korpus Armijny utworzono z wykorzystaniem batalionowych grup taktycznych sił zbrojnych Rosji, które wkroczyły na terytorium Ukrainy w sierpniu i wrześniu 2014 r. „Rola i miejsce tych korpusów są jasno oznaczone w planach wykorzystania sił zbrojnych Rosji przeciwko naszemu państwu i przewidują prowadzenie za ich pomocą zarówno obronnych, jak i ofensywnych operacji" – podkreślono w komunikacie. Ta całkiem spora liczba rosyjskich oficerów jest kolejną przesłanką, że Kreml jak na razie nie wycofuje się z planów ataku na Ukrainę. I to jest niepokojące.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efefd978f4

Praca zdalna trafi do Kodeksu pracy



Marta Kaczyńska-Zielińska

Pandemia wymusiła zmiany na rynku pracy, a także przyspieszyła cyfryzację przedsiębiorstw oraz skłoniła pracodawców do uelastycznienia form zatrudnienia. Jednym z rozwiązań przewidzianych przez przepisy mające na celu niwelację skutków rozprzestrzeniania się infekcji jest praca zdalna. Przygotowywana nowelizacja przepisów Kodeksu pracy, która wedle założeń ma wejść w życie po odwołaniu stanu epidemii, wprowadzi wspomnianą instytucję do katalogu powszechnie stosowanych form świadczenia pracy. Stanowi ona kompilację regulacji specjalnej odnoszącej się wyłącznie do funkcjonowania rynku pracy w stanie epidemii, a także dotyczącej ustanowionej już w przepisach kodeksowych telepracy oraz praktykowanej w ramach zasady swobody umów tzw. home office.

Zgodnie z projektem świadczenie pracy w formie zdalnej ma zastąpić możliwość jej wykonywania w ramach telepracy. Wedle nowych przepisów Kodeksu pracy praca zdalna może być wykonywana całkowicie lub częściowo w miejscu wskazanym przez pracownika i każdorazowo uzgodnionym z pracodawcą, w tym pod adresem zamieszkania pracownika, w szczególności z wykorzystaniem środków bezpośredniego porozumiewania się na odległość. W ramach swoich obowiązków pracownik będzie wykonywać swoje obowiązki z wykorzystaniem środków porozumiewania się na odległość, a także pozostając w uzgodnionym z pracodawcą miejscu, będzie mógł świadczyć usługi materialne. W świetle założeń ustawodawcy praca zdalna będzie sprzyjać hybrydowej organizacji czasu pracy, tak aby w zależności od warunków pracownik w pewnym okresie czasu pozostawał np. w domu, a w innym stawiał się w zakładzie pracy.

Warunki pracy zdalnej zostaną ustalone w drodze uzgodnień pracodawcy i pracownika albo w drodze polecenia pracodawcy. Możliwe będzie także zawnioskowanie przez pracowników o przejście w tryb pracy zdalnej, jeżeli pracownik jest rodzicem dziecka do czwartego roku życia, dziecka niepełnosprawnego albo sprawuje opiekę nad innym członkiem najbliższej rodziny lub inną osobą pozostającą we wspólnym gospodarstwie domowym, posiadającym orzeczenie o niepełnosprawności albo orzeczenie o umiarkowanym lub znacznym stopniu niepełnosprawności.

Udogodnieniem dla pracownika może się okazać okazjonalne świadczenie pracy zdalnej w wymiarze do 24 dni w ciągu roku na jego wniosek, składany także w formie elektronicznej. Pracodawca będzie mógł odmówić uwzględnienia wniosku z uwagi na organizację pracy lub rodzaj pracy wykonywanej przez pracownika. Miejsce pracy zdalnej zostanie wskazane przez pracownika, ale będzie wymagało akceptacji pracodawcy. Może to być miejsce zamieszkania pracownika lub każde inne miejsce każdorazowo uzgodnione z pracodawcą. Pracodawca nie będzie mógł jednostronnie narzucić pracownikowi miejsca wykonywania obowiązków służbowych.

Z uprawnienia do wydania polecenia wykonywania pracy zdalnej pracodawca będzie mógł skorzystać w okresie obowiązywania stanu nadzwyczajnego, stanu zagrożenia epidemicznego albo stanu epidemii oraz w okresie trzech miesięcy po ich odwołaniu oraz w okresie, w którym z powodu siły wyższej zapewnienie przez pracodawcę bezpiecznych i higienicznych warunków pracy w dotychczasowym miejscu pracy pracownika czasowo nie jest możliwe. Przesłanka siły wyższej odnosi się zaś wyłącznie do zdarzeń o charakterze zewnętrznym względem zakładu pracy, niemożliwym do przewidzenia i takim, którego skutkom nie można zapobiec. Skierowanie do pracy zdalnej będzie następowało wyłącznie wtedy, gdy pracownik uprzednio oświadczy, że dysponuje warunkami lokalowymi i technicznymi do wykonywania pracy zdalnej.

Każda ze stron umowy o pracę będzie mogła wystąpić z wiążącym wnioskiem o zaprzestanie wykonywania pracy zdalnej i przywrócenie poprzednich warunków wykonywania pracy. Strony ustalają termin, od którego nastąpi przywrócenie poprzednich warunków wykonywania pracy. W razie braku porozumienia przywrócenie poprzednich warunków wykonywania pracy następuje w dniu następującym po upływie 30 dni od dnia otrzymania wniosku.

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ANDRZEJA ROZPŁOCHOWSKIEGO

legendarnego działacza Solidarności na Śląsku,
uczestnika strajków w Hucie Katowice,
sygnatariusza Porozumień Katowickich z 1980 r.,
opozycjonisty bez reszty oddanego Polsce
prawdziwie wolnej i niepodległej.

Oskarżony o „próbę obalenia siłą ustroju PRL",
w 1988 r. wyemigrował do Stanów Zjednoczonych,
gdzie całym sercem angażował się w działalność
organizacji polonijnych.

Odznaczony srebrnym Krzyżem Zasługi,
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
i Krzyżem Wolności i Solidarności.

Odszedł
współtwórca suwerennej Rzeczypospolitej,
człowiek dzielny i prawy, który nie wahał się wybrać tego, co słuszne.

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

59/MD/2021

eprasa.pl efefd978f4

Pamiętamy jeszcze, kto jest w centrum tego wszystkiego?



Samuel Pereira

Obserwuję to, co z każdym rokiem robi się z Bożym Narodzeniem, z coraz większym smutkiem i zwątpieniem. Pal sześć komercję wdzierającą się już od listopada drzwiami i oknami, ale okazuje się, że dla niektórych samo uznanie, kto jest solenizantem tego święta, jest największą tragedią, jaka mogłaby im się przydarzyć.

Myślę tu np. o mojej kochanej Warszawie, gdzie prezydent nie potrafi uszanować tego święta i zauważyć, kto 25 grudnia obchodzi swoje urodziny i to przerasta jego intelektualne i cywilizacyjne możliwości. Zamiast tego wybiera estetykę pustki w peerelowskim stylu, a to wszystko ozdobione pięcioma i trzema gwiazdkami, tak żeby nikt nie miał wątpliwości, że Boże Narodzenie kojarzy się panu Rafałowi Trzaskowskiemu z „jeb...em" konkurencji politycznej. W podobnym duchu na pikiecie poświęconej bronieniu interesów Discovery wzywano do tego, żeby przy wigilijnym stole spierać się o politykę. Zastanawiałem się, czy naprawdę to tak będzie u nich wyglądać, że nie znają nawet prezesa i członków zarządu bronionej firmy, ale dla ich partykularnych interesów będą gotowi zburzyć świąteczny pokój i dobroć?

Wierzę, że tak się nie stanie, że zwycięży serce i zdrowy rozsądek, które nie mogą pozwolić nam zapomnieć, że w centrum tego wszystkiego jest On. Jezus, który dla nas przyszedł na świat, mały duży człowiek, który jest miłością, który każdemu z nas chce przynieść ulgę w cierpieniu, a grzechy ze sobą zabrać na krzyż, a na końcu zmartwychwstając, dać nadzieję na coś więcej. Do zrozumienia tego nie trzeba być nawet wierzącym, bo takie wartości, jak miłość, pokora i miłosierdzie wpisane są w tożsamość naszego kraju – niezależnie od nauczania Kościoła katolickiego. Oczywiście nie wszystkim jest to na rękę, bo przecież współczesność ma nieść z sobą konsumpcjonizm, egoizm, pośpiech, wrzask i nienawiść. Ta ostatnia mocno dała o sobie w mijającym roku, dlatego tym bardziej nie możemy się jej poddać, pamiętając, że ostatecznie naprawdę zło można zwyciężyć tylko dobrem.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Z przytupem i na bogato

Z Kajrą (Magdaleną Kajrowicz) i Sławomirem (Zapałą)
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Nawiązując do waszego przeboju, miłość „zapłonie, zakwitnie czy może też zatańczy" w Zakopanem?

Sławomir: Czasami miłość może też zmarznąć w Zakopanem, ale mam nadzieję, że nuty, które popłyną podczas tegorocznego „Sylwestra marzeń" z Dwójką, rozgrzeją wszystkich i dadzą dużo radości.

Cieszycie się z powrotu do Zakopanego?

Kajra: Bardzo, bo to jest wyjątkowe, wręcz magiczne miejsce.

Sławomir: Góry, przyroda wokół... I górale, którzy umieją okazać radość (potrafią też pędzić wspaniale rozgrzewające trunki). Chociaż atmosfera w sylwestrową noc w Zakopanem i bez procentów jest gorąca. Pamiętam nasz występ, gdy pod sceną było 100 tys. ludzi. Niesamowita energia i niezapomniane wrażenie.



A z tegorocznej sylwestrowej estrady, co zabrzmi poza „Miłością w Zakopanem"?

Sławomir: Bardzo czekaliśmy na możliwość koncertowania i skonfrontowania z publicznością piosenek z naszej najnowszej płyty.

Kajra: A ponieważ jaki sylwester, taki cały rok, więc mamy nadzieję, że będzie z przytupem, na bogato, by przyszły rok obfitował w koncerty.

Czego jeszcze sobie i słuchaczom życzycie na 2022 r.?

Kajra, Sławomir: Zdrowia!

Sławomir: A także, by słowo „pozytywny" znów znaczyło to, co powinno znaczyć. I, oczywiście: uśmiechu, pogody ducha...

Kajra: ...dystansu.

Sławomir: Tak, trochę jesteśmy po to, by odciągnąć słuchaczy od trudnych codziennych spraw. Życzymy więc również odrobiny radosnego zapomnienia. I kochających ludzi wokół.

Fot. Jan Bogacz/TVP



270 mln

o tyle więcej jest na świecie muzułmanów od katolików

75 765

tyle osób (96 proc.) głosowało na wyspie Nowa Kaledonia za pozostaniem częścią Francji (przeciw niepodległości)

7530

ten rok kalendarzowy zaczniemy według staroobrzędowego odłamu prawosławia (lata od „stworzenia świata”)

Fot. shutterstock, Andrzej Wiktor

Rząd zdecydował, że nie podejmiemy żadnych działań, by zmienić system ochrony granic. Utrzymamy dotychczasowe procedury, choć trybunał europejski zlecił nam je zmienić

premier Węgier Viktor Orbán



Oni nie chcą obalać tej władzy, oni chcą jątrzyć

poseł Paweł Kukiz o Platformie Obywatelskiej

Największym problemem dzisiejszej Europy jest totalitaryzm ideologii neomarksistowskich

minister Przemysław Czarnek w wykładzie dla Accademia Federale Lega

Zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: FOT. DANIEL JANIN / STF / EASTNEWS, MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS, JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI / REPORTER / EASTNEWS, SHUTTERSTOCK , TWITTER.COM/MAGAZYNSLEDCZY



Z żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

IZABELI BROKOS

Wspaniałej koleżanki, kobiety obdarzonej niezwykłym ciepłem, życzliwością i serdecznością.

W tych trudnych chwilach łączymy się w bólu z Rodziną i Najbliższymi.

Przekazujemy Wam wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje

Izo, na zawsze pozostaniesz w naszych sercach.

Koleżanki i koledzy z Saltus Ubezpieczenia

60/1221/F



Pani

XENII KRUSZEWSKIEJ

oraz jej Najbliższym

Przekazujemy szczere wyrazy współczucia i żalu

Z powodu śmierci

Taty

Łączymy się z Wami w bólu

Zarząd i pracownicy Saltus Ubezpieczenia

64/1221/F

eprasa.pl efefd978f4

Tajemnice Michnika



Na początku grudnia tego roku zobaczyliśmy w TVP sceny z 2000 r., w których Adam Michnik ściska się z Wojciechem Jaruzelskim i wychwala go jako wybitnego polskiego patriotę. Dlaczego Michnik dał się nagrać? Skąd wzięły się taśmy, na których zarejestrowano nocne odwiedziny? Czy ujawnione urywki spotkania mówią nam coś więcej o relacjach dziennikarza z byłym dyktatorem?

W sierpniu 2020 r. celnicy warszawskiego lotniska międzynarodowego Okęcie odnotowali, że jakaś kobieta chce wywieźć do Ameryki poważne ilości dokumentów i kaset magnetofonowych oraz VHS. Materiały, jak się okazało, pochodziły z prywatnego archiwum śp. Teresy Torańskiej, ważnej pisarki i reportażystki, autorki słynnego cyklu książek wywiadów dokumentujących historię PRL: „Oni" to rozmowy z komunistami, twórcami PRL, „My" to z kolei zapis wywiadów z przedstawicielami Solidarności.

Na lotnisku szybko stwierdzono, że zgodnie z prawem te materiały nie mogą opuścić Polski. Artykuł 54 Ustawy o IPN mówi jasno, że bez stosownego pozwolenia niektórych rzeczy z kraju wywozić nie wolno, np. starszych pism urzędowych czy materiałów, na których zarejestrowane zostały ważne wydarzenia historii najnowszej (którą zajmuje się IPN). Przepisy zakładają poważne kary dla tego, kto „w inny sposób udaremnia lub znacznie utrudnia uprawnionej osobie lub instytucji zapoznanie się z nimi [materiałami – przyp. red.] albo zakłóca lub uniemożliwia automatyczne gromadzenie lub przekazywanie takich informacji, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8". Tak samo nie wolno z Polski wywozić starych przedmiotów czy dzieł sztuki, bo prawo w ten sposób chroni dorobek kulturowy i historyczny.



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Zaskoczenie może więc budzić to, że spadkobierca Teresy Torańskiej opublikował niedawno na łamach „Gazety Wyborczej" swój sprzeciw wobec zatrzymania tych materiałów – przecież pozwolił na ich wywiezienie, czymże więc tutaj się chwalić? A jednak 13 grudnia w prasie można było przeczytać jego list otwarty do prezesa IPN dr. Karola Nawrockiego. „Mam poważne wątpliwości, czy IPN daje rękojmię należytego postępowania z cennymi materiałami oraz zachowania tajemnicy dziennikarskiej, którą zawiera archiwum" – czytamy w tekście Leszka Sankowskiego, partnera i spadkobiercy Torańskiej. To zaskakujące, że człowiek, który zamiast zgodnie z prawem przekazać tę spuściznę instytucjom państwowym – a w grę wchodzi nie tylko IPN, lecz także np. Archiwum Akt Nowych – pozwolił na wywiezienie tych papierów do Ameryki. Czy to ma być to „należyte postępowanie z cennymi materiałami"?

Fot. twitter.com/MagazynSledczy

eprasa.pl efefd978f4

tajemnicami III RP



Co więcej, dorobek Torańskiej: rękopisy, notatki, nagrania, kopie zdjęć i innych rzeczy, miały być przekazane Instytutowi Hoovera w USA, placówce, która zbiera źródła historyczne z całego świata. To zrozumiałe, że państwo polskie chce skarby własnej historii zachować dla siebie. Torańska prowadziła wywiady, rozmowy albo przyjaźniła się z najważniejszymi postaciami najnowszych dziejów Polski: Jakubem Bermanem, Edwardem Ochabem, Adamem Michnikiem i Wojciechem Jaruzelskim. To właśnie sprawa tych dwóch ostatnich spowodowała, że „Gazeta Wyborcza" ruszyła z nową krucjatą przeciwko IPN.

7 grudnia TVP wyemitowała „Magazyn śledczy Anity Gargas", w którym zarejestrowano wizytę Adama Michnika 13 grudnia 2000 r. w domu u gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Naczelny „Gazety Wyborczej" właśnie oddał do druku nowy numer pisma, w którym przypominano dramat wprowadzenia stanu wojennego, a sam udał się do autora tej tragedii. Przy alkoholu i słodkich słówkach obaj panowie wyznawali sobie wręcz miłość. O swojej niezapowiedzianej wizycie u generała dziennikarz mówił: „Ja jego zawsze zaskakuję, wiesz dlaczego, bo ja go kocham, ja nic nie poradzę". „Tylko miłość z wzajemnością ma przyszłość" – odpowiadał Jaruzelski. Rozmówcy zdradzali, jak się pierwszy raz spotkali osobiście, jak przy szklance koniaku przeszli na ty, że dla Jaruzelskiego było to zaszczytem, a Michnik do znudzenia powtarzał, że Jaruzelski jest patriotą, bohaterem, że kocha Polskę, że jest wybitnym Polakiem, że uratował kraj.

PROKOMUNISTYCZNA CZĘŚĆ SOLIDARNOŚCI

Zażenowania nie kryje Jan Rulewski, kiedyś legenda bydgoskiej Solidarności, do niedawna jeszcze senator Platformy Obywatelskiej. – Zdumiewające. Michnik, który lubi wypić, ale się nie upija, tym razem chyba napił się szaleju i mianował człowieka, powszechnie uznawanego jako zatratę dla Polski, jako wybitnego patriotę – komentuje dla tygodnika „Sieci". Opozycjonista antykomunistyczny, internowany w stanie wojennym, polityk, który porzucił politykę, po tym jak jego partia poszła do wyborów europejskich z dawnymi prominentami PZPR (Millerem, Belką, Cimoszewiczem itp.), jest oburzony zachowaniem naczelnego „Wyborczej". Rulewski zapytuje retorycznie, kim mieliby być ludzie Solidarności, skoro Jaruzelski jest „bohaterem" i „patriotą"?

Dr Jarosław Szarek, historyk, publicysta i były prezes IPN, podkreśla, że w ten sposób otrzymaliśmy kolejny dowód na to, co badacze odkrywają od lat. – To był dalszy ciąg bliskości, nie tylko ideowej, ale i towarzyskiej, środowiska, które angażowało się w działania opozycyjne w latach 70., później współtworzyło Solidarność, ale tym ludziom było bliżej do komunistów, o czym zaświadczają także ich rodowody – przekonuje Szarek.

WYBIELANIE STANU WOJENNEGO

Anita Gargas, która zrealizowała materiał o spotkaniu Michnika z Jaruzelskim, także była poruszona odnalezionymi materiałami. – Szokiem był stopień fraternizacji Michnika i Jaruzelskiego – mówi tygodnikowi „Sieci". – Jak daleko można się zaprzyjaźnić ze zbrodniarzem komunistycznym, jednocześnie aspirując do roli legendy, która rozmontowała komunizm? – pyta retorycznie autorka „Magazynu śledczego". Dziennikarka nie ukrywa, że w rozmowie Jaruzelskiego i Michnika, którą odkryła na taśmach z 2000 r., widzi u rozmówców dramatyczne zakłamanie i hipokryzję. – W pewnym momencie

eprasa.pl efefd978f4



Michnik mówi, że stan wojenny był „najbardziej liberalnym zamachem stanu na świecie", bo przecież zginęło „tylko" 40–50 osób – opowiada Gargas. – A co z tymi, których zakwalifikowano jako samobójców, ze zgonami w niewyjaśnionych okolicznościach? A co z tymi, którym odcięte połączenia telefoniczne uniemożliwiły wezwanie karetki? A co z rozbitymi rodzinami? Z emigracją setek tysięcy ludzi – wylicza autorka „Magazynu" i dodaje: – Ludzie ginęli przecież nie tylko od kul. Z łagodzeniem oblicza stanu wojennego i nazywaniem go „liberalnym zamachem stanu" nie zgadza się także dr Szarek. – Wszyscy się skupiają na akcji wojskowo-milicyjnej, ale przy powoływaniu zespołu, który miał od 1980 r. przygotowywać stan wojenny, brały udział MON, MSZ i – zwróćcie na to uwagę – wydział propagandy KC PZPR. Od samego początku to propaganda była kwestią zasadniczą – komentuje historyk, wskazując, że oprócz fizycznego złamania Solidarności chodziło o ulepienie nowego społeczeństwa, złamanie jego kręgosłupa moralnego i jego tożsamości. – Jak odwrócić pojęcia, jak przedstawić operację, która była dławieniem wolności – bo tym była Solidarność – jako dobrodziejstwo – wylicza cechy komunistycznego kłamstwa na temat 1981 r. Wszyscy ci rozmówcy są zgodni, że stan wojenny nie był żadną koniecznością, bo to Jaruzelski prosił marszałka Wiktora Kulikowa o interwencję wojsk Układu Warszawskiego – zaświadczają o tym dzisiaj dokumenty Wasilija Mitrochina, Władimira Bukowskiego i notatka Anoszkina, odkryta kiedyś przez prof. Antoniego Dudka.

Instytut Pamięci Narodowej nie akceptuje opowieści o „liberalnym zamachu stanu". Sam dr Karol Nawrocki, prezes IPN, podkreśla w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", że Jaruzelski zorganizował coś więcej niż wojsko na ulicach: – To nie tylko ofiary śmiertelne, to również dziesiątki tysięcy ludzi internowanych, aresztowanych i sądzonych. To czas rozłąki z najbliższymi i drakońskich wyroków sądowych, pozbawienie wielu osób możliwości edukacji, budowania karier zawodowych, zmuszenie tysięcy do szukania lepszego życia na obczyźnie – komentuje szef IPN.

Gdy spojrzymy na 13 grudnia i jego następstwa, okazuje się wręcz, że mamy do czynienia z cofnięciem cywilizacyjnym Polski. – Dyktatura Jaruzelskiego zakończyła się plajtą – mówi z kolei Rulewski. – Ekonomicznie, politycznie, społecznie – jego zapewnienia z momentu przejmowania władzy w 1981 r. okazały się puste – dodaje działacz Solidarności.

– To wydarzenie, które zahamowało na dekadę polską drogę do demokracji. Śmierć około 100 ludzi to niepotrzebna tragedia. A miała miejsce jedynie dlatego, aby partia komunistyczna mogła zdusić wolnościowe dążenia społeczeństwa i zapewnić sobie trwanie przy władzy. Postrzeganie stanu wojennego jako „najbardziej liberalnego zamachu stanu na świecie" to niestety powtarzanie narracji wprowadzonej jeszcze przez władze komunistyczne. Narracji, która okazała się trwalsza od PRL – przekonuje Nawrocki.

Ale grudniowa noc z 2000 r., utrwalona na taśmach Teresy Torańskiej, ma jeszcze kilka innych znaczeń.

NIE WSZYSTKO DLA OCZU SPOŁECZEŃSTWA

Wylewność Michnika, który do dziś występuje jako bohater, może budzić zdziwienie. Dlaczego dziennikarz był tak absolutnie szczery i otwarty, skoro wiedział, że jego słowa zostaną utrwalone na taśmie? Wśród widzów i komentatorów „Magazynu śledczego" pojawia się pogląd, że to alkohol wywołał przesadne rozczulenie naczelnego „Wyborczej". Gargas stanowczo sprzeciwia się tej opinii. – Michnik wyznaje miłość Jaruzelskiemu nie dlatego, że jest pod wpływem alkoholu, tylko dlatego, że od dawna przekroczył barierę, której ludzie pamiętający PRL i stan wojenny przekraczać nie powinni. On parł do zawarcia przyjaźni z Jaruzelskim i było to interesowne, tak jak było interesowne pojawienie się w domu Jaruzelskiego – przekonuje dziennikarka, która uważnie obejrzała

Fot. twitter.com/MagazynSledczy

całe dostępne z tamtej nocy taśmy. Jej zdaniem Michnik chciał zamanifestować, że uznaje generała za polskiego patriotę. – Proszę zwrócić uwagę, że on przychodzi do niego do domu, żeby go pocieszyć. Nie rodziny ofiar, nie internowanych, nie tych, którym złamano życie, ale tego, który im to życie łamał – słyszymy.

Jan Rulewski, który oprócz tego, że był działaczem Solidarności, to przecież przez dekady był także politykiem, idzie w swoich podejrzeniach jeszcze dalej. – Michnik nie był napity, to była scena na wynos – Rulewski sugeruje, że gość Jaruzelskiego liczył się z tym, że kulisy tego spotkania mogą zostać upublicznione. Zdaniem opozycjonisty w tamtym okresie mogłoby to się Michnikowi nawet przydać, ze względu na... powracających do władzy postkomunistów. – Podejrzewam, że ma to związek z odwróceniem się politycznym w Polsce, wtedy do władzy wracała lewica, SLD. I jeśli tak, to być może chodziło o uzyskanie wpływów, realnych wpływów politycznych, o wpływanie tego demiurga na zmiany w Polsce – przekonuje Rulewski. Były polityk twierdzi zatem, że wizyta u generała była elementem bieżącej gry, bo Jaruzelski był dla postkomunistów autorytetem, a walka o pamięć o stanie wojennym ważnym czynnikiem tożsamościowym. Wiemy, co się działo po 2000 r. – SLD wygrywa wybory, Leszek Miller zostaje premierem, a „Gazeta Wyborcza" idzie po większą władzę w mediach – afera Rywina ujawniła, że redakcja z Czerskiej grała o ukształtowanie przepisów medialnych tak, by było to dla niej z ogromnymi korzyściami. Czy przyjaźń z Jaruzelskim była elementem gry o władzę?

ZROZUMIENIE ZAMIAST OBURZENIA

Nie wszyscy uważają nocne spotkanie z Jaruzelskim za naganne. Roman Graczyk, dziennikarz, autor obszernej biografii naczelnego „Wyborczej" („Demiurg", Warszawa 2021), kontekst sprawy naświetla zupełnie inaczej. – Dziwi mnie zapał Telewizji Publicznej, która chciałaby, zdaje się, pogrzebać publicznie Michnika. Przecież fraternizacja naczelnego „Wyborczej" z Jaruzelskim jest dobrze znana – tłumaczy tygodnikowi „Sieci". Publicysta w swojej książce przypominał np., jak Jaruzelskiego zapraszano do redakcji „Gazety" na dziesięciolecie wyborów czerwcowych. Dziennikarz przekonuje, że jest w Michniku sporo kabotyństwa i egzaltacji, ale on ma po prostu taki charakter. Graczyk jednak stanowczo sprzeciwia się wnioskom, jakoby naczelny „Wyborczej" był pomagierem Jaruzelskiego. „Ten zarzut jest chybiony i niepoważny, to wygląda, jakby Jacek Kurski dostał na Michnika zlecenie". Biograf Michnika przekonuje, że u jego bohatera występuje cecha przesady, że jest mało wyważony i często sam sobie ściąga na głowę krytykę nieprzemyślanymi gestami. Po co więc te wyznania do kamery? Graczyk tłumaczy to specyfiką Michnika. „Przecież on wiedział, że Torańska go nagrywa, ale po prostu miał wówczas przekonanie, że jest demiurgiem, ma moc sprawczą i może sobie pozwolić na więcej".

TAJEMNICE TORAŃSKIEJ

Nie tylko zachowanie Michnika może dziwić. Rozmówczyni generała też zachowuje się w niecodzienny sposób. Tamtej nocy Teresa Torańska kręciła film dokumentalny „Noc z generałem" i pokazywała autora stanu wojennego bardzo życzliwie. Był on właściwie ofiarą komunizmu, Związku Sowieckiego, II wojny światowej, w domu przechowywał pamiątki mające świadczyć o jego patriotyzmie, a piesek z umorusanymi łapkami ocieplał jego wizerunek. Gdy wchodzi nieoczekiwany Michnik, dziennikarka zachowuje się jak gospodyni, podaje do stołu, decyduje, jakie alkohole zabrać z barku. Gościa nagrywa, ale nigdy nie ujawnia tego – pikantnego przecież z punktu widzenia reportażystki – nocnego spotkania. A przecież Torańska jest legendą demaskującą historię komunizmu, wspierającą wolność słowa i demokrację.

Profesor Andrzej Waśko, literaturoznawca, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktor naczelny dwumiesięcznika „Arcana", ma nieco inne zdanie na ten temat. – Wywiady Torańskiej z lat 80. były elementem pozornego rozliczenia komunizmu w wersji stalinowskiej, przez ludzi, którzy byli z tym komunizmem związani – demitologizuje bohaterkę „Gazety Wyborczej" profesor. Elity III RP, zdaniem literaturoznawcy, stworzyły oficjalną wersję rzeczywistości politycznej. – To było środowisko warszawskie, które wydawało więcej tego typu książek, nagłaśniało je i wpisywało w nieformalny kanon lektur walki o demokrację, tymczasem po latach okazało się, że to były pozorne i ocenzurowane omówienia dziejów najnowszych, wioski potiomkinowskie polskiej historii. Ich treść była narracyjnie wymodelowana i korzystna dla układów, które Michnik i Jaruzelski ubijali – podsumowuje badacz i dodaje, że historie bardzo wielu współczesnych postaci będzie trzeba napisać na nowo.

Z tego jednego nagrania wyłania się więc obraz nie tylko zafałszowanej przeszłości, ale i teraźniejszości – bo Michnik i Torańska decydują się przed społeczeństwem ukrywać porozumienia pomiędzy wpływowymi kręgami współczesnej Polski. O mały włos, a te sekrety poleciałyby samolotem do Stanford i nie wyszłyby na światło dzienne w najbliższych latach.

SEKRETY NA SPRZEDAŻ

To nie pierwszy przypadek, gdy tajne lub niejawne materiały są przekazywane poza wiedzą społeczeństwa. W lutym 2016 r. żona gen. Czesława Kiszczaka próbowała sprzedać IPN prywatne archiwum jej męża, m.in. teczki donosów Lecha Wałęsy, co do których sam Kiszczak przekonywał, że nie istniały. Kobieta chciała za to kilkadziesiąt tysięcy złotych – skąd jednak pomysł, by handlować dokumentami jak używanymi meblami?

– To jest proceder byłych funkcjonariuszy służb – opowiada pracownik jednego z państwowych archiwów – oficerowie SB, a czasem inni wpływowi komuniści wyprzedają cenne materiały, by zarobić poważne pieniądze – tłumaczy. Historyk, nieformalnie zajmujący się rozmowami z posiadaczami takich archiwaliów, opowiada, że także zagraniczne instytucje, zwłaszcza amerykańskie, są gotowe zapłacić nie tylko za notatki, taśmy i nagrania, ale nawet za niektóre zdjęcia wpływowych osób albo ich osobiste pamiątki. – Więcej powiedzieć nie mogę – wyznaje badacz. – Wciąż staramy się, by tego nie wyprzedano.

Zakłamywanie historii, zatajanie faktów i powiązań, a nawet handel historycznymi świadectwami – co jeszcze ukryto przed nami po 1989 r.?

Śmierć w Pszczynie: anatomia manipulacji



Dotarliśmy do nowych faktów w sprawie dramatycznej historii 30-letniej pani Izy, która zmarła w szpitalu w Pszczynie. Coraz wyraźniej widać, że ta sprawa nie miała nic wspólnego z ubiegłorocznym wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, dotyczącym legalności przerywania ciąży. Stał się on jednak zasłoną dymną dla wręcz skandalicznych błędów i zaniedbań lekarzy



DOROTA ŁOSIEWICZ

22 września 2021 r. w Szpitalu Powiatowym w Pszczynie zmarła 30-letnia kobieta, która była w 22. tygodniu ciąży. Osierociła córkę. Kobieta zgłosiła się do szpitala z żywą ciążą z powodu odpłynięcia płynu owodniowego. „Przy przyjęciu stwierdzono bezwodzie i potwierdzono zdiagnozowane wcześniej wady wrodzone płodu. W toku hospitalizacji płód obumarł. Po niespełna 24 godzinach pobytu w szpitalu zmarła także pacjentka. Przyczyną śmierci był wstrząs septyczny" – brzmi fragment komunikatu, który opublikowała pełnomocniczka rodziny zmarłej kobiety, mec. Jolanta Budzowska. Ten komunikat wywołał burzę w mediach i uliczne protesty, których organizatorzy twierdzili, że pani Iza zmarła, ponieważ wyrok Trybunału Konstytucyjnego związał lekarzom ręce.

Sprawę wciąż bada Prokuratura Regionalna w Katowicach, która przejęła postępowanie 7 października z prokuratury rejonowej. Postępowanie prowadzone jest w sprawie nieumyślnego spowodowania zgonu pacjentki. Skończyła się natomiast kontrola Narodowego Funduszu Zdrowia w Szpitalu Powiatowym w Pszczynie, która potwierdziła rażące nieprawidłowości w organizacji, sposobie realizacji i w jakości świadczeń udzielonych pacjentce. NFZ nałożył na placówkę karę w wysokości blisko 650 tys. zł. Według kontrolerów zachowanie lekarzy nie spełniało kryterium należytej staranności oraz nie zapewniało standardu bezpieczeństwa zmarłej pacjentki. Kontrolerzy ustalili, że podjęcie decyzji o rozwiązaniu ciąży nastąpiło zbyt późno, tym samym personel nie reagował adekwatnie do objawów klinicznych pacjentki wskazujących na rozwijający się wstrząs septyczny. Stwierdzono również m.in. brak stałego monitorowania stanu pacjentki oraz zlecenia koniecznych dodatkowych badań kontrolnych.

CZY DZIECKO MOGŁO BYĆ ZDROWE?

Jednak całą sprawę w zupełnie nowym świetle postawiła wypowiedź mamy pani Izy, która w rozmowie z dziennikarzami „Super Expressu" stwierdziła, że jej wnuk mógł być zdrowy, choć od początku tej historii słyszymy o „wrodzonych wadach płodu". „Błąd medyczny zakończony śmiercią? Kim oni byli, ci lekarze? Kim?" – pytała pani Barbara w rozmowie z „SE". „Mówią, że

eprasa.pl efefd978f4



Fot. Beata Zawrzel/Reporter

zrobili wszystko, co w ich mocy, a nie zrobili" – powiedziała kobieta po publikacji raportu NFZ. „Ja mam sekcję zwłok dziecka i dziecko było zdrowe. Iza do końca w to wierzyła" – dodała. Kobieta twierdzi, że lekarze mogli uratować nie tylko jej córkę, ale także wnuka. „Oni mieli przede wszystkim ratować to dziecko. Co oni wymyślają o tej aborcji? Czy ona [Izabela – przyp. red.] poszła po aborcję do szpitala? Nie była przecież po wypadku, to była zdrowa dziewczyna. Odeszły wody płodowe. Mieli ratować to dziecko" – mówi babcia Leosia, bo takie nadano chłopcu imię po śmierci. „To dziecko miało 55 deka, tak wyszło po sekcji zwłok. Nie 485 gram, jak jej powiedzieli w szpitalu po USG. Takie dzieci żyją. Ja mam sekcję zwłok dziecka. Ono było zdrowe. Moja córka do końca wierzyła, że dziecko jest zdrowe. Podobno przy tego typu wadach pojawiają się takie błędy. Córka od znajomej zgodziła się urodzić dziecko z tą samą wadą. Ono było również zdrowe" – tłumaczyła w rozmowie z „SE" pani Barbara.

Z informacji, do których dotarłam, wynika, że w sekcji zwłok chłopca zapisano, że dziecko nie miało widocznych wad. Natomiast z dokumentacji medycznej pani Izabeli wynika, że po pierwszym badaniu prenatalnym ujawniło się wysokie ryzyko trisomii 21, czyli potocznie zespołu Downa. W wyniku badania zapisano, że „ryzyko aberracji chromosomalnych płodu po badaniach prenatalnych I trymestru (USG NT + test podwójny) wynosi 1:113. Jest to grupa wysokiego ryzyka (wyższego niż populacyjne), ale to nie oznacza jeszcze, że dziecko na pewno byłoby obciążone genetycznie. Wciąż pozostawało 112 szans, że wszystko byłoby w porządku.

– Tygodniowo mam dwie pacjentki z takim wynikiem i przeważnie dzieci rodzą się zdrowe – słyszę od ginekologa, który jednak prosi, by nie podawać jego nazwiska, gdyż boi się ataku aborcjonistów. – W takiej sytuacji pacjentkom zaleca się przeprowadzenie amniopunkcji lub wolnego DNA płodowego. Rekomendację do amniopunkcji trzeba wpisać w kartę. Pacjentki podejmują jednak bardzo różne decyzje. Ostatnio na amniopunkcję nie zdecydowała się pacjentka, która miała ryzyko 1:6, ale to ze względu na wiek (była po czterdziestce), a wtedy ryzyko rośnie, jednak dziecko w badaniu USG było ewidentnie zdrowe – słyszę od lekarza.

Pani Iza nie zdecydowała się na pogłębienie diagnostyki. To prawdopodobnie znaczy tyle, że chciała urodzić syna bez względu na to, czy byłby obciążony zespołem Downa, czy nie. To współbrzmi z wypowiedzią mamy kobiety dla „Uwagi" TVN, nagranej gdy sprawa wyszła na światło dzienne. „Z badań, które wykonała na początku września, wynikało, że dziecko może

eprasa.pl efefd978f4

mieć liczne wady. Mimo tego zdecydowała się donosić ciążę" – mówiła wówczas pani Barbara.

W trakcie sekcji zwłok pobrano próbki tkanek do dalszych badań, by następnie zasięgnąć opinii biegłych, którzy mają się wypowiedzieć co do szczegółowych okoliczności śmierci. Na ten moment z opinii sądowo-lekarskiej sporządzonej na początku grudnia wynika, że „za wnioskami posekcyjnymi oraz przesłanymi wynikami badań mikroskopowych – powtórzyć można, że przyczyną wewnątrzmacicznego obumarcia płodu – syna Izabeli [...] mogło i najpewniej stało się przedwczesne odejście wód płodowych". Kluczowe dla śledztwa będą wnioski opinii medycznej wydanej na podstawie dotychczas zgromadzonego materiału dowodowego.

MATKA I DZIECKO SKAZANI NA CIERPIENIE?

Co to wszystko znaczy? „Skazali na nieludzkie tortury i dziecko, i matkę" – mówi w rozmowie z „SE" mama zmarłej 30-latki. Podobną, nieoficjalną opinię słyszę od mojego rozmówcy w prokuraturze: – Można powiedzieć, że nawet jeśli płód obciążony był trisomią 21, to jego obumarcie nastąpiło w wyniku przedwczesnego odejścia wód płodowych. Błąd polegał na tym, że lekarz nic nie zrobił po odejściu wód. Nawet nie wiedział, kiedy to nastąpiło. To doprowadziło do obumarcia płodu. Potem całą noc pacjentka nie była monitorowana i nie przetoczono jej krwi na czas, co doprowadziło do ostrej sepsy organizmu i nad ranem jej zgonu – słyszę.

> W tej bulwersującej sprawie wygląda na to, że lekarze nie podjęli próby ratowania życia ani matki, ani dziecka, które – jak się okazuje – mogło być zdrowe

Krótko mówiąc, do śmierci dziecka nie doszło z powodu jego wad genetycznych, ale dlatego, że nie podjęto próby jego ratowania. NFZ wskazał, że medycy nie podjęli czynności mogących ratować życie pani Izabeli, gdy ta zgłaszała, że jej stan się pogarsza. „Personel nie reagował adekwatnie do objawów klinicznych pacjentki" – zapisano w raporcie NFZ.

„Do szpitala poszła zdrowa dziewczyna, po prostu odeszły jej wody. Ona pisała mi, że to dziecko też się męczy. Dlaczego lekarze skazali na męczarnie nie tylko Izę, ale i dziecko? Wiedzieli, że nie ma wód. Czekali, aż umrze w męczarniach" – komentowała w mediach matka zmarłej Izabeli.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie obumarł płód, ponieważ jego stan nie był monitorowany. Wobec pani Izabeli lekarze przyjęli postawę wyczekującą, choć z esemesów i relacji pacjentki z łóżka obok wynika jasno, że informowała personel o swoim pogarszającym się samopoczuciu. „Kilkukrotnie zgłaszała położnym, że czuje się coraz gorzej. Mówiła to także lekarzowi, który był tylko raz na wizycie. Przez całe popołudnie nie było już żadnego lekarza. Około godz. 20 zobaczyłam, że siedzi po turecku na łóżku i cała się trzęsie. Miała chyba 40 stopni gorączki" – opowiada kobieta, która dzieliła salę z panią Izabelą.

Relacje świadków stoją w sprzeczności ze słowami rzecznik prasowej Szpitala Powiatowego w Pszczynie Barbary Zejmy-Oracz, która świeżo po wybuchu skandalu oświadczyła: „Mogę powiedzieć, że była pod stałą opieką lekarską. Nie było sytuacji, w której pozostawiona była bez opieki. Dbał o nią cały zespół i proces leczniczy był prowadzony od samego początku".

W tym miejscu warto dodać, że do Prokuratury Regionalnej w Katowicach wpłynęło także zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa fałszowania dokumentacji medycznej związanej z pobytem pani Izabeli w szpitalu w Pszczynie. Prokuratura bada i ten wątek sprawy.

POLITYKA NA RATUNEK

Na pytanie, czy można było uratować dziecko, muszą odpowiedzieć biegli. Trzeba pamiętać, że ciąża była bardzo wczesna. Na pewno jednak próba zrobienia czegokolwiek byłaby lepsza niż niezrobienie niczego. Po dramatycznej historii z Pszczyny Ministerstwo Zdrowia przypomniało, jak należy postępować w przypadku odpływania płynu owodniowego w tak wczesnej ciąży. Według wytycznych resortu w ciąży powyżej 22. tygodnia (a to był 22. tydzień) i przed ukończeniem 36. tygodnia należy dążyć do podania pełnej dawki sterydów w celu zwiększenia szans dziecka na przeżycie, pod warunkiem braku wskazań do wcześniejszego, szybkiego, zakończenia ciąży. „W przypadku odpływania płynu owodniowego przed ukończeniem 22. 6/7 tygodnia ciąży niezbędne jest poinformowanie kobiety o ograniczonych szansach dziecka na przeżycie i jego prawidłowy rozwój. Postępowanie powinno zależeć od aktualnej sytuacji klinicznej, zaawansowania ciąży, decyzji pacjentki. Niezależnie od podjętej przez kobietę decyzji powinna być ona odnotowana w dokumentacji medycznej i poświadczona przez pacjentkę i lekarza specjalistę w zakresie położnictwa i ginekologii. Od 23. 0/7 tygodnia ciąży w przypadku braku zagrożenia dla życia i zdrowia matki ciąża powinna być kontynuowana. Pacjentka powinna być hospitalizowana zgodnie z zasadami trójstopniowej opieki perinatalnej" – czytamy w komunikacie Ministerstwa Zdrowia.

Jednak zdaniem prof. Krzysztof Czajkowskiego, konsultanta krajowego w dziedzinie ginekologii i położnictwa: „Lekarz powinien – w świetle obowiązujących obecnie przepisów – podjąć decyzję o zakończeniu ciąży, gdy stanowi ona zagrożenie dla życia lub zdrowia matki. Jeżeli dziecko ma szanse na przeżycie, a ciąża jest na etapie 24.–25. tygodnia lub bardziej zaawansowana i odeszły wody, a życie dziecka jest zagrożone, to również wtedy trzeba podjąć działanie, np. indukować poród".

– Posługiwanie się wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego do przykrycia własnych błędów jest czymś karygodnym i nieuczciwym. W tej sprawie doszło do próby manipulowania i dezinformowania społeczeństwa na temat przyczyn śmierci, a wszystko w imię ideologii. Ubiegłoroczny wyrok TK nie ma żadnego związku ze sprawą. Z dostępnej wiedzy wynika, że

eprasa.pl efefd978f4

lekarze powinni podjąć działania w celu ratowania zdrowia i życia matki, czego nie zrobili – mówi zapytany o tę historię wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł.

I w tym miejscu warto przypomnieć postać dyrektora placówki w Pszczynie, o którym wspominałam już w jednym z poprzednich tekstów, jego polityczne poglądy nie są niestety bowiem bez znaczenia dla tej sprawy. Tuż po tym, gdy historia pani Izabeli ujrzała światło dzienne, Marcin Leśniewski zawiesił realizację kontraktów dwóch lekarzy, którzy pełnili dyżur w czasie pobytu 30-letniej ciężarnej pacjentki w szpitalu. Dyrektor tłumaczył to tym, że wywierana na szpitalu presja oraz „bezkarnie krzywdzące opinie" mogą mieć negatywny wpływ na decyzje podejmowane przez lekarzy. „W naszym szpitalu przestrzegane są wszystkie standardy postępowania zaprezentowane przez Ministerstwo Zdrowia. Nienaruszalność tajemnicy lekarskiej nigdy nie pozwoli nam na publiczną obronę przed fałszywymi oskarżeniami formułowanymi w mowie nienawiści" – napisał po tragedii dyrektor Leśniewski. Po raporcie NFZ wiemy, że nie była to prawda.

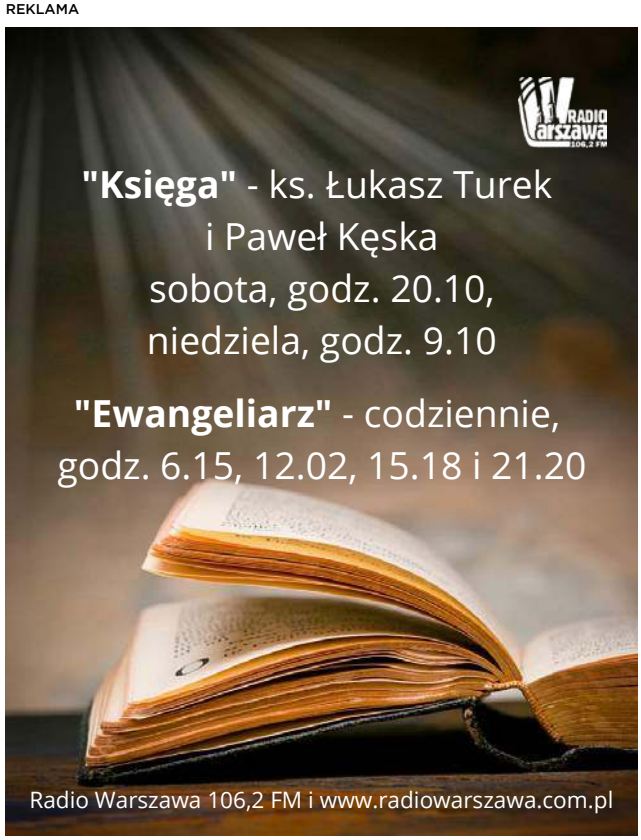
„Osobną sprawą jest ocena stanu prawnego w zakresie dopuszczalności przerywania ciąży. W tym miejscu należy jedynie podkreślić, że wszystkie decyzje lekarskie zostały podjęte z uwzględnieniem obowiązujących w Polsce przepisów prawa oraz standardów postępowania" – napisał dyrektor Leśniewski, który, co warto zauważyć, w prywatnym gabinecie prowadził ciążę zmarłej pacjentki. To o tyle ważne, że media społecznościowe obiegła informacja, iż dyrektor Leśniewski nie odbierał telefonów od rodziny pacjentki, gdy ta dzwoniła, by pomógł ich córce. W społecznościówkach nie brakuje też zrzutów z Facebooka zdjęć doktora Leśniewskiego, który chętnie zmieniał nakładki profilowe, jasno deklarując swoje poglądy. Napisy na nakładkach to m.in.: „mam ugruntowane cnoty niewieście", „wolne media", „prawa człowieka" czy piorun – symbol tzw. Strajku Kobiet, na tle sześciokolorowej tęczy. W normalnych okolicznościach poglądy dyrektora szpitala nie powinny mieć dla sprawy najmniejszego znaczenia, gdyby nie to, że od początku próbuje się z tego zrobić całkiem polityczną sprawę. „Zdaniem rodziny i moim przyczyną śmierci pani Izabeli były błędy medyczne: kobiecie w 22. tygodniu ciąży nie udzielono pomocy medycznej w takim czasie, aby zapobiec wstrząsowi septycznemu i uratować życie matki. Wiele jednak wskazuje na to, że obok względów medycznych lekarz, podejmując decyzje lecznicze, kierował się także swoim rozumieniem obowiązujących przesłanek dotyczących dopuszczalności terminacji ciąży" – powiedziała dziennikowi „Fakt" pełnomocnik rodziny mec. Jolanta Budzowska.

– Poglądy dyrektora szpitala były publiczne i jawne, i można je ulokować po stronie środowisk kwestionujących prawo do życia osób nienarodzonych. Jednak przenoszenie tych poglądów i ideologii na sferę życia zawodowego jest niedopuszczalne. Każdy może mieć poglądy, jakie chce. Wygląda jednak na to, że działania lekarzy mogły mieć motywację ideologiczną, która godzi w porządek prawny, a porządek prawny był naginany pod przekonania. I to jest naganne – uważa wiceminister Warchoł. – Lekarze udawali Greka, interpretując stan prawny w Polsce. A ten jest bardzo jasny. Są dwie przesłanki pozwalające w Polsce na aborcję. Pierwszą jest zagrożenie zdrowia i życia kobiety oraz gdy ciąża pochodzi z przestępstwa. I pierwsza z tych przesłanek działała – nie ma wątpliwości Marcin Warchoł.

Przepisy prawa dotyczącego aborcji zostały zmienione na skutek wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. Wcześniej obowiązująca od 1993 r. Ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży zezwalała na dokonanie aborcji w trzech przypadkach: gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety, gdy ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo) oraz w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Jedynie ta ostatnia przesłanka została uznana przez TK za niekonstytucyjną, ale nie ma wątpliwości, że przepisy nadal dopuszczają możliwość przerywania ciąży w przypadku, gdy stanowi ona zagrożenie dla życia i zdrowia kobiety, a także gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża jest skutkiem czynu zabronionego, m.in. gwałtu. TK pozwala ratować życie matki.

W tej bulwersującej sprawie wygląda na to, że lekarze nie podjęli próby ratowania życia ani matki, ani dziecka, które – jak się okazuje – mogło być zdrowe. Jednak wskazywanie na wady genetyczne płodu pozwoliło personelowi szpitala przerzucić odpowiedzialność na wspomniany wyrok Trybunału Konstytucyjnego. To była doskonała zasłona dymna dla wielu zaniedbań, na które w raporcie wskazał NFZ. Zasłona bardzo skuteczna, która wywołała burzę i odwróciła uwagę opinii publicznej od prawdziwych winnych. Ta sprawa musi być do końca wyjaśniona, by podobny dramat nigdy się nie powtórzył.

REKLAMA



72/1121/F

eprasa.pl efefd978f4



Rok niebezpiecznego życia

Co 2022 r. przyniesie w polskiej polityce?



STANISŁAW JANECKI

Rok 2022 w polskiej polityce można by nazwać, za filmem Petera Weira (z 1982 r.), rokiem niebezpiecznego życia. Przynajmniej na to liczy opozycja oraz wszystkie siły zewnętrzne. Nie tylko te z opozycją sympatyzujące, lecz też te, które drażni, a wręcz zmusza do nieprzyjaznych działań rosnąca gospodarcza i polityczna pozycja Polski. Dlatego chcą nasz kraj skazać na przynajmniej rok niebezpiecznego życia. Po to właściwie wrócił do polskiej polityki były premier Donald Tusk. On ma być w kraju rozsadnikiem różnych form niebezpiecznego życia, wykorzystując i wzmacniając karanie Polski w ramach tzw. mechanizmu warunkowości Unii Europejskiej i w wyniku wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE. Wykorzystując zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski ze Wschodu. Żerując na ofiarach pandemii, z którą w 2022 r. wciąż będziemy żyć. Podsycając niepokoje związane z inflacją, a pokazywane wyłącznie jako zawiniona przez rząd drożyzna, choć dotyczy ona całego świata. Dążąc do wcześniejszych wyborów, gdyby szło ku lepszemu. Albo chcąc wybory opóźniać, gdyby procesy dziejące się głównie poza Polską stwarzały nowe zagrożenia. Wtedy opozycja te zagrożenia by wzmacniała. Po raz pierwszy od 1989 r. suwerenność, niepodległość, bezpieczeństwo i dobrobyt Polski mają być w 2022 r. używane jako narzędzia politycznej walki o władzę. Z tym po raz ostatni mieliśmy do czynienia w XVIII w., a szczególnie w jego drugiej

Fot. Andrzej Wiktor, Fratria, Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4



połowie. To oznacza, że zbliżyliśmy się do takiego poziomu politycznych podziałów, które bezpośrednio zagrażają bytowi Polski. A im bardziej zagrażają, tym lepiej – zdaniem opozycji – dla niej.

MECHANIZM WARUNKOWOŚCI: IM GORZEJ, TYM LEPIEJ

Pomysł „finansowego zagłodzenia" państw uznawanych w głównym nurcie europejskim za groźne dla pozatraktatowego poszerzania kompetencji Komisji Europejskiej i TSUE rzuciła niemiecka wiceprzewodnicząca Parlamentu Europejskiego Katarina Barley. I został on ochoczo podchwycony przez opozycję w Polsce, choć aprobatę dla niego pierwsi zadeklarowali polscy eurodeputowani z frakcji ludowej (niby chadeckiej) i socjalistycznej. A nawet głosowali za uchwałami w takim duchu. Po prostu uznano, że „finansowe zagłodzenie" jest najlepszym sposobem podważenia zaufania do władzy. Że jest na tyle szkodliwe, iż może zmienić społeczne nastroje i polityczne sympatie.

Pomysł został zaproponowany już w maju 2018 r. Komisja Europejska zwróciła uwagę, że naruszenia zasad praworządności w państwach członkowskich, szczególnie naruszenie niezależności sądów, mogą negatywnie wpłynąć na wydatkowanie funduszy UE. W Polsce zmiany w sądownictwie nigdy negatywnie nie wpływały na wydawanie unijnych funduszy, ale to nieistotne. Nie chodzi przecież o prawdę, tylko o możliwość wpływania na politykę w wybranych państwach. Dlatego stało się to tak bliskie przede wszystkim Platformie Obywatelskiej i Tuskowi. Od swoich kolegów w Komisji Europejskiej i europarlamencie dostali maczugę do walenia w PiS i rząd. Mechanizm umożliwia bowiem wstrzymanie wypłat z unijnego budżetu, jeśli naruszenia zostaną stwierdzone. Przy czym sam mechanizm jest rozwiązaniem dodatkowym, obok istniejących już przepisów dotyczących nadzorowania właściwego wykonania budżetu UE. Celem nowego mechanizmu jest zatem wyłącznie poddanie ocenie KE funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, co wcześniej nie było możliwe.

W grudniu 2020 r. Rada Europejska przyjęła projekt rozporządzenia w sprawie mechanizmu warunkowości. Jednocześnie w konkluzjach Rada stwierdziła, że „rozporządzenie należy stosować z pełnym poszanowaniem art. 4 ust. 2 TUE, w szczególności tożsamości narodowej państw członkowskich nierozerwalnie związanej z ich podstawowymi strukturami politycznymi i konstytucyjnymi, zasady przyznania kompetencji, jak również zasady obiektywizmu, niedyskryminacji i równego traktowania państw członkowskich". W teorii „stosowanie mechanizmu warunkowości na mocy rozporządzenia będzie obiektywne, sprawiedliwe, bezstronne i oparte na faktach, zapewniające sprawiedliwość proceduralną, niedyskryminację i równe traktowanie państw członkowskich". Faktycznie ma być narzędziem dyscyplinowania i karania Polski oraz Węgier. Teoretycznie „stosowanie mechanizmu będzie uwzględniało jego pomocniczy charakter. Środki w ramach mechanizmu będą rozpatrywane jedynie w przypadku, gdyby inne procedury [...] nie pozwoliły na skuteczniejszą ochronę budżetu Unii". Formalnie „związek przyczynowy między takimi naruszeniami a negatywnymi skutkami dla interesów finansowych Unii będzie musiał być wystarczająco bezpośredni i należycie ustalony. Samo stwierdzenie, że naruszenie praworządności miało miejsce, nie wystarcza do uruchomienia mechanizmu", a więc „rozporządzenie nie odnosi się do uogólnionych braków". Dlatego „każde formalne wszczęcie procedury będzie poprzedzone pogłębionym dialogiem z danym państwem członkowskim, aby umożliwić mu zaradzenie zaistniałej sytuacji". Faktycznie Komisja dostała możliwość wtrącania całych państw do piekła na zasadzie widzimisię, i to bardzo pasuje opozycji. Polska i Węgry 11 marca 2021 r. zaskarżyły do TSUE mechanizm warunkowości. Na razie rzecznik generalny TSUE stwierdził, że skarga powinna być oddalona, ale to jeszcze nie wyrok. Ten ma zapaść na początku 2022 r.

Jeśli TSUE zdecyduje zgodnie ze stanowiskiem rzecznika, Polska może nie otrzymać środków na Krajowy Plan Odbudowy ani innych dotacji czy subwencji. Na realizację KPO mieliśmy dostać ok. 270 mld zł do wydania w ciągu pięciu lat. KPO wciąż nie został zatwierdzony, więc nadal nie dostaliśmy nawet zaliczki. Środki z budżetu wieloletniego to ok. 770 mld zł. Opozycja liczy na zablokowanie funduszy europejskich dla Polski, czyli „zagłodzenie". A potem na przejęcie władzy i odblokowanie, czyli możliwość wydawania setek miliardów złotych i pokazywania tego jako skutku własnej zaradności oraz politycznej sprawności. Problemem jest tylko to, że w 2022 r. może zniknąć większość powodów do karania Polski w związku z tym, że będą kolejne zmiany w sądownictwie, łącznie z Sądem Najwyższym i jego Izbą Dyscyplinarną.

GRY I ZABAWY Z WYBORAMI

Żerując na ofiarach pandemii, obwiniając rząd o drożyznę, strasząc bezbronnością wobec Rosji, a nawet Białorusi, opowiadając o strategicznym osamotnieniu (rzekome skłócenie z USA, Niemcami i sąsiadami), opozycja chce mieć wpływ w 2022 r. nie tylko na to, jak przebiegną wybory, lecz także kiedy się odbędą. Gdy wlekły się prace nad mechanizmem warunkowości, pojawiały kolejne niekorzystne dla Polski wyroki TSUE (kara za działalność Izby Dyscyplinarnej oraz za funkcjonowanie kopalni i elektrowni Turów), stabilizowała się sytuacja z pandemią, nie było zagrożenia na granicy z Białorusią, gospodarka mimo pandemii szybko się rozwijała, bezrobocie było najniższe w UE (wciąż jest), a PiS nie spadało poparcie w sondażach, opozycja chciała skrócenia kadencji parlamentu. I było to skoordynowane z powrotem Tuska do polskiej polityki, który miał do zwycięstwa w przyspieszonych wyborach doprowadzić.

eprasa.pl efefd978f4

Gdy doszło do ataków na granicy, zaczęto na masową skalę uprawiać szantaż humanitarny, inflacja osiągnęła rekordowy poziom 7,8 proc., wciąż Komisja nie zatwierdzała polskiego KPO i bliski uruchomienia jest mechanizm warunkowości, opozycja już wcześniejszych wyborów nie chce. A chęć ich przyspieszenia przypisuje rządzącym – wiosną 2022 r. Ponoć po to, żeby uciec przed skumulowanymi skutkami tego, co ma nastąpić wewnątrz i na zewnątrz Polski. A skoro opozycja nie wie, ani w jakiej formie pójdzie do wyborów, ani nie ma pewności, że jest w stanie je wygrać, to już się nie spieszy. A Tusk twierdzi, że rządzący wybory sfałszują, dlatego razem z KOD chce powołać (do lutego 2022 r.) jakiś ruch kontroli wyborów, który miałby samemu obliczać wyniki. Jeśli przegrają, czego się spodziewają, będą wnosić protesty do Sądu Najwyższego. Tylko po to, żeby mieć podkładkę, a potem i tak będą twierdzić, że wyników wyborów nie może zatwierdzać „nielegalna" Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która skądinąd zatwierdziła obecnie funkcjonujących posłów, senatorów i eurodeputowanych opozycji. I to ma być element wielkiej hecy międzynarodowej, zrównywania rządów PiS z tymi Łukaszenki. A na koniec będą pytania do TSUE, czy izba zatwierdzająca może cokolwiek zatwierdzić, czyli kolejny etap rozwalania systemu prawnego w Polsce, żeby cofnąć zmiany i żeby znowu wszystko zależało od „nadzwyczajnej kasty".

Scenariusz wyborczy na 2022 r. nie uwzględnia drobiazgu: tylko od PiS zależy, czy będą wcześniejsze wybory. I wszystko wskazuje na to, że ich nie będzie. A to oznacza, że opozycja ma kłopot przez cały 2022 r. i co najmniej kilka miesięcy w 2023 r. (do czasu rozpoczęcia kampanii). A ten czas oznacza pogłębienie się kłopotów w jednoczeniu się opozycji na wybory, czyli faktycznie zablokowanie możliwości zjednoczenia. Najbardziej byłoby to na rękę Polsce 2050 Szymona Hołowni, który liczy na zużycie się nie tylko obecnie rządzących, lecz i tych, którzy już rządzili, czyli przede wszystkim PO. Hołownia będzie więc w 2022 r. dążył do zbudowania odrębności i oryginalności swojej partii, tym bardziej że minęło już pierwsze zauroczenie jej nowością. W 2022 r. swoją odrębność i zdolności koalicyjne musi też podkreślać Koalicja Polska stworzona wokół PSL, bo inaczej nie przekroczy progu wyborczego. Gdy dodać do tego wewnętrzne wojenki w Nowej Lewicy, sytuacja opozycji wcale nie jest tak różowa, jak poszczególne partie chciałyby ją widzieć. A rządzący będą z każdym miesiącem mieć kolejne atuty w związku z wdrażaniem i pozytywnymi skutkami Polskiego Ładu. Plany opozycji zmieniło wypatrywanie negatywnych skutków działania mechanizmu warunkowości, których w takim zakresie, jak oczekuje tego opozycja, może w ogóle nie być. PiS nie straci w 2022 r. kontroli nad terminem wyborów, opozycja zaś nie będzie znała dnia ani godziny, co nie sprzyja wyborczym planom, tym bardziej gdyby miało dojść do jakiejś formy zjednoczenia, co jest mimo wszystko mało prawdopodobne.

> Po raz pierwszy od 1989 r. suwerenność, niepodległość, bezpieczeństwo i dobrobyt Polski mają być w 2022 r. używane jako narzędzia politycznej walki o władzę. Z tym po raz ostatni mieliśmy do czynienia w XVIII stuleciu

W takiej sytuacji Tusk będzie miał z każdym miesiącem nowego roku coraz większe kłopoty, gdyż poza rytualnym antypisem nic z jego strategii nie będzie działało na korzyść PO i opozycji. To już po kilku miesiącach 2022 r. może skutkować podważaniem pozycji Tuska, a nawet negowaniem sensu jego powrotu i objęcia funkcji szefa PO. A wtedy znowu tematem będzie zastąpienie Tuska przez Rafała Trzaskowskiego, tym bardziej w kontekście następnych wyborów prezydenta RP. Nie jest więc wcale pewne, że Tusk dotrwa do końca 2022 r. jako szef partii. Tym bardziej jeśli nie zadziała mechanizm finansowego zaduszenia Polski, pandemia zacznie wygasać, inflacja spadać, a Łukaszenka z Putinem nie skłócą członków UE i NATO w sprawie wspierania Polski i wschodniej flanki NATO.

CZAS PRZEŁOMÓW

Rok niebezpiecznego życia (2022) może się okazać czasem kilku przełomów. Wręcz powszechne może być przekonanie, że opozycja, a szczególnie PO, nie jest żadną alternatywą dla PiS. Tym bardziej jeśli zadziała Polski Ład i skończy się wielki strach przed skutkami pandemii (jakiś pozostanie). Polacy w jeszcze większej niż obecnie części stracą złudzenia, że „europejska" opozycja jest jednocześnie propolska. W trudnym czasie okazała się przecież bardzo proniemiecka i w wielu wypadkach (przynajmniej w skutkach działania) prorosyjska. Okazała się skłonna do działania przeciw interesom Polski, byleby odzyskać władzę. I na tym polu największe „zasługi" miał Tusk. I zostanie z tego rozliczony, najpewniej właśnie w 2022 r. A Polska bez Tuska jako lidera to zmniejszenie napięć i podziałów. Z kolei wewnętrzne problemy UE, nasilające się także z powodu pomysłów federalizacji, mogą w 2022 r. doprowadzić do znaczącego zmniejszenia skali konfrontacji z Polską. Tym bardziej jeśli w kwietniu 2022 r. zmieni się prezydent we Francji. A nawet, jeśli się nie zmieni, to będzie raczej Emmanuel Macron z ostatnich spotkań z prezydentem Dudą i premierem Morawieckim, a nie ten sprzed dwóch–trzech lat. Także nowe niemieckie przywództwo, znacznie słabsze niż przez 16 lat rządów Angeli Merkel, powinno uspokoić instytucje UE i przyhamować ich pozatraktatową ekspansję. Pozytywny wpływ na to, co się będzie działo w Unii oraz lokalnych inicjatywach, może mieć nowy konserwatywny premier Czech Petr Fiala. A dla Polski to wszystko może oznaczać wznowienie działania Trójkąta Weimarskiego, umocnienie grupy V4 oraz ożywienie i rozwój Trójmorza, co jest także w interesie USA. Paradoksalnie rok niebezpiecznego życia może pod koniec stać się rokiem bezpiecznego życia. I dla Polski, i dla Unii Europejskiej. Ale nie dla opozycji w Polsce.

eprasa.pl efefd978f4

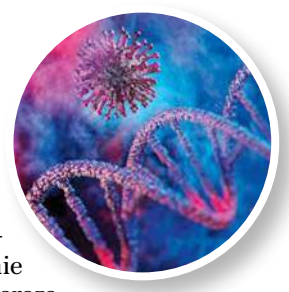
10 prognoz dla świata

Nowy rok przyniesie w europejskiej polityce wiele starć pomiędzy siłami „ancien régime'u" (czyli panujących w Unii neoliberałów) i altprawicą, próbującą osłabić ich polityczną dominację. W Europie do najważniejszych spośród tych starć dojdzie we Francji i na Węgrzech



JAN ROKITA

1 ZARAZA



Wbrew hipotezom optymistów w roku 2022 koronawirus nie zostanie okiełznany, a zaraza będzie nadal wywierać duży wpływ na bieg historii. Co prawda pojawią się szczepionki drugiej generacji, jak również nowe metody leczenia (w tym nowe lekarstwa), to jednak nowe odmiany wirusa, wylęgające się w krajach ubogich, z niskimi standardami sanitarnymi, będą atakować szybciej aniżeli idący dopiero ich śladem postęp medyczny. Oznacza to, że nawet jeśli wirus będzie nabierać stopniowo, przynajmniej w bogatej Europie i Ameryce, charakteru bardziej oswojonego i endemicznego, to proces ten trwać będzie znacznie dłużej. Ciekawe badania historyczne dotyczące czasów zarazy, przeprowadzone w 133 krajach, dowodzą, iż epidemie wywołują najcięższe konflikty polityczne i społeczne dopiero w trzecim–czwartym roku od swego wybuchu. Rok 2022 będzie zapewne jeszcze jednym dowodem prawdziwości tej tezy. Wirus zadziała w tym roku jak amplifikator wszystkich, kumulujących się przez lata, złych trendów w polityce, gospodarce i społeczeństwie, prowadząc do ostrych spięć, a być może nawet długofalowych przesileń.

2 SZCZEPIONKI



Wobec coraz bardziej widocznej porażki konceptu „segregacji szczepionkowej", która dominowała w Europie w roku 2021 (a wynikała z naturalnej fascynacji faktem szybkiego stworzenia szczepionek), rządy – przerażone kolejnymi falami zachorowań – zaczną na nowo wprowadzać powszechne lockdowny i policyjne restrykcje. Nastąpi to już w pierwszym kwartale 2022 r. za sprawą wariantu koronawirusa – omikron. Pulsujące bunty społeczne przeciw tej polityce będą tłumione siłą, a w niektórych krajach (najprędzej w Niemczech czy Holandii) pojawią się grupy terrorystyczne, tworzone przez fanatyczne skrzydło ruchu antyszczepionkowego. Społeczne oddziaływanie tego ruchu będzie się zwiększać, w miarę jak będzie się stawać jasne, iż szczepionki niekoniecznie chronią przed nowymi odmianami wirusa i nie dają nawet gwarancji przeżycia. Ofiary rozruchów i terroryzmu dołączą do ofiar wywołanych zakażeniem covidem.

3 INFLACJA



Rosnący zamęt społeczny na tle zarazy pogorszą pokazujące się stopniowo trwalsze trendy ekonomiczne. Skokowo wzrosłe w roku 2021 ceny energii będą rosnąć dalej, choć już w wolniejszym tempie, a paraliżujące wiele dziedzin przemysłu opóźnienia dostaw półprzewodników tak prędko w ciągu roku się nie zmniejszą. Projekcje ekonomistów i banków z 2021 r., wedle których inflacja miała być krótkotrwała, a wzrost coraz szybszy, okażą się chybione. Kolejne lockdowny, rozchwianie sektora usług na całym globie (transport, turystyka etc.) i ucieczka milionów pracowników zatrudnionych dotąd w usługach sprawią, że w wielu krajach (zwłaszcza uzależnionych od usług – jak np. Anglia, Hiszpania) odbudowa gospodarki będzie wolna albo wręcz zahamuje. Z kolei potężny popyt na wszelkie produkty, będący skutkiem wielomiliardowych „tarcz" pieniężnych, zwłaszcza przy nadal rosnących cenach energii, nie pozwoli opanować wyścigu cen i płac na skalę, jakiego Europa Zachodnia nie widziała bodaj od pół wieku. Gospodarczy skręt na lewo, jaki objął cały demokratyczny świat po kryzysie finansowym, a uległ wzmocnieniu po wybuchu zarazy, teraz zacznie przynosić swoje

eprasa.pl efefd978f4

złowrogie skutki. Lewicowi ekonomiści zaś, odrzucający z oburzeniem groźbę tzw. stagflacji (tacy jak ubóstwiany na lewicy Grek Warufakis), będą musieli zjadać własny język. Całkiem prawdopodobne, że wobec pogarszających się okoliczności ekonomicznych nowy rząd niemiecki pójdzie starym tropem kanclerz Merkel i będzie się domagać ostrego „chłodzenia" gospodarek tych państw unijnych, w których rozpoczęłby się realny wyścig cen i płac.

4 PARYŻ

Konflikty na tle sanitarnym i ekonomicznym zaognią trwającą na Zachodzie tzw. wojnę kulturową, która w europejskiej polityce przyniesie wiele starć pomiędzy siłami „ancien régime'u" (czyli panujących w Unii neoliberałów) i altprawicą, próbującą osłabić ich polityczną dominację. W Europie do najważniejszych spośród tych starć dojdzie we Francji i na Węgrzech, w związku z tamtejszymi kwietniowymi wyborami, ale także w związku z Polską. Wybory francuskie przyniosą raczej zwycięstwo siłom „ancien régime'u", choć następnym prezydentem Francji może się okazać nie Macron, ale gaullistka – Valérie Pécresse, jeśli tylko uda jej się znaleźć w drugiej turze, choćby z minimalną przewagą nad altprawicowcami: Marine Le Pen i Érikiem Zemmourem. Z pewnością zaostrzyłaby ona kurs wobec imigracji oraz porzuciłaby mrzonki Macrona na temat paneuropejskiego rządu, ale byłaby to bardziej korekta niźli jakaś istotna zmiana francuskiej polityki.



5 BUDAPESZT

W Budapeszcie na odwrót: to Orbán, utrzymujący cały czas niewielką przewagę nad lewicowo-liberalną opozycją, ma większe szanse na dalsze utrzymanie władzy. Do czasu tego rozstrzygnięcia, które nastąpi w kwietniu, Węgry będą obiektem nieformalnych (bo nigdzie nieuchwalonych), ale zawziętych sankcji finansowych ze strony Brukseli. Jeśli jednak wybory wygrałby obóz liberalno-lewicowy pod wodzą Márki-Zaya, to Węgry staną się laboratorium ciekawego eksperymentu, o olbrzymim znaczeniu dla całej unijnej Europy. Nowa władza podejmie tam bowiem próbę uchylenia orbánowskiej konstytucji i dziesiątków ustaw organicznych, bez koniecznej konstytucyjnie większości 2/3. Dla prawicy oznaczać to będzie faktyczny zamach stanu, a dla Brukseli niezwykle trudne do zgryzienia wyzwanie ideologiczne. Zasadniczy konflikt unijnego „ancien régime'u" z altprawicą narastać będzie także w związku z Polską, gdyż najprawdopodobniej około połowy roku 2022 Bruksela spróbuje obłożyć Warszawę formalnymi sankcjami finansowymi.



6 KIJÓW

Na wschodzie Europy trwać będzie nieustannie „brudna wojna" Rosji przeciw Ukrainie, ale nie dojdzie do masowej inwazji rosyjskiej na ten kraj. Bardziej prawdopodobne są zróżnicowane formy dywersji rosyjskiej, obliczonej na przyspieszenie kryzysu prezydentury Zełenskiego i jego polityczny upadek. Celem Kremla nie jest dziś bowiem wojskowa okupacja Ukrainy, ale przede wszystkim obalenie Zełenskiego i ustanowienie w Kijowie reżimu, jeśli nie wasalnego wobec Moskwy, to w każdym razie politycznie wobec niej uległego. W drugiej zaś kolejności wywieranie presji wojskowej na pograniczu ukraińskim tak długo, aż wystraszony wizją rzekomej wielkiej wojny Zachód dla „ratowania pokoju" sam zacznie nakłaniać Kijów do liczenia się ze stanem „ograniczonej suwerenności" wobec Rosji. Celu pierwszego – rychłej zmiany władzy w Kijowie – Moskwa w roku 2022 raczej nie osiągnie, bardziej realny wydaje się on w ciągu dwóch lat następnych. Cel drugi – wobec Zachodu – też będzie dla Kremla trudny do osiągnięcia, w szczególności wobec sporych zmian politycznych w USA. Więc ten stan wciąż niezrealizowanych ambicji Putina będzie przyczyną długotrwałej „brudnej wojny", w której możliwe są także akty zbrojne armii rosyjskiej o ograniczonym terytorialnie zasięgu, zwłaszcza w rejonie ukraińskiego wybrzeża Morza Czarnego. Poczucie siły i pewności siebie Putina wzrastać będzie wraz ze wzrostem cen surowców energetycznych – czynnika kluczowego dla rosyjskiej gospodarki i przewagi nad sąsiadami.

7 BIDEN

Zmiany w Ameryce związane będą głównie z zaskakująco głęboką erozją prezydentury Joego Bidena. Sztandarowy projekt tej prezydentury Build Back Better, zakładający wydatkowanie 2 bln dol. na walkę o klimat, cele socjalne i darmową oświatę, załamał się w końcu roku 2021 na skutek kontestacji w szeregach demokratów (sławne weto senatora Manchina z Wirginii Zachodniej). W roku 2022 rząd Bidena przepchnie zapewne jakoś ten program przez Senat, ale w wersji o wiele mniej ekspansywnej i kosztem kolejnego wizerunkowego załamania w oczach Amerykanów. Wysiłki prezydenta w Senacie będą się koncentrować poza tym na forsowaniu nowych nominacji sędziowskich, które mają zmieniać dotychczasową polityczną równowagę: Biden konsekwentnie mianuje sędziami (dotąd w ¾) prawników niebędących białymi mężczyznami. Prezydent



eprasa.pl efefd978f4

będzie się spieszyć, bo demokraci z pewnością przegrają listopadowe midterm election, co będzie oznaczać stopniowe przejmowanie kontroli nad amerykańską polityką przez republikanów. W warunkach plemiennej wojny politycznej pomiędzy obiema partiami skutkować to będzie paraliżem prezydentury, a także rosnącym wpływem prawicy na kształt polityki zagranicznej. To dobra wiadomość głównie dla prezydenta Zełenskiego, ale w jakimś stopniu również dla Jarosława Kaczyńskiego.

8 XI JINPING



Słabnący Biden kontrastować będzie z gruntującym swoją władzę głównym antagonistą amerykańskiego prezydenta – Xi Jinpingiem. Pokazem jego siły stanie się w roku 2022 XX zjazd Chińskiej Partii Komunistycznej, który uświetni 10-lecie panowania Xi. Zjazd poprzedzi światowa fala spekulacji na temat możliwości wycofania się Xi na drugi plan i wysunięcia nowego, choćby marionetkowego szefa partii, ale nic takiego zapewne się nie zdarzy. Dla chińskiego władcy głównym celem w 2022 r. jest przeprowadzenie reorientacji chińskiego przemysłu cyfrowego, tak by nie był on nastawiony (jak dotąd) głównie na nowe technologie konsumenckie i e-handel, ale na szybki rozwój sztucznej inteligencji i robotyki. Ta reorientacja ma ukrócić wyścig technologiczny na rynku konsumenckim, a skierować całą siłę chińskiej gospodarki cyfrowej na budowę nowoczesnej potęgi państwa. Można żywić obawy, czy taka politycznie zarządzona reorientacja kluczowej branży gospodarki nie spowoduje jakichś perturbacji. Tak jak Putin Ukrainę, tak Xi będzie w tym roku coraz agresywniej osaczać Tajwan z myślą o podporządkowaniu sobie wyspy w perspektywie kilku następnych lat. A to będzie wywoływać coraz to nowsze zatargi polityczne z Waszyngtonem.

9 IMIGRANCI



Migracja stanie się w roku 2022 w Europie bardziej kwestią gry politycznej aniżeli problemem humanitarnym. Aż do kwietniowych wyborów we Francji „rekonkwista" (jak ją nazwał Zemmour) przeciw ideologii multikulti i otwartym granicom będzie w samym centrum francuskiej kampanii wyborczej, przysparzając najwięcej przedwyborczych kłopotów Macronowi. Niekończące się i niekonkluzywne spory będą się odbywać wewnątrz Unii Europejskiej, w związku z planem prezydencji francuskiej stworzenia nowych europejskich zasad azylowych. Niemiecki kanclerz Scholz i włoski premier Draghi będą tu tworzyć unijny „front humanitarny"; ciekawie rysuje się perspektywa ich dyskusji z Macronem, przymuszonym sytuacją przedwyborczą do antyimigranckiej twardości. Z murem na polskiej wschodniej granicy Europa w końcu się oswoi. A przyjdzie jej to tym łatwiej, jeśli się okaże, iż ze skrywaną pomocą Moskwy i jawną ze strony Mińska – fala imigrantów z Bliskiego Wschodu uderzy teraz na Ukrainę. Taka forma podminowania chwiejnej ciągle państwowości ukraińskiej, skorelowana z ograniczonymi aktami zbrojnymi nad Morzem Czarnym, znacznie bardziej odpowiadałaby celom rosyjskiej polityki aniżeli otwarta wojna. Tym bardziej, jeśli zmusiłoby to Polskę (a tym samym Unię) do symbolicznego odgrodzenia się murem również od Ukrainy.

> Na wschodzie Europy trwać będzie nieustannie „brudna wojna" Rosji przeciw Ukrainie, ale nie dojdzie do masowej inwazji rosyjskiej na ten kraj. Bardziej prawdopodobne są zróżnicowane formy dywersji

10 SPORT

Rok 2022 będzie ponadto rokiem olimpiady zimowej w komunistycznych Chinach oraz piłkarskich mistrzostw świata w Katarze, wspierającym z cicha islamistów na całym świecie. Każdy głupi wie, że totalitarna dyktatura, budująca obozy koncentracyjne dla Ujgurów, zawdzięcza przywilej organizacji olimpiady wyłącznie swej rosnącej politycznej potędze.



Szejkowie katarscy zaś mają u siebie najbardziej widowiskowe zawody piłkarskie jedynie dzięki umiejętnemu używaniu swoich pieniędzy. Nietrudno przewidzieć, że w lutym (olimpiada) i w listopadzie 2022 r. (piłka) przez demokratyczny świat przewalą się dwie wielkie debaty na temat służebnej roli sportu wobec polityki i upadku etosu sportu. Nie należy mieć jednak złudzeń. Obie te dyskusje będą niczym więcej, jak jeszcze jednym przejawem hipokryzji wolnego świata, który doskonale wie, iż nie odwróci już moralnego upadku wszystkich komitetów olimpijskich, związków sportowych i samych sportowców, a co za tym idzie – trendu postępującej degradacji sportu na służbie wielkich pieniędzy i politycznej potęgi. Najwybitniejszy polski piłkarz, jako ikona reklam chińskiego Huaweia, a nawet jego „ambasador na Europę", będzie w tym roku żywym symbolem tego trendu.

Fot. YASAMIN JAFARI TEHRANI/Shutterstock, Frederic Legrand - COMEO / Shutterstock, Djordje Kostic / Shutterstock, Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4



Zaraza zostanie z nami na dłużej

Gdyby nie pojawienie się wariantu omikron, to można byłoby dziś spekulować, że pandemia zmierza ku końcowi. Jednak omikron sporo namieszał. Być może jest łagodniejszy od poprzednich mutacji, ale wiele wskazuje na to, że jest również oporny na obecne szczepionki. Zatem wygląda na to, że czeka nas kolejny rok z pandemią. Można mieć jednak małą nadzieję, że przed końcem 2022 r. najgorsze będzie za nami

eprasa.pl efefd978f4



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zajmujący się pandemią naukowcy mają dziś dla świata dwie wiadomości: dobrą i złą. Dobra jest taka, że mutujący ciągle wirus chce się niejako skalibrować z rzeczywistością, a zatem dąży do osiągnięcia takiej postaci, która będzie wprawdzie bardziej zakaźna, lecz jednocześnie znacznie mniej zjadliwa – coś jak przeziębienie. Dzięki temu stanie się mniej groźny, lecz jednocześnie – i to jest ta zła wiadomość – pozostanie z nami prawdopodobnie na zawsze.

Nie jest też jasne, na którym jesteśmy teraz etapie rozwoju wirusa. Odkryty niedawno wariant omikron zdawałby się wskazywać, że wirus łagodnieje, jednak – o czym będzie dalej mowa – nie jest to jeszcze wcale przesądzone. Tymczasem od jasnego rozstrzygnięcia tej kwestii zależy odpowiedź na pytanie, w jakim kierunku pójdzie w nowym roku pandemia.

NATURA WIRUSÓW

Wszystko byłoby zapewne o wiele bardziej proste, gdyby odporność nabyta dzięki szczepieniom lub przechorowaniu trwała znacznie dłużej. Niestety dziś już wiemy, że szczepienia lub przechorowanie, choć znacznie zmniejszają ryzyko ciężkiego przebiegu choroby lub zgonu, nie chronią nas należycie przed samą infekcją.

Naukowcy tłumaczą to naturą wirusów. Są wśród nich np. wirusy odry czy eboli, w których przypadku odporność nabyta wskutek choroby lub zaszczepienia pozostaje na całe życie. U innych – np. u wirusów grypy lub koronawirusów – taka odporność z czasem maleje. Nie są do końca znane przyczyny tego stanu rzeczy. Być może chodzi o różne sposoby rozprzestrzeniania wirusów w ciele gospodarza. Silna odporność jest bowiem zwykle rozwijana przeciwko wirusom, które przenikają poprzez krew i limfę. Z kolei przeciwko wirusom, które infekują błony śluzowe różnych narządów, zazwyczaj nie ma trwałej odporności. Prawdopodobnie te różnice pojawiły się już w procesie ewolucji człowieka.

Koronawirus, który wywołał obecną epidemię, należy do drugiej grupy. Takie wirusy można całkowicie zwalczyć tylko w przypadku zbiegu dwóch okoliczności: niskiej zakaźności wirusa oraz wprowadzonych w porę ostrych restrykcji higienicznych lub społecznych (np. lockdownu). W ten sposób udało się niejako w zarodku wyeliminować koronawirusa SARS-CoV-1, który zaatakował na Dalekim Wschodzie w 2002 r.

> Przy obecnym poziomie wyszczepienia mogą nam wkrótce grozić bardzo wysokie skoki zakażeń, nawet znacznie wyższe od tych, z którymi mieliśmy do czynienia w Polsce dotychczas

W przypadku jego następcy, który od dwóch lat gnębi światową populację, na takie rozwiązania jest już za późno. Przede wszystkim dlatego, że SARS-CoV-2 zdołał się rozprzestrzenić po całym świecie i zaczął mutować w stronę większej zakaźności. Lokalne lockdowny niewiele więc już mogą dać.

I choć prowadzi to do konkluzji, że koronawirusa SARS-CoV-2 już się nie pozbędziemy, nie oznacza to jednak, że jesteśmy skazani na nieustanne fale hospitalizacji i zgonów. Wirus bowiem, skoro już uciekł spod kontroli, to będzie teraz szukał sposobu na przetrwanie i zmierzał do obniżenia swojej zjadliwości. Podobną drogę przeszły w historii groźne wirusy grypy oraz inne koronawirusy, w tym prawdopodobnie rozpowszechniony dziś HcoV-OC43, który odpowiada za kilkanaście procent wszystkich przeziębień. To właśnie ten koronawirus mógł być – zdaniem niektórych naukowców – rzeczywistą przyczyną wybuchu pandemii grypy azjatyckiej (zwanej też rosyjską), która w 1889 r. dotarła do Europy z Dalekiego Wschodu, zabijając po drodze milion osób.

Niewykluczone więc, że wraz z kolejnymi mniej zjadliwymi mutacjami i infekcjami nagromadzona odporność populacyjna będzie już na tyle wystarczająca, aby pandemia przeszła w endemię, czyli stałą, powtarzającą się cyklicznie, liczbę zachorowań na określonym obszarze. Pytanie, na które jeszcze nie znamy odpowiedzi, brzmi, kiedy to się stanie.

CHOROBA ENDEMICZNA

O tym, że pandemia koronawirusa SARS-CoV-2 może stopniowo zmierzać w stronę endemii, mogą świadczyć niedawne ustalenia naukowców z Uniwersytetu Illinois. Podczas badań zauważyli oni, że koronawirus posiada czujnik reagujący na warunki zewnętrzne, w tym zmiany temperatury otoczenia. Gdy robi się chłodno lub sucho, wówczas wirus znacznie łatwiej wnika do komórki nosiciela i rozpoczyna namnażanie. Mogłoby to potwierdzać dotychczasowe obserwacje i przypuszczenia, że – podobnie jak w przypadku wielu innych zarazków przenoszących się drogą oddechową – mamy do czynienia z wirusem sezonowym, którego największa aktywność przypada na od późnej jesieni do wczesnej wiosny. To właśnie ta sezonowość, zdaniem amerykańskich badaczy, odpowiada za naprzemienne cykle pandemii – raz na północnej, raz na południowej półkuli – które napędzane są dodatkowo przez kolejne pojawiające się wówczas mutacje. Jeżeli te mutacje przestaną być mocno zjadliwe, wówczas zbliżymy się do stanu, gdy choroba koronawirusowa przestanie być tak poważnym problemem zdrowotnym i społecznym, jakim jest dziś.

Pod koniec mijającego roku nasza sytuacja nie wyglądała jednak zbyt różowo. Kolejne warianty koronawirusa



epranasa.pl

Fot. Shutterstock

okazywały się bardziej zakaźne i zjadliwe zarazem. Współczynnik reprodukcji oryginalnego wirusa z Wuhan (tzw. wskaźnik R) szacowany był na 2,5–3, co oznaczało, że jeden zakażony średnio zarażał kolejne statystyczne 2,5–3 osoby. W przypadku delty wskaźnik R podniósł się już do wartości 6–7. Wraz ze wzrostem zakaźności wzrastał też minimalny poziom odporności stadnej koniecznej do powstrzymania zarazy, początkowo było to ok. 60 proc. populacji, a potem – po pojawieniu się delty – 85 proc.

Ratunkiem okazały się szczepienia, ale tylko na krótko. Bo o ile początkowo udało się zatrzymać rozprzestrzenianie się wirusa, o tyle po upływie kilku miesięcy od daty zaszczepienia i utracie odporności przez zaszczepionych (oraz ozdrowieńców) liczba zakażeń znowu zaczęła rosnąć, chociaż poprawę sytuacji przynoszą tutaj dawki uzupełniające (tzw. boostery), które – być może – będzie trzeba przyjmować jeszcze wielokrotnie. Koncerny pracują też nad nowymi wariantami szczepionek obejmującymi, tak jak w przypadku preparatów przeciw grypie, nowe mutacje.

Szczęśliwie udało się za to ograniczyć zjadliwość wirusa. Osoby, które nabyły odporność dzięki szczepionce lub – w mniejszym stopniu – po przechorowaniu, zdecydowanie rzadziej wymagały bowiem hospitalizacji. Oczywiście nie wiemy, jak długo trwa poszczepienna odporność na ciężki przebieg choroby, ale statystycznie widać już, że jest ona dłuższa niż w przypadku odporności wyłącznie na infekcję. Zdarzają się wprawdzie osoby w pełni zaszczepione, które ciężko zachorowały lub zmarły, lecz są to w przytłaczającej większości osoby najstarsze.

I właśnie kwestia odporności na ciężki przebieg choroby koronawirusowej jest kwestią kluczową dla zmagań z pandemią w nadchodzących miesiącach. Bo dzięki tej odporności, nawet w przypadku nawrotów zarazy, znacząco zmniejsza się śmiertelność. A to z kolei pozwala odsunąć groźby lockdownów. W tym sensie szczepionki spełniły, jak dotąd, swoje zadanie i należy mieć nadzieję, że będzie tak nadal.

EWOLUCJA KORONAWIRUSA

Pod koniec tego roku w południowej Afryce (w Botswanie i RPA) wykryto kolejny wariant koronawirusa. Omikron natychmiast wywołał panikę w Europie i Ameryce, głównie ze względu na swoją bardzo wysoką, znacznie wyższą niż w przypadku delty, zakaźność. W RPA omikron rozprzestrzeniał się czterokrotnie szybciej niż delta, tym samym szybko ją eliminując, w podobnym tempie rośnie też liczba zakażeń we wszystkich pozostałych krajach Afryki na południe od równika.

Tymczasem sama zakaźność wirusa nie jest tak istotna jak jego zjadliwość. Koronawirusy wywołujące przeziębienie też są bardzo zakaźne, ale przecież nie drżymy z tego powodu ze strachu, bo wiemy, że choroba szybko przejdzie.

> Skoro koronawirus już uciekł spod kontroli, to będzie teraz szukał sposobu na przetrwanie i dążył do obniżenia swojej zjadliwości. Pytanie, na które nie znamy odpowiedzi, brzmi, kiedy to się stanie

Ostatnie badania z RPA, gdzie wybuchło pierwsze ognisko omikrona i stamtąd mamy najwięcej danych, wskazują zaś, że poziom ryzyka hospitalizacji po zakażeniu omikronem jest aż jedenastokrotnie mniejszy niż w przypadku delty. Omikron jest więc być może kolejnym etapem ewolucji koronawirusa, który dąży do zwiększenia swojej zakaźności kosztem znacznie groźniejszej zjadliwości. To z kolei mogłoby oznaczać, że jesteśmy w przededniu wygaśnięcia pandemii i przejścia jej w endemiczną fazę. A zatem, jak się zdaje, nie ma się czego bać.

Są jednak wątpliwości. Po pierwsze, dane z RPA dotyczą osób w większości młodych, a przy tym wielu z nich przechorowało już koronawirusa w jego wcześniejszych odmianach, co może mieć wpływ na ogólnie łagodny przebieg infekcji. Trzeba więc poczekać na bardziej szczegółowe dane z naszej części świata, a tu omikron zaczyna już hulać w najlepsze. Pokazują to statystyki zakażeń. W Wielkiej Brytanii, gdzie podczas czwartej fali pandemii udało się w końcu zbić liczbę przypadków do poziomu poniżej 40 tys. dziennie, w połowie grudnia wystrzeliła ona niespodziewanie aż dwukrotnie, zbliżając się do 100 tys. Takich wyników nie notowano tu nigdy podczas tej pandemii. Kolejnym przykładem jest Dania, gdzie nastąpił w tym samym czasie aż trzykrotny wzrost dziennej liczby zakażeń, z poziomu 3 tys. do blisko 12 tys. Wszystkiemu jest winny omikron.

I tu jest rzecz najciekawsza. Otóż w obu krajach poziom wyszczepienia populacji jest wysoki, w Wielkiej Brytanii wynosił on – według danych na 18 grudnia – 69 proc., a w Danii – 77,5 proc. (dla porównania w Polsce było to nieco ponad 55 proc.). Skąd zatem tak wielki wzrost w tak mocno zaszczepionych krajach? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista, obecne szczepionki kiepsko działają na omikrona. Dawka uzupełniająca poprawia nieco ochronę przed omikronem (tu przypadków jest znacznie mniej), ale to może jedynie oznaczać, że odporność poszczepienna (a tym bardziej po przechorowaniu) jest bardzo krótka, zapewne znacznie krótsza niż w przypadku wcześniejszych wariantów koronawirusa. Mówimy tu jednak o odporności na infekcję. Bo zupełnie inaczej rzecz się ma, jeśli chodzi o śmiertelność. Znów zajrzyjmy do danych, 17 grudnia w Wielkiej Brytanii – przy 90 tys. dziennych przypadków zanotowano 125 zgonów, a w Danii – przy 8,5 tys. było 13 zgonów. Tego samego dnia w Polsce przy 19 tys. zmarły aż 543 osoby.

Trudno więc na razie jednoznacznie ocenić, czy omikron jest łagodniejszy i z tego powodu powoduje mniej zgonów, czy też może wcale nie jest łagodniejszy, a przebieg zakażenia zależy od poziomu wyszczepienia. Gdy niebawem omikron rozpanoszy się w Polsce





(a to jedynie kwestia czasu, i to bardzo niedługiego), przekonamy się, jak z nim jest. Na razie, przy obecnym zbyt niskim poziomie wyszczepienia, można mieć jedynie nadzieję, że w Polsce będzie tak jak w Afryce i ludzie nie będą masowo trafiać do szpitali.

WIDMO OMIKRONA

Co się zaś tyczy zakaźności omikrona, to tu również jest coraz więcej niewiadomych. Gdyby bowiem oprzeć się tylko na dostępnych dziś liczbach, tych samych, które wzbudziły w Europie tak wielką panikę, to mogłoby z nich wynikać, że jego wskaźnik reprodukcji sięga 16, co – według naukowców – wydaje się niewiarygodne w przypadku koronawirusa. A zatem bardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że o jego szybkim rozprzestrzenianiu decyduje nie tyle duża zakaźność, ile w większej mierze odporność na obecne szczepionki.

Jeśli więc omikron rzeczywiście posiada takie właściwości, to może on po nowym roku wywołać liczne zakażenia wśród osób zaszczepionych i ozdrowieńców oraz doprowadzić do kolejnych, potężnych fal infekcji. Jednocześnie pozostaje nadzieja, że szczepionki i odporność uzyskana w wyniku infekcji ochronią zarażonych przed ciężkim przebiegiem choroby, co zmniejszy śmiertelność. Jednak do czasu wygaśnięcia tych ognisk liczba zgonów może być nawet wyższa niż po delcie – po prostu ze względu na ogromną skalę infekcji, nawet przy mniejszej śmiertelności nowego wariantu.

> Niewykluczone, że wraz z kolejnymi mniej zjadliwymi mutacjami i infekcjami nagromadzona odporność populacyjna będzie już na tyle wystarczająca, aby pandemia przeszła w endemię

To właśnie z tego powodu coraz więcej państw europejskich decyduje się ostatnio na ogłaszanie lockdownów. Irlandzki wicepremier Leo Varadkar stwierdził nawet, że mieszkańcy jego kraju powinni się przygotować na nieustające lockdowny przerywane w chwilach spadku zakażeń krótkimi powrotami do normalności.

Niestety, lockdown – rozwiązanie, jak się wydawało, nadzwyczajne – coraz częściej traktowany jest w Unii jako normalna forma walki z pandemią, co może mieć w niedalekiej przyszłości fatalne skutki nie tylko dla kulejącej z powodu kryzysu gospodarki, ale również dla skrępowanych ciągłymi restrykcjami społeczeństw.

Jeśli chodzi o Polskę, to przy obecnym poziomie wyszczepienia mogą nam w ciągu najbliższych tygodni grozić bardzo wysokie skoki zakażeń, nawet znacznie wyższe od tych, z którymi mieliśmy do czynienia dotychczas. Gdyby więcej osób było zaszczepionych, to nawet przy dużych wzrostach liczby zarażonych – jak pokazują przykłady z Danii czy Wielkiej Brytanii – ochrona zdrowia mogłaby sobie z nimi poradzić. Pewną nadzieję daje tutaj wejście na rynek oficjalnych leków przeciwko COVID-19, które – być może – ograniczą skalę ciężkich zachorowań. W tej chwili jednak trudno prognozować, jakie będą konsekwencje przejścia omikronu. I zdrowotne, i społeczne. Oby jak najmniejsze.

Jedno jest za to pewne: kolejne mutacje wskazują na to, że koronawirus będzie chciał z nami pozostać na zawsze i dlatego będzie coraz mniej groźny. Trudno jednak dziś powiedzieć, czy już w 2022 r. będziemy mogli wreszcie definitywnie odwołać stan zagrożenia. Oby tak było.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4

Mściwy





MAREK BUDZISZ

Łukaszenka z powodów politycznych jest zainteresowany eskalowaniem napięcia w relacjach z Polską. Wywołany kryzys migracyjny na polsko-białoruskiej granicy nie stał się sukcesem reżimu w Mińsku. Czym teraz uderzy? Czy po fali migracyjnej będziemy mieli do czynienia z falą narkotykową?

Naiwnym obserwatorom spraw publicznych może się wydawać, że dezercja i przejście na białoruską stronę polskiego żołnierza jest wynikiem jego indywidualnej decyzji, impulsu czy paniki, w którą wpadł w związku z ciążącymi nań zarzutami o charakterze kryminalnym. Jednak w zastanawiający sposób to, co stało się na polsko-białoruskiej granicy, wpisuje się w kolejną polityczną kampanię, którą zdecydował się rozpocząć Aleksander Łukaszenka. Jej celem jest, jak uważają obserwatorzy tego, co dzieje się na Białorusi, przeprowadzenie reformy konstytucyjnej, w tym zapowiedzianego na luty referendum w taki sposób, aby nie oddawać władzy, kontrolować wszystkie jej elementy i „pozostać w grze" jeszcze przez lata. Po niedawnym wystąpieniu Władimira Putina na rozszerzonym kolegium Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kiedy rosyjski prezydent dość niespodziewanie zwrócił uwagę na to, iż kryzys polityczny na Białorusi nie jest rozwiązany i władze powinny rozpocząć dialog ze społeczeństwem, stało się jasne, że Aleksander Łukaszenka, jeśli chce przetrwać, musi przejąć inicjatywę i przeprowadzić kontruderzenie. Białoruski dyktator rozpoczął batalię o przeżycie, a na porządku dnia stanęła kwestia, czy przetrwa on 2022 r.?

SANKCJE ZACHODU

Zacznijmy od kwestii gospodarczych. Przyjęty przez państwa Unii Europejskiej V pakiet sankcji oznacza, że wpływy z eksportu będą się w najbliższych miesiącach kurczyć, a reżim zacznie odczuwać problemy z brakiem gotówki. Tym bardziej że presja ze strony białoruskiej opozycji na zachodnie firmy nie maleje. Swiatłana Cichanouska rozmawiała niedawno z prezesem norweskiego koncernu nawozowego Yara, przekonując go, aby zakończył współ-

Fot. Drop of Light/Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4

Łukaszenka

pracę z przedsiębiorstwem Biełaruśkalij, jednym z większych „dostarczycieli waluty" na Białorusi.

Restrykcje Waszyngtonu zamykają z kolei możliwość zaciągania długów na rynkach międzynarodowych. Wicepremier Białorusi Nikołaj Snopkow, wypowiadając się na ten temat, zauważył, że „sankcje wprowadzone przez piąty pakiet wobec białoruskiego długu państwowego są bolesne. Istnieje bezpośrednie ryzyko możliwości jego refinansowania, w tym w postaci krajowych pożyczek walutowych". Mińsk tylko w przyszłym roku będzie potrzebował 3,4 mld dol. na spłatę długów, w kolejnym będzie to już ponad 4,7 mld, a perspektywy są coraz gorsze. Spodziewając się trudności, reżim już wystąpił do Moskwy o kolejną pożyczkę, tym razem w wysokości 3,5 mld dol., ale rosyjskie władze nie spieszą się z decyzjami. Dotychczas obiecały 680 mln do końca przyszłego roku i zwlekają, zwiększając presję na białoruskie władze. „W kontekście odmowy większości międzynarodowych organizacji finansowych współpracy z Republiką Białorusi – powiedział Snopkow – i innych możliwości pozyskania funduszy inwestycyjnych praktycznie jedynym źródłem rozwoju kraju i wzrostu gospodarczego są zasoby i rezerwy wewnętrzne".

Wydają się one jednak więcej niż skromne i w kraju, jak argumentują obserwatorzy, narasta podskórne niezadowolenie. Wzmacniane jeszcze represjami, w tym zwalnianiem z pracy ludzi, którzy subskrybowali internetowe kanały uznane za ekstremistyczne lub poparli wiosną ub.r. swymi podpisami konkurentów Łukaszenki. W praktyce dostają oni wilczy bilet, mając problemy ze znalezieniem jakiejkolwiek pracy, co dodatkowo powoduje narastanie niezadowolenia.

Znany z mściwości Łukaszenka reaguje w typowy dla siebie sposób – nasileniem represji i uderzeniem w inwestorów zagranicznych, którzy stają się w ten sposób jego zakładnikami. Na celowniku znalazła się austriacka firma telekomunikacyjna A 1, która w świetle oskarżeń formułowanych przez reżimowy związek dziennikarzy miała przekazywać dane personalne, w tym numery telefonów komórkowych, członków opozycji. Firma A 1, będąca również dostawcą internetu na Białorusi, naraziła się najprawdopodobniej tym, że pochodzi z Austrii, czyli kraju, którego premier niedawno zorganizował z udziałem Swiatłany Cichanouskiej konferencję, która, jak spekulowały opozycyjne media, miała być początkiem dialogu z opozycją i zainicjować odejście Łukaszenki. Austria znana jest z prorosyjskiej postawy, premier Schallenberg bronił w ostatnich dniach otwarcie rosyjskiego gazociągu Nord Stream 2, więc zorganizowanie przez Wiedeń konferencji z udziałem białoruskiej opozycji było interpretowane jako krok uzgodniony z Moskwą. Igor Łucki, zastępca administracji prezydenckiej, powiedział dziennikowi „Biełaruś Siewodnia", że na polecenie Aleksandra Łukaszenki wobec A 1 „zostaną podjęte najtwardsze działania".

Sypią się też drakońskie wyroki na przeciwników reżimu. Siarhej Cichanouski dostał 18 lat więzienia o zaostrzonym rygorze, jego współpracownicy Artem Sakow i Dmitrij Popow po 16 lat, jeszcze dwóch innych po 15 lat. Nikołaj Statkiewicz, lider białoruskiej socjaldemokracji, były wojskowy, jedyny wyższy rangą oficer białoruskich sił zbrojnych, który wystąpił w 1991 r. przeciw puczowi Janajewa, sądzony w tym samym procesie dostał 14 lat więzienia. Kiedy je opuści, będzie miał 78 lat.

WOJNY DYKTATORA

Łukaszenka na spotkaniu z przedstawicielami administracji, które poświęcone było sytuacji w kraju w związku z wprowadzeniem przez Zachód sankcji, wrócił do dobrze znanej retoryki. „Idzie wojna" – mówił. W opinii dyktatora Białoruś jest oblężona przez wrogów zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. „Nie czas teraz na jakieś karteczki" – dodał, co zdaniem komentatorów może być zarówno próbą mobilizowania zwolenników obozu władzy, jak i sugerować, że reżim rozważa możliwość przesunięcia terminu referendum konstytucyjnego. Ta ostatnia hipoteza wydaje się tym bardziej prawdopodobna, że na emeryturę odeszła właśnie Lidzija Jarmoszyna, kierująca przez ostatnie 25 lat Centralną Komisją Wyborczą, odpowiedzialna za niezliczone fałszerstwa i oszustwa przy okazji kolejnych białoruskich wyborów różnych szczebli. Jej miejsce zajął Igor Karpenko, w przeszłości kierujący „trudną" komisją wyborczą w Mińsku, jednak nie zmienia to tego, że przyjście nowego człowieka niemal w przededniu referendum nie jest bez znaczenia. Jak powiedział Artem Shreibman, białoruski politolog, który obawiając się represji, musiał opuścić Białoruś, komentując odejście Jarmoszyny: „Łukaszenka ufał jej jak mało komu", a nowy układ personalny jest mniej pewny.

Na tym samym spotkaniu z władzami wschodnich regionów Łukaszenka w typowy dla siebie, zagadkowy sposób mówił, że musi osobiście nadzorować wejście w życie konstytucji i pozwolić okrzepnąć nowym organom władzy. „Nie możecie powiedzieć, jaki prezydent będzie po Łukaszence... teraz jest dużo gadatliwych, przyjdą, naobiecują... a jak zdobędą władzę, to majątek, który pielęgnowaliśmy jak źrenicę oka, na

eprasa.pl efefd978f4

kawałki podzielą" – powiedział białoruski dyktator, co po raz kolejny skłoniło wielu komentatorów do wniosków, że wcale nie wybiera się on na polityczną emeryturę.

Na tym samym spotkaniu Łukaszenka, mówiąc o wojnie, podkreślał zagrożenie ze strony Polski, która chce, jak się wyraził, zająć Białoruś. Nawet dziennikarze rosyjskiej „Niezawisimej Gaziety" zauważyli, że mamy w tym wypadku do czynienia z zaostrzeniem narracji. W ub.r. białoruski dyktator mówił, że Polska chciałaby oderwania Grodzieńszczyzny, teraz nasze apetyty miałyby wzrosnąć i chcemy połknąć już cały kraj. Nie chodzi w tym wypadku wyłącznie o szukanie wrogów i konsolidację reżimu w obliczu zagrożenia „agresją", choć i to ma miejsce. Łukaszence na rękę jest budowanie narracji, że Białoruś jest oblężoną przez NATO twierdzą, wysuniętą kasztelanią broniącą „ruskiego miru", bo w realiach konfrontacji nie zmienia się dowodzącego obroną i chętniej udziela się pomocy. Na zyskanie aplauzu w Moskwie obliczone były też niedawne wypowiedzi białoruskiego dyktatora i szefa tamtejszego MSZ o gotowości przyjęcia przez Mińsk na swoje terytorium rosyjskich głowic nuklearnych. Podobny cel miały deklaracje Łukaszenki, który w jednym z rosyjskich programów propagandowych powiedział, że „Krym jest de facto rosyjski", a po przeprowadzonym na anektowanym półwyspie referendum jest również rosyjski „de iure".

ZEMSTA NA POLSCE

Zaostrzenie sytuacji z Polską jest również Łukaszence na rękę z innego powodu. Otóż dziesięć dni przed dezercją Emila C. Polska ujawniła nagrania z wieży kontrolnej mińskiego lotniska, kiedy władze zmusiły do lądowania samolot linii Ryanair z Ramanem Pratasiewiczem na pokładzie. Naszym służbom dostarczył je zbiegły z Białorusi Oleg Galegow, kontroler lotów mający dyżur w tym czasie. Na nagraniu słychać, jak oficer białoruskiego KGB, konsultujący się „z kimś wyżej", przejmuje kontrolę nad samolotem, strasząc załogę, która początkowo nie daje wiary w komunikaty z wieży, bombą na pokładzie. Jak napisał komentujący całą sprawę „The New York Times", ujawnione informacje pokazują „rolę brutalnych służb bezpieczeństwa Łukaszenki w tym, co szef Ryanair Michael O'Leary potępił jako porwanie z premedytacją". Z punktu widzenia reputacji reżimu również w oczach Moskwy to, co się stało, jest katastrofą wizerunkową. Zresztą kolejną, po bardzo cierpko na Kremlu przyjętych zapowiedziach Łukaszenki, że jest on gotów zablokować tranzyt rosyjskiego gazu. Nie chodzi w tym wypadku tylko o to, że właścicielem rury jest rosyjski Gazprom, ale o wystawienie na szwank budowanej przez Moskwę reputacji Rosji jako wiarygodnego dostawcy surowców energetycznych dla Europy Zachodniej. W tej ostatniej sprawie musiał interweniować sam Władimir Putin, udzielając wywiadu rosyjskiemu kanałowi informacyjnemu.

> W ub.r. białoruski dyktator mówił, że Polska chciałaby oderwania Grodzieńszczyzny, teraz nasze apetyty miałyby wzrosnąć i chcemy połknąć już cały kraj

Wywołany przez Łukaszenkę kryzys migracyjny na polsko-białoruskiej granicy też nie stał się sukcesem Mińska. Stanowczości Warszawy, mimo że białoruską narrację dzielnie wspierali przedstawiciele polskiej opozycji i niektórych mediów, nie udało się przełamać, a Europa nie zaczęła wywierać presji na Polskę i poparła naszą politykę na granicy. Czy w związku z tym możemy już mówić o zakończeniu kryzysu? Niekoniecznie. Łukaszenka będzie się mścił, a sytuacja wewnętrzna powoduje, że reżim zarówno potrzebuje pieniędzy, jak i jest zainteresowany eskalowaniem napięcia w relacjach z Polską.

Co zatem nowego mogą wymyślić przedstawiciele tamtejszych służb specjalnych, aby uderzyć? Białoruś właśnie otworzyła bezpośrednie połączenie lotnicze z Wenezuelą, a jak skądinąd wiadomo, reżim Maduro kontroluje przemyt kokainy przez tamtejsze porty. Może zatem Łukaszenka, grożąc wczesną wiosną Europie tym, że „zaleje ją fala narkotyków", miał na myśli niekoniecznie przemyt z Afganistanu, jak wówczas sądzono, ale zupełnie inne kierunki? Inną opcją jest współpraca z Damaszkiem. Śledztwo przeprowadzone przez dziennikarzy „The New York Times" w ponad dziesięciu krajach Bliskiego Wschodu doprowadziło do stwierdzenia, że syryjski reżim Asada przekształcił kraj w jednego z największych na świecie producentów i eksporterów narkotyków. „Sztandarowym produktem" jest captagon, środek psychotropowy o działaniu podobnym do amfetaminy, którego produkcję i dystrybucję ochrania 4. Dywizja syryjskich sił rządowych dowodzona przez Mahera al-Asada, młodszego brata dyktatora. Liczne dowody wskazują też na powiązania z narkotykowym biznesem rosyjskich służb specjalnych, by wspomnieć tylko aferę z odkryciem kilkuset kilogramów kokainy w rosyjskiej ambasadzie w Buenos Aires, po którym z pilną wizytą do Argentyny udał się Nikołaj Patruszew, sekretarz rosyjskiej Rady Bezpieczeństwa, czy 10 tonami tego narkotyku na rosyjskim statku zatrzymanym w porcie w Cabo Verde. Leszek Szerepka, były ambasador RP w Mińsku, napisał, że jednym z powodów aresztowania Andżeliki Borys i Andrzeja Poczobuta mogło być przechwycenie przez nasze służby celne znacznych partii przemycanych z Białorusi papierosów, bo skądinąd wiadomo, że tamtejszy reżim kontroluje ten lukratywny proceder.

Łukaszenka ma zatem powody, aby mścić się na Polsce, w jego interesie jest zaognianie sytuacji, ma także narzędzia, czyli funkcjonujące kanały przemytnicze, aby zwiększać presję. Czy po fali migracyjnej przyjdzie fala narkotykowa, nie wiadomo, ale pewne jest, iż Mińsk nie zamierza ustępować.

eprasa.pl efefd978f4

Polski Ład zapewnia nowy instrument wsparcia dla rodzin z małymi dziećmi

1 stycznia 2022 r. wchodzi w życie rodzinny kapitał opiekuńczy – kolejny element polityki prorodzinnej prowadzonej przez rząd premiera Mateusza Morawieckiego

Rząd Zjednoczonej Prawicy wdrożył w ostatnich sześciu latach wiele nowatorskich rozwiązań, m.in. programy Rodzina 500+, Dobry Start, Mama 4+, które po raz pierwszy w historii w tak spektakularny sposób odmieniły życie wielu polskich rodzin. W ramach programu Dobry Start w latach 2018–2021 do rodzin trafiło ponad 5,2 mld zł, w tegorocznej edycji objętych nim było prawie 4,5 mln dzieci. Z Karty dużej rodziny korzysta już 1,1 mln rodzin wielodzietnych. Na uwagę zasługuje rozwój programu Maluch+, dzięki któremu dzisiaj dla najmłodszych dzieci zabezpieczonych jest blisko 211 tys. miejsc opieki żłobkowej. Niedługo budżet programu wzrośnie trzykrotnie do 1,5 mld zł rocznie.



– 98 proc. Polaków deklaruje, że chce mieć dzieci. Naszą rolą jest tworzenie takich warunków, żeby rodzice mieli komfort podejmowania decyzji prokreacyjnych i wychowywania dzieci. Rodzinny kapitał opiekuńczy jest właśnie takim instrumentem. Ma zapewnić rodzicom małych dzieci wsparcie w wychowaniu i opiece nad nimi, dać poczucie bezpieczeństwa – mówi minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

RODZINNY KAPITAŁ OPIEKUŃCZY

Rodzinny kapitał opiekuńczy to 12 tys. zł na drugie i każde kolejne dziecko w rodzinie w wieku od od 1. dnia miesiąca, w którym dziecko kończy 12. miesiąc życia, do końca miesiąca, w którym kończy 35. miesięcy życia. Rodzice sami wybiorą sposób wypłacania świadczenia oraz zdecydują, na co przeznaczą pieniądze. Świadczenie może być wypłacane po 1000 zł miesięcznie przez rok lub po 500 zł przez dwa lata.

– Po ukończeniu przez dziecko pierwszego roku życia, kiedy kończy się urlop rodzicielski, a przed możliwością posłania dziecka do przedszkola jest to z punktu widzenia opieki nad dzieckiem najbardziej wymagający dla rodziców czas. Wtedy też często zapadają decyzje o kolejnych dzieciach. Mamy pełne zaufanie do polskich rodziców i wiemy, że tak jak w przypadku środków pochodzących z programu Rodzina 500+, tak i rodzinny kapitał opiekuńczy zostanie wykorzystany w sposób, który rodziny uznają za najbardziej dla nich odpowiedni. My pozostawiamy rodzinom wybór – tłumaczy minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

W procesie przyznawania tego świadczenia nie będzie brane pod uwagę kryterium dochodowe. Ponadto środki te nie będą opodatkowane.

– Rodzinny kapitał opiekuńczy to nie tylko kolejna inwestycja w rodzinę, w kapitał ludzki, to również wyraz solidarności społecznej. To, ile będzie się bowiem rodziło Polaków, jest sprawą nas wszystkich, całej naszej wspólnoty – dotyczy przyszłości Polski. Bez odwrócenia negatywnych trendów demograficznych, bez wzrostu dzietności, bez inwestowania w rodziny zrównoważony rozwój Polski będzie zagrożony. Przy czym inwestowanie w rodziny zawsze wymaga poszanowania jej autonomii i podmiotowości – podkreśla minister Marlena Maląg.

W 2022 r. rodzinny kapitał opiekuńczy obejmie ok. 615 tys. dzieci. To ok. 3 mld zł dodatkowego wsparcia dla polskich rodzin.

Aby uzyskać prawo do rodzinnego kapitału opiekuńczego, konieczne będzie złożenie wniosku. Można to zrobić za pośrednictwem portalu Empatia (portal Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej), PUE ZUS lub poprzez bankowość elektroniczną. Środki będą przekazywane na wskazane przez rodziców konto bankowe, w wybranej wysokości i okresie wypłacania.

DOFINANSOWANIE DO POBYTU DZIECKA W ŻŁOBKU

Rodzice dzieci, które nie zostaną objęte rodzinnym kapitałem opiekuńczym, będą mogli skorzystać z dofinansowania do pobytu dziecka w żłobku, klubie dziecięcym lub u dziennego opiekuna w maksymalnej wysokości 400 zł miesięcznie. Środki te będą przekazywane bezpośrednio instytucji opieki, do której uczęszcza dziecko (nie więcej niż wysokość opłaty ponoszonej przez rodziców). Według szacunków tym świadczeniem zostanie objętych ok. 110 tys. dzieci.

Wnioski o dofinansowanie będzie można składać do ZUS od 1 kwietnia 2022 r. Jeżeli wniosek zostanie złożony do 31 maja 2022 r., to dofinansowanie zostanie przyznane z wyrównaniem od 1 stycznia 2022 r.

– Rodzinny kapitał opiekuńczy to kolejna ważna inwestycja w rodziny. To także dowód zaufania polskim rodzinom, docenienie ich znaczenia i niezmiernie ważnej roli w społeczeństwie – podsumowuje minister rodziny i polityki społecznej Marlena Maląg.

Materiał powstał przy współpracy z Ministerstwem Rodziny i Polityki Społecznej | 59/1221/F

eprasa.pl efefd978f4

Nie można się cackać ze zdrajcami

Moim zdaniem jesteśmy w stanie wojny, skoro tak mówią politycy. I nagle słyszymy, że temu dezerterowi grozi tylko do 10 lat więzienia. To gdzie jest kłamstwo w tej sprawie? Jest wojna czy jej nie ma?



Z gen. Waldemarem Skrzypczakiem, byłym dowódcą Wojsk Lądowych, rozmawia Adam Stankiewicz

Czy sprawa rozliczeń w Wojsku Polskim po dezercji Emila Czeczki, żołnierza służącego w 11. Pułku Artylerii w Węgorzewie, który uciekł na Białoruś, jest już pana zdaniem zakończona? Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak zdecydował się odwołać jego bezpośrednich przełożonych – dowódcę baterii, dowódcę plutonu i dowódcę 2. dywizjonu w Węgorzewie.

Waldemar Skrzypczak: Nie wiem, mam nadzieję, że prokuratura wyjaśni wszystkie okoliczności tego wydarzenia, również wskaże, kto i na jakim etapie popełnił błędy w tej sprawie. Osobiście widzę, że ukarany został tylko poziom pośredni. Natomiast jest też kwestia kary dla tego zdrajcy, nawet nie powiem, że polskiego obywatela, bo moim zdaniem z automatu powinien zostać pozbawiony praw obywatelskich.

Dużo emocji w mediach wywołały pana słowa, że powinien ponieść karę śmierci.

Prezydent Polski mówi nam, że jesteśmy w stanie wojny hybrydowej. Cały rząd też to mówi. Faktem jest, że na granicy polsko-białoruskiej cały czas dochodzi do ataków na naszych funkcjonariuszy ze strony specnazu, służb białoruskich itd. W wyniku tego mamy rannych polskich policjantów, strażników granicznych, żołnierzy. To przepraszam, co to jest? Stan wojny czy nie? Moim zdaniem jesteśmy w stanie wojny, skoro tak mówią politycy. I nagle słyszymy, że temu dezerterowi grozi tylko do 10 lat więzienia. To gdzie jest kłamstwo w tej sprawie? Jest wojna czy jej nie ma? Dla mnie, jako żołnierza, to jeżeli jest wojna, to nie ma innego wyroku dla żołnierza, który przechodzi na stronę wroga, jak kara śmierci. Tymczasem się okazuje, że na wojnie są tylko żołnierze, policjanci i strażnicy graniczni przy granicy, ale już prokuratura żyje w zupełnie innym świecie. Nie mogę tego pojąć.

Jeśli Emil Czeczko zostanie zbyt łagodnie osądzony przez polski wymiar sprawiedliwości, to może to wpłynąć negatywnie na morale naszych żołnierzy?

Fot. Agnieszka Sniezko/East News

eprasa.pl efefd978f4



Emil Czeczko po dezercji na Białoruś udzielił wywiadu mediom Łukaszenki, w których szkalował Polskę

Oczywiście. Bo to oznacza utratę powagi przez wszystkich, którzy są zaangażowani w obronę granic. Jeżeli od paru miesięcy wszyscy mówią o wojnie, a nagle się okazuje, że jej w zasadzie nie ma i dezerter ma pójść do więzienia, to krew się burzy w żołnierzu. Co więcej, może się jeszcze okazać, że nasi żołnierzy będą sądzeni za to, że rzekomo używają przemocy wobec imigrantów, jeżeli taka będzie postawa polityków. Dla mnie to jest obraza żołnierzy, że ktoś pozwolił sobie na takie opowiadanie w mediach, że temu zdrajcy, który szkaluje Polskę, oskarża polskich żołnierzy o mordowanie migrantów, grozi najwyżej 10 lat więzienia.

A gdyby hipotetycznie ten dezerter został skazany na dożywocie, to pana zdaniem dalej byłaby to niewystarczająca kara?

Po pierwsze, to na pewno już nigdy tego człowieka nie dostaniemy w swoje ręce. Łukaszenka nam go nie wyda. Po drugie, jeżeli my się tak będziemy cackać ze zdrajcami, to świadczyłoby to o naszej słabości. Nie ma sentymentów, za zdradę jest tylko jeden wyrok i nie ma innego – to kara śmierci.

Czy sądzi pan, że Emil Czeczko przeszedł z własnej inicjatywy na białoruską stronę, czy też był do tego namawiany? A może był białoruskim szpiegiem, bo i takie spekulacje się pojawiają.

Tylko ludzie, którzy nie znają się na wojsku, mogą mówić, że szeregowy mógł być szpiegiem. Poza tym jego nikt nie namawiał do tego kroku. Uciekł na Białoruś przed odpowiedzialnością karną w Polsce. Wiedział, że tutaj nic dobrego go nie czeka, tym bardziej że został złapany, kiedy prowadził pod wpływem alkoholu, po marihuanie, bił matkę. W związku z tym zdradził ojczyznę i poszedł na Białoruś. Moim zdaniem to człowiek niezrównoważony emocjonalnie.

Jakie wnioski z tej sytuacji powinny zostać wyciągnięte? Co zrobić, by zminimalizować ryzyko kolejnych dezercji?

System naboru do wojska jest nieszczelny, dlatego że takie osoby jak on nigdy nie powinny do wojska trafić. Nie wiem, jak to się stało, że ktoś go zweryfikował jako dobrego kandydata na żołnierza. Jeśli się nie uszczelni systemu, to podejrzewam, że będziemy mieli takich zdrajców więcej. W związku z tym należy to zweryfikować. Natomiast w tej konkretnej sytuacji – po tym, gdy ten człowiek pobił swoją matkę i jego dowódcy dowiedzieli się o tym, następnego dnia powinien zostać wyrzucony z wojska na zbity pysk. Nie ma miejsca dla damskich bokserów w armii. Tymczasem nie wiem, dlaczego przeniesiono go do innej jednostki. Chyba próbowano go chronić. To był błąd. Powiem więcej – gdyby którykolwiek służący pode mną dowódca tak się zachował, to po pierwsze, straciłby u mnie wiarygodność, a po drugie, już by nie był dowódcą. Chciałbym wierzyć w to, że służby znają wszystkich tych, którzy budzą jakiekolwiek wątpliwości i szybko ich teraz wyłapią.

W sprawie dezertera pojawia się jeszcze jeden wątek. Niedługo po przekroczeniu granicy udzielił on białoruskiej telewizji wywiadu, w którym w wyjątkowo ostry sposób kłamał na temat działań polskich funkcjonariuszy przy granicy – twierdził m.in., że polskie służby strzelają do migrantów, ale też, że strażnicy graniczni strzelają do... polskich wolontariuszy. Pan uważa, że te opowieści wywołają oczekiwany przez białoruskie służby efekt propagandowy?

Na Zachodzie nikt w to nie uwierzy, w Mińsku i na Kremlu też w to nie wierzą, ale to wykorzystają. Ten przekaz idzie też do Białorusinów, Rosjan i oni już mogą w to uwierzyć, jednak ogólnie skutek takich działań będzie moim zdaniem wątpliwy.

Czy Emil Czeczko będzie jeszcze jakoś wykorzystywany przez białoruskie służby? Co się z nim ostatecznie stanie?

Wykręcą z niego wszystko, wykorzystają go do szkalowania Wojska Polskiego i Polski, ale w końcu się go pozbędą. Za parę miesięcy będzie już nikim. Nie wiem, co konkretnie z nim zrobią, czy gdzieś go osiedlą, czy też go zabiją, w każdym razie nie wróżę mu świetlanej przyszłości na Białorusi ani gdziekolwiek indziej.

eprasa.pl efefd978f4



Zdemaskowane zniesławienie

Człowiek, który rozpętał antypedofilską nagonkę na Kościół katolicki, kłamał. Marek Lisiński nie był molestowany przez księdza, a samotna, wieloletnia walka ks. Zdzisława Witkowskiego zakończyła się uniewinniającym wyrokiem sądu. Co na to płocka kuria, która dała wiarę oszustowi i odarła kapłana z godności? Czy biskupi będą ostrożniejsi i podejmą wreszcie odpowiednie kroki, by chronić niewinnie oskarżonych kapłanów?



MARZENA NYKIEL

Marek Lisiński jest oszustem. Nigdy nie był molestowany przez księdza, jego fundacja walcząca z pedofilią w Kościele zbudowana jest na kłamstwie, a polityczna nagonka wobec duchownych została oparta na fikcji. Sąd Apelacyjny w Łodzi wydał jednoznaczny wyrok o niewinności ks. Zdzisława Witkowskiego. I choć sprawa zdążyła już obiec wszystkie media, płocka kuria nie wydała nawet suchego komunikatu, by przywrócić dobre imię zniesławionemu kapłanowi. Czyżby milczenie było próbą zamaskowania własnych błędów? Bo przecież od początku wszystkie dowody świadczyły o niewinności ks. Witkowskiego. Mimo to ks. bp Piotr Libera uległ wersji oskarżyciela i ukarał księdza trzyletnim zakazem sprawowania posługi kapłańskiej. Presja mediów i aktywistów okazała się silniejsza od prawdy. Zdemaskowanie tych machinacji to wyjątkowo ważny moment. Czas na nowo postawić pytanie, ilu niewinnie oskarżonych księży cierpi z powodu pochopnie nałożonych kar? Czy biskupi nie ulegają zbyt łatwo rzucanym na oślep oskarżeniom i czy zasada „zero tolerancji" nie służy bardziej kłamliwym szantażom niż sprawiedliwości?

KŁAMSTWA LISIŃSKIEGO

Joanna Scheuring-Wielgus i Agata Diduszko, walczące z Kościołem ateistki, zabrały Marka Lisińskiego do Watykanu, by pokazać papieżowi Franciszkowi ofiarę księdza pedofila. Zdjęcia Ojca Świętego całującego dłonie Marka Lisińskiego, rzekomej ofiary wykorzystania seksualnego przez księdza, obiegły świat. Dziś nie ma już wątpliwości, że papież został oszukany. Mimo to żadna z nich nie zamierza przeprosić.

Lisiński czuł się mocny. Założył Fundację „Nie lękajcie się", która miała pociągnąć Kościół do odpowiedzialności za wykorzystywanie seksualne nieletnich. Szybko jednak wyszła na jaw jego chęć łatwego zarobku. Za występ w filmie Sekielskich zażądał 50 tys. zł. I choć jego wypowiedź ostatecznie nie została umieszczona w filmie, Sekielscy, posiadając tę wiedzę, nie ujawnili sprawy. Zwyczajnie ją przemilczeli. Podobnie jak tę o esbeckiej historii bohaterów „Tylko nie mów nikomu".

Działalność Lisińskiego obciążona była również innymi nieprawidłowościami. Jedna z podopiecznych zarzuciła mu, że próbował wyciągnąć od niej pieniądze. Ostatecznie zrezygnował z funkcji szefa fundacji, ale mit – pomimo licznych publikacji medialnych – trwał i służył walce z Kościołem. Jak doszło do oskarżenia księdza?

NIESŁUSZNIE OSKARŻONY

W listopadzie 2007 r. Lisiński zgłosił się do ks. Zdzisława Witkowskiego, podając się za byłego ministranta z parafii, w której ksiądz kiedyś pracował. Poprosił o pożyczkę 30 tys. zł na leczenie żony. Kiedy ks. Witkowski się zorientował, że został oszukany, zażądał zwrotu pieniędzy. Lisiński najpierw przeprosił i zobowiązał się na piśmie do oddania długu, a potem w 2008 r. napisał donos do biskupa płockiego Piotra Libery, jakoby w latach 1980–1981 był wykorzystywany seksualnie przez ks. Witkowskiego.

Nie pomogły zeznania świadków ani dowody na to, że Lisiński nie był nawet ministrantem. W 2011 r. biskup płocki rozpoczął proces kanoniczny. W jego toku członkowie Sądu Biskupiego w Płocku ustalili, że nie ma podstaw do postawienia księdzu jakichkolwiek zarzutów. Ustalenia potwierdził powołany przez trybunał biegły psycholog, który po przeprowadzeniu badań stwierdził, że „brak wystarczających przesłanek psychologicznych przemawiających za prawdziwością takich oskarżeń wobec kapłana". Wniesiono o „uznanie, że ks. Witkowski nie popełnił zarzucanych mu w akcie oskarżenia czynów". Mimo to bp Libera przyjął stanowisko oskarżyciela. W 2013 r. wydał dekret, w którym widniał „zakaz sprawowania posługi kapłańskiej przez okres trzech lat". Najwyraźniej presja medialna wzięła górę. A Marek Lisiński, czując przychylność, rozszerzał żądania. W 2014 r. skierował do kanclerza kurii płockiej listy, w których chciał od biskupa płockiego „wsparcia finansowego" w wysokości 150 tys. zł, a następnie rekompensatę w wysokości 200 tys. zł. W 2017 r. rozszerzył powództwo, domagając się 1 mln zł.

SKANDALICZNA POSTAWA PŁOCKIEJ KURII

Gdy w 2019 r. wyszły na jaw nowe krętactwa Lisińskiego, nawet liberalno-lewicowe media zakwestionowały jego wersję zdarzeń. Wirtualna Polska i „Gazeta Wyborcza" opublikowały obszerne artykuły, świadczące o tym, że szef Fundacji „Nie lękajcie się" kłamie. Jakże zdumiewające było wówczas oświadczenie płockiej kurii, która zaprzeczyła medialnym doniesieniom, najwyraźniej chroniąc pochopną i niesprawiedliwą decyzję biskupa: „Wina duchownego oskarżonego o molestowanie Pana Marka Lisińskiego została potwierdzona podczas prowadzonego przed Sądem Biskupim w Płocku postępowania. Poczynione ustalenia zostały zatwierdzone przez watykańską Kongregację Nauki Wiary. W opisanej sprawie zarówno

Fot. Laski Diffusion/East News

eprasa.pl efefd978f4

zebrane materiały, jak i postawa oskarżonego duchownego w toku postępowania kanonicznego dały podstawy do uznania Pana Marka Lisińskiego za ofiarę molestowania seksualnego".

To szokujące zamknięcie sprawy i pozostawienie kapłana bez pomocy własnego biskupa jest wstrząsające. Zbadał ją wówczas szczegółowo Sebastian Karczewski, autor książki „Pedofilią w Kościół". Przeanalizował dokładnie dokumenty procesowe, dotarł do świadków, prześwietlił bieg wydarzeń. Obraz, jaki wyłania się z jego śledztwa, rzuca cień na działalność płockiej kurii.

„PEDOFILIĄ W KOŚCIÓŁ"

Z publikacji Sebastiana Karczewskiego dowiadujemy się, że w 2017 r. bp Libera przedstawił ks. Witkowskiemu kopię watykańskiego Dekretu Kongregacji Nauki Wiary, w którym potwierdziła ona karę nałożoną dekretem w 2013 r. przez biskupa – trzyletni zakaz sprawowania posługi kapłańskiej – uznając ją za „sprawiedliwą". Jak to możliwe? Karczewski pisze w swojej książce, że zapoznał się zarówno z treścią dekretu Kongregacji, jak i z pismem arcybiskupa Luisa Ladarii. Była w nim mowa o ks. Witkowskim jako „skazanym w procesie karnoadministracyjnym, który został przeprowadzony w diecezji". „Była to nieprawda, gdyż kapłana nie obciążał żaden wyrok sądu biskupiego. Co więcej. W dekrecie były całkowicie wyssane z palca stwierdzenia. Na przykład, że ksiądz miał Markowi Lisińskiemu „ofiarowywać znaczne sumy pieniędzy", zmieniać „wersję przebiegu wydarzeń po wyjściu na jaw nowych informacji", a nawet rzekomo prosić diecezję, „aby zaspokojone zostały żądania finansowe ofiary w celu odstąpienia od dalszego postępowania". Była też mowa o „stanie recydywy, w którym znajduje się skazany".

„Coś tu wyraźnie nie grało. Zabrałem więc wszystkie akta i pojechałem do Rzymu, by wyjaśnić sprawę u źródła, a więc w Kongregacji Nauki Wiary. Okazało się, że dekret powstał na podstawie fałszywych informacji, przekazanych tej ostatniej przez biskupa płockiego. Inaczej mówiąc: bp Piotr Libera oszukał Kongregację. Przesłał tam bowiem całkiem inny dokument niż ten, który przekazał ks. Witkowskiemu z datą 12 grudnia 2013 r. Załączył do niego nieprawdziwe informacje, celowo obciążające kapłana" – pisze w swojej książce Karczewski. Stawia także poważne pytanie o to, „czy nie istnieje jakiś podejrzany układ między biskupem płockim a środowiskiem sędziowskim w Płocku?". Wskazuje też, że głosy ówczesnych parafian ks. Witkowskiego, kierowane do płockiej kurii, i chęć złożenia przez nich zeznań, w ogóle nie zostały przez bp. Liberę wzięte pod uwagę.

> Joanna Scheuring-Wielgus i Agata Diduszko zabrały Marka Lisińskiego do Watykanu, by pokazać papieżowi Franciszkowi ofiarę księdza pedofila. Dziś nie ma już wątpliwości, że Ojciec Święty został oszukany. Mimo to żadna z nich nie zamierza przeprosić

SAMOTNA WALKA

Ks. Zdzisław Witkowski przez wiele lat samotnie walczył o sprawiedliwość i odzyskanie dobrego imienia. Złożył pozew przeciwko Lisińskiemu, ale został on zablokowany przez kurię. Sąd Okręgowy w Płocku przyjął sprawę i zwrócił się do Kurii Diecezji Płockiej o udostępnienie oświadczeń, które były dowodem pożyczki, jaką Lisiński zaciągnął u księdza. Lisiński zabezpieczył się przed takim obrotem spraw już w 2014 r., gdy napisał do kanclerza kurii list z prośbą „o nieudostępnianie sądom cywilnym dokumentacji" z jego procesu w sądzie biskupim. Poprosił też o przesłanie kopii dekretu Kongregacji Nauki Wiary. „Oskarżycielowi nie tylko przekazano dokumentację, ale ks. Mirosław Milewski, ówczesny kanclerz kurii płockiej, a obecnie biskup pomocniczy, wezwał księdza i w imieniu biskupa płockiego zażądał natychmiastowego wycofania pozwu z sądu. Co miał zrobić ksiądz? W duchu posłuszeństwa, zgodził się napisać wniosek o wycofanie pozwu" – pisze Karczewski.

Dziś wszystko jest już jasne. Ks. Witkowski jest niewinny. Lisicki jest obłudnym kłamcą, który na zmyślonej historii chciał się dorobić majątku. Jego sprawa została rozdmuchana politycznie i uruchomiła potężną nagonkę na Kościół. Miała wywołać przewrót rozpoczynający wyciąganie odszkodowań od parafii. I choć z pedofilią – zarówno w Kościele, jak i w każdym innym miejscu – należy bezwzględnie walczyć, a sprawców surowo karać, trudno się oprzeć wrażeniu, że mnóstwo oskarżeń i powielanych w prasie historii ma taką samą wartość jak opowieści Lisińskiego. Rzucone po latach oskarżenia są trudne do zweryfikowania. Zwłaszcza że często dotyczą nieżyjących już księży. A nowe organizacje, uzbrojone w prawników, już zacierają ręce na myśl o wyciąganiu odszkodowań od Kościoła. Praktyka taka jest powszechna zarówno w USA, jak i na zachodzie Europy. Doświadczenie uczy, że wiele spraw jest opartych na pomówieniach.

KTO ZWRÓCI DOBRE IMIĘ OSKARŻONYM KAPŁANOM?

Z całej tej historii płynie ważny wniosek. Biskupi muszą do problemu oskarżeń wobec księży podchodzić z niezwykłą dojrzałością, odpowiedzialnością i ostrożnością. Chęć ulegania politycznej poprawności, wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom mediów, pochopne orzekanie o winie lub jej braku pogarszają sytuację i rozkręcają spiralę kłamstwa. A to prawda jest w tym wszystkim najważniejsza. Jak na wyrok sądu zareaguje płocka kuria? Ilu jeszcze niewinnie oskarżonych księży jest dziś objętych zakazem sprawowania posługi kapłańskiej? Sama znam takich przypadków co najmniej kilka. Oby przypadek ks. Witkowskiego otworzył oczy biskupom i zmobilizował do podjęcia konkretnych, rzetelnych i sprawiedliwych działań. Bo troska o Kościół to także troska o kapłanów, zwłaszcza niewinnych, zaszczutych, odrzuconych i zupełnie bezbronnych wobec machiny manipulacji.

Reklama | 63/1221/F

eprasa.pl efefd978f4

TERAZ
TANKUJ
JESZCZE
TANIEJ!

Rządowa
Tarcza
Antyinflacyjna



Dowiedz się więcej:
www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl efefd978f4



Wielkie wyparcie

Plan był taki, że Donald Tusk w książce „Wybór" w końcu zmierzy się z bagażem przeszłości, który w zasadzie wyeliminował go ze startu w wyścigu do prezydenckiego fotela. Nie jest to jednak uczciwa rozmowa o stawianych mu zarzutach, raczej próba napisania na nowo historii, w których odegrał negatywną rolę



Fot. Jacek Dominski / REPORTER / EastNews

MARCIN WIKŁO

Książka „Wybór" to zapis 12 rozmów byłego polskiego premiera z dziennikarką Anne Applebaum, prywatnie żoną byłego szefa dyplomacji Radosława Sikorskiego. Nie jest to jednak „wywiad rzeka z politykiem", to dyskusja, w której rozmówcy mają takie same prawa. Mają też wspólny, choć niewypowiedziany wprost cel – rozbroić negatywne emocje, które stoją Tuskowi na drodze do odzyskania władzy. To dlatego tak wiele słów poświęconych jest Jarosławowi Kaczyńskiemu, który – w tej opowieści – wyjątkowo często stawiany jest w jednym szeregu z Viktorem Orbánem, Donaldem Trumpem, a nawet – co wydaje się wyjątkowo kuriozalne – Władimirem Putinem.

eprasa.pl efefd978f4



NOWOCZEŚNI I PRZESTARZALI

– Wygramy, zmieciemy tę złą władzę. Nie będzie po niej śladu! – krzyczał Donald Tusk do rozemocjonowanych uczestników manifestacji w obronie telewizji TVN. Nie ma oczywiście nic złego w tym, że lider partii opozycyjnej ma zamiar powalczyć w wyborach i głośno o tym mówi. Z książki dowiadujemy się jednak, że ta chęć jest powodowana czymś więcej niż troską o dobro wspólne. To raczej jego osobista, niezaleczona trauma. „[...] staram się tłumaczyć, że powinniśmy i Orbána, i Kaczyńskiego traktować tak jak Trumpa w Ameryce. Że to sezonowy problem" – mówi Tusk, co w zasadzie utwierdza nas w przekonaniu, że mimo upływu ponad sześciu lat on wciąż nie uznał demokratycznego wyboru Polaków z 2015 r. Nad kilkoma wątkami warto się zatrzymać dłużej, bo to fascynujące i jednocześnie przerażające studium kłamstwa i przypisywania swoich win innym.

Mamy więc w książce powrót do opowieści o demonicznym Kaczyńskim, który bierze na celownik kolejne grupy, by nimi straszyć: „Jeśli chcesz mieć władzę i uzasadnienie dla permanentnego stanu wyjątkowego w polityce, znajdź obcego. Nadaj mu możliwie wiele cech egzotycznych dla większości. Niech stanie się wrogiem" – mówi Tusk. Tym razem ma na myśli imigrantów, bo to temat na czasie, ale czytelnik ma przyswoić, że takie działanie to stała metoda prezesa PiS. Ktoś z krótszą pamięcią być może się nabierze, ale co z tymi, którzy jeszcze dobrze pamiętają wykluczającą najuboższych politykę koalicji PO-PSL? A co do samych słów i piętnowania, czy to nie Donald Tusk jest prekursorem metody przypisywanej dziś Kaczyńskiemu? Kto pamięta o „moherowych beretach", pogardliwym określeniu starszych osób, które zazwyczaj na PO nie głosowały, albo akcji „Zabierz babci dowód"?

Tusk sprzed wyjazdu do Brukseli w 2014 r. to ktoś na siłę podkreślający różnice między sobą a Kaczyńskim. Nowoczesny i europejski, wręcz światowy Donald kontra wycofany, odosobniony i zamknięty w Polsce Jarosław. Aż trudno uwierzyć, że dzisiaj „król Europy" próbuje tego samego chwytu. „Problemem są politycy, którzy boją się przyszłości i nie rozumieją teraźniejszości, co w jakimś sensie emocjonalnie zbliża ich do wielu wyborców. Powrót do przeszłości jest więc zarówno formą społecznej psychoterapii, jak i cyniczną metodą zdobywania głosów" – w ten sposób Tusk tłumaczy sukcesy wyborcze PiS, co Anne Applebaum ocenia jeszcze dosadniej, jako „falę spoglądającego wstecz, nacjonalistycznego populizmu".

Kilka stron dalej, gdy ekscytacja nieco opada, Tusk znów ze spokojem mówi: „My, demokraci w dawnym stylu, jesteśmy w obiektywnie trudniejszej sytuacji. Bo tamta strona chce podtrzymać atmosferę wojny między plemionami. Skoro wyruszają na polityczną wojnę, to po to, żeby zaorać przeciwnika. Żadnych kompromisów. I ich wyborcy to rozumieją". Tyle teorii, a jak jest w praktyce? Wspomniana demonstracja przed siedzibą prezydenta. Donald Tusk domaga się od Andrzeja Dudy zawetowania ustawy medialnej, w razie odmowy grozi konsekwencjami. Przytacza słowa wiersza „Który skrzywdziłeś" Czesława Miłosza o „sznurze i gałęzi pod ciężarem zgiętej", które odbierane są jako życzenie samobójczej śmierci. Demokrata w starym stylu?

CO Z WYBORAMI?

Ciekawe są kulisy powstania książki „Wybór". W nocie edytorskiej czytamy, że rozmowy Anne Applebaum i Donalda Tuska „odbyły się od 1 do 3 oraz 29 sierpnia 2021 roku w Dworze Chobielin", a więc w rezydencji małżeństwa Sikorskich. Ostatnie aktualizacje „zostały wprowadzone do tekstu w połowie listopada 2021 roku". Rzeczywiście, tło rozmów, szczególnie o kwestiach migracyjnych jest dosyć aktualne, ale sednem jest coś innego. Tusk balansuje na linie, gdy przychodzi mu ocenić, czy twarda obrona granicy z Białorusią jest słuszna. Szybko przerzuca się na temat ewentualnych zysków, które władza może mieć z tego kryzysu: „W sumie i Łukaszenka, i Kaczyński mogą mieć w tym interes – pierwszy, aby bez przeszkód do końca spacyfikować Białorusinów, drugi, żeby wygrać, albo odwołać wybory".

Kwestia wyborów wraca zresztą bardzo często: „Dla Orbána czy Kaczyńskiego i ich dworów powstrzymanie odrodzenia opozycji zdolnej do wygrywania jest kwestią życia i śmierci. Stąd rosnąca gotowość do używana coraz twardszych narzędzi". Co prawda Tusk dodaje, że do tej pory mieliśmy w Warszawie „wybory nie do końca fair – chociażby ze względu na propagandową działalność telewizji publicznej", ale „coraz więcej wskazuje na to, że jeżeli to nie wystarczy, wybory mogą być fałszowane".

Tusk swoich myśli nie doprecyzowuje. Ale zawieszone w powietrzu ogólniki mają działać na wyobraźnię: „Oni muszą rządzić dożywotnio, bo rządzenie zmieniło się w metodę zapewnienia sobie bezkarności, w sztukę przetrwania. [...] Proporcjonalnie do ilości zła, które czynią,

eprasa.pl efefd978f4

rośnie też determinacja, by nie oddać władzy". Czy takie zaklęcia sprawią, że zapomnimy o przekrętach zorganizowanej grupy przestępczej kierowanej przez wychowanka Tuska Sławomira Nowaka albo byłym prezesie Orlenu Jacku K., który odpalał dolę politykom rządzącej koalicji PO-PSL, by utrzymać się na intratnym stołku? Czy łapówkowy układ stworzony przez byłą legendę dolnośląskiej Solidarności Józefa P. to już tak dawna przeszłość, że nie warto o tym mówić? Jeśli zaś chodzi o fałszerstwa przy urnach, to w ostatnich latach najwięcej wątpliwości było podczas wyborów samorządowych w 2014 r., ostatnich, które zakończyły się zwycięstwem Platformy. Anne Applebaum w „Newsweeku" o książce „Wybór": „Kaczyński jest paranoicznym wodzem, który widzi wokół siebie albo przyjaciół, albo wrogów. […] Oczywiście, że wybory mogą być sfałszowane. […] Bardzo dużo ludzi twierdzi, że otwarte fałszowanie wyników jest niemożliwe, że PiS nie jest w stanie tego zrobić. Ale są na to różne sposoby. Wybory na pewno nie będą fair".

KTO JEST TEMU WINIEN?

Książka Applebaum i Tuska tak bardzo odwraca wektory, że momentami trudno to znieść. Jest tak bezczelna, że trzeba niektóre fragmenty przeczytać ponownie, by się upewnić, że autorzy właśnie tak formułują myśli. Tak jest z rozmową o tragedii smoleńskiej, dla której punktem wyjścia jest wspólna fotografia premierów Polski i Rosji na sopockim molo z 1 września 2009 r. Tusk podskórnie czuje, że paktowanie z Kremlem to jest historia, która bardzo na nim ciąży. Ale nie próbuje się w żaden sposób ukorzyć, wręcz przeciwnie, atakuje i oskarża.

Mówi o czasie tuż po katastrofie, o tym, jak dowiedział się o niej od Radosława Sikorskiego. Tusk dochodzi widocznie do wniosku, że skoro jest okazja, by opowiedzieć to wszystko jeszcze raz, od nowa, to można parę elementów dodać, z korzyścią dla siebie. Dowiadujemy się o jakichś konsultacjach z prawnikami, choć jest jasne, że takich nie było, że w pierwszym sztabie uczestniczyli tylko najbliżsi współpracownicy i PR-owcy. Właśnie brak prawników spowodował, że de facto oddaliśmy dochodzenie Rosjanom na mocy konwencji chicagowskiej. A jednak Tusk brnie w skrajnie inną opowieść: „To kolejne kłamstwo smoleńskie! Każdy, kto sugeruje, że istniała szansa, by negocjować tę kwestię, działać na podstawie jakichś innych umów, po prostu nie wie, o czym mówi! Każda próba innego rozwiązania oznaczałaby najzwyczajniej w świecie oddanie Rosji pełnej inicjatywy w śledztwie".

> Mamy więc w książce powrót do opowieści o demonicznym Kaczyńskim, który bierze na celownik kolejne grupy, by nimi straszyć: „Jeśli chcesz mieć władzę i uzasadnienie dla permanentnego stanu wyjątkowego w polityce, znajdź obcego. Nadaj mu możliwie wiele cech egzotycznych dla większości. Niech stanie się wrogiem" – mówi Tusk

Ręce opadają, a jednak to wciąż niewiele w porównaniu z kolejną analizą Tuska, w której zastanawia się on, dlaczego tak szybko Polacy dali się uwieść „kłamstwu smoleńskiemu" – znów nie ma doprecyzowania. Szokujące są za to słowa Tuska: „[…] istotna była już czysto polityczna kalkulacja Jarosława Kaczyńskiego i jego otoczenia. […] Nie wykluczam, że motywem tych działań była po prostu samoobrona i mniej lub bardziej uzasadnione poczucie współodpowiedzialności za tę tragedię. […] ewidentny był lęk Jarosława Kaczyńskiego, że powstanie dosyć zresztą oczywista interpretacja, w której to on ponosi odpowiedzialność za katastrofę".

JAKI JEST WYBÓR?

„Wrogowie Polski nie mogli wymarzyć sobie lepszego scenariusza. Atakowanie własnego rządu w chwili najgłębszego kryzysu, atakowanie niezwykle brutalne i nieuzasadnione było zdradą interesu narodowego" – oto słowa Donalda Tuska. Były premier w ten sposób żali się na opozycję, która w kwietniu 2010 r. domagała się niezależnego polskiego dochodzenia ws. katastrofy smoleńskiej, takiego, które pracowałoby zgodnie z prawidłami sztuki i nie wykluczało żadnych teorii, nawet tych budzących najwięcej kontrowersji. Dziś dowiadujemy się, że to był atak na rząd o sile – warto te słowa powtórzyć – „zdrady interesu narodowego".

To mocne słowa. Zastanówmy się, czy nie adekwatne do obecnej sytuacji, o której też jest w książce mowa. Ciekawe, jak Tusk nazwałby wpisywanie się polityków swojej partii w propagandę reżimu Łukaszenki, który używając migrantów, prowadzi ciągły i zmasowany atak na polską granicę? Czy to nie jest „najgłębszy kryzys"? Czy występów posłów Sterczewskiego czy Jachiry nie nazwalibyśmy „brutalnym i nieuzasadnionym" atakowaniem poczynań rządu polskiego? Niestety, takich refleksji w książce „Wybór" się nie doczekaliśmy.

Widocznie to nieistotne, a przecież Tusk i Applebaum rozmawiają tylko – jak zachęca nas okładka – „o najważniejszych wyborach, przed jakimi stoją Polska, Europa i świat". Także tych nadchodzących, o których w zasadzie ta książka jest. Donald Tusk: „Konkurencja jest bezwzględna, więc wciąż trzeba przekraczać granice. […] To dziś norma, że jeśli chcesz wygrać wybory, twój lider musi być zauważalny. Bez względu na swoje kwalifikacje intelektualne i moralne powinien od czasu do czasu robić z siebie błazna".

„To jest książka, która uczy myślenia o współczesnym świecie. Pokazuje, na czym polega polityka wartości i wartość polityki" – to fragment recenzji, która ukazała się w „Gazecie Wyborczej". Jej autorem jest Adam Michnik.

eprasa.pl efefd978f4



s.64
Jak Aleksander Nalaskowski trafił w 1981 r. w kamasze

s.54
Kondycja psychiczna Polaków w trzecim roku pandemii

s.62
Jan Englert nie tylko o sobie

s.72
Kto ukradł i zniszczył polskie insygnia królewskie?



Nowy portret Polaków we wnętrzu

Wkraczamy w trzeci rok pandemii, nie mając pojęcia, co przyniesie przyszłość. Nawet specjaliści od psychiki nie wiedzą, czy pandemia odciśnie na nas trwałe piętno



MAJA NARBUTT

Gorzej sypiamy, odczuwamy niepokój, koncentrujemy się na sytuacji, w której się znaleźliśmy, a nawet pogrążamy w depresji. Obawiamy się o pracę i kreślimy czarne scenariusze. Albo wręcz przeciwnie – wykazujemy nadmierny i nierealistyczny optymizm, a tzw. pozytywne myślenie może nas zgubić, bo zapomnimy o ostrożności.

– Poczucie własnej śmiertelności, strach przed śmiercią były w naszej kulturze tematem tabu, spychanym na margines. Teraz musimy się z tym skonfrontować i nierzadko stąd biorą się nasze problemy. Polacy boją się o swoje życie i zdrowie, ale znacznie bardziej o życie i zdrowie bliskich, tak wynika z moich badań – mówi dr hab. Małgorzata Dragan z Wydziału Psychologii UW.

Prowadziła badania nad zdrowiem psychicznym w czasie pandemii. Jak podkreśla, trudno prognozować, jakie trwałe skutki psychologiczne przyniesie. Przypominałoby to wróżenie z fusów. Zbyt wiele jest niewiadomych, nie wiemy nawet, ile fal pandemii jeszcze przed nami.

Jest jeszcze jedna niepokojąca obserwacja, którą znają psycholodzy. – Zaburzenia adaptacyjne, czyli reakcja człowieka, najczęściej o charakterze lękowo-depresyjnym na sytuację, która jest dla niego trudna i wręcz ponad siły, nie znikają cudownie i automatycznie, gdy ta sytuacja zmienia się na lepsze. W psychice pozostaje pewien ślad. Przykładowo, jeśli ktoś przeszedł epizod depresji, to w przyszłości będzie bardziej podatny na jej nawrót – mówi dr hab. Paweł Holas z Wydziału Psychologii UW.

Prowadzone są niezliczone badania, w samej Polsce to kilkadziesiąt projektów badawczych związanych ze zdrowiem psychicznym w czasie pandemii. Wszystkie objawy zostały opisane i skrupulatnie umieszczone w odpowiednich rubryczkach. Nie ma jednak – bo raczej być nie może – skutecznej recepty, jak poradzić sobie ze stresem. Porady brzmią banalnie – trzeba się skupić na rodzinie, zadbać o rozwój duchowy, zająć swoim hobby lub medytacjami. W ostateczności sięgnąć po antydepresanty.

eprasa.pl efefd978f4



SPÓŹNIONY ŻAL

Podczas pandemii ludzie zaczęli się koncentrować na życiu rodzinnym i zauważać problemy, których wcześniej nie widzieli. Takiej refleksji sprzyjał zwłaszcza czas izolacji. Rutyna została przełamana. Wcześniej wszystko odbywało się w biegu. Często długi dojazd do pracy, potem osiem godzin i męczący powrót do domu. Rutynowe pytanie do dziecka: „Jak było w szkole", i dopiero wieczorem, po wykonaniu wielu domowych czynności, dorośli mieli czas dla siebie.

– Okazało się, że w czasie pandemii niektórzy po raz pierwszy w życiu zaczęli myśleć o rozwodzie. To dla wielu prawdziwa tragedia, nigdy wcześniej nie rozważali takiej możliwości. Z moich badań wynika, że dotyczy to 6 proc. badanych – mówi prof. Zbigniew Izdebski, seksuolog, doradca rodzinny i pedagog, który od kilkudziesięciu lat prowadzi badania nad zdrowiem, relacjami w związkach i życiem seksualnym Polek i Polaków.

Większość przebadanych deklaruje, że w pandemii nic w ich relacjach się nie zmieniło. Jedna piąta zaś, że stały się lepsze.

O tym, że wiele par w czasie pandemii pogłębiło swój związek, mówi wielu psychologów. Uważają, że przyczyniło się do tego wspólne spędzanie czasu – partnerzy więcej z sobą rozmawiali, razem gotowali i wspólnie siadali do posiłków.

Jednak prof. Izdebski uważa, że to zbyt płytkie spojrzenie. – Niektórzy rozejrzeli się wokół, zetknęli z doświadczeniem śmierci. Jeśli umiera ktoś, kto ma czterdzieści kilka lub pięćdziesiąt lat i prowadził spokojne i zdrowe życie, to na innych działa to mrożąco. Uświadamiają sobie, że są sprawy ważne i te mniej istotne. Nie warto, by żona dręczyła męża, bo w garażu stoi nieumyte auto, a mąż za błahe rzeczy miał pretensje do żony – mówi prof. Izdebski.

Czasem jednak ktoś zrozumiał, co jest w życiu naprawdę ważne, zbyt późno. Już tego nie zmieni, niczego nie może naprawić i będzie to dla niego źródłem cierpienia.

– Mężczyzna opowiadał, że jego żona zadawała mu ciągle pytanie: ale czy ty mnie kochasz? Opędzał się, był zirytowany, uważał, że to takie babskie gadanie. Powiedział: panie doktorze, przecież gdybym jej nie kochał, nie bylibyśmy razem. Zmarła w szpitalu na covid i nigdy nie usłyszała słów, na które czekała – opowiada prof. Izdebski.

Zna jeszcze bardziej wstrząsającą historię. Małżeństwo z kręgu dużego biznesu czasem zażarcie się kłóciło. Żona miała pewną taktykę: starała się jak najdotkliwiej zranić męża, wymierzyć mu zabójczy cios. Udało się zbyt dobrze. – Powiedziała mu, że dziecko, które niedługo urodzi, nie jest jego. Nie zdążyła tego sprostować, wyjaśnić, że to nieprawda. Zachorował, dwa dni później już nie żył. Kobieta jest w skrajnej rozpaczy, szuka pociechy w religii, trudno jest jej pomóc – mówi prof. Izdebski.

SAMOTNOŚĆ W KOKONIE

Kiedy słucha się psychologów i terapeutów, którzy opowiadają, jak ludzie reagują na pandemię, uderza, że prawie nic nie jest oczywiste i takie samo dla wszystkich. Dla niektórych zwłaszcza początek pandemii był całkiem pozytywnym doświadczeniem. Mogli odpocząć od pracy w stresującym środowisku, nagle przestała ich chronicznie boleć głowa. Schronili się w domu jak w bezpiecznym kokonie. Ma to jednak drugą stronę – po kilku miesiącach tak się do tego przyzwyczaili, że myśl o powrocie do firmy i świata zaczęła ich przerażać.

Inni do początku źle się czuli w zamknięciu i przykuci do pracy zdalnej. Trudno mówić o komforcie, jeśli tkwi się w niewielkim mieszkaniu z innymi domownikami, dzieli z nimi dostęp do komputera i stale apeluje do dzieci, by były grzeczne.

Jedna rzecz nie budzi wątpliwości – z różnych badań wynika, że najgorzej pandemię znoszą single, a także ci, którzy pozostają w związkach nieformalnych, zwłaszcza jeśli mieszkają osobno.

Niektórzy nagle uświadomili sobie, że są samotni. Do tej pory mogli nie widzieć tego tak jasno – zawsze był ktoś, z kim mogli pójść na obiad podczas przerwy w pracy, pogadać, nawet jeśli kontakty te nie były zbyt głębokie.

– Widzę po pacjentkach, że w czasie pandemii znacznie większą rolę zaczęły odgrywać relacje internetowe. Trafiają do mnie dojrzałe kobiety, które poznały kogoś w sieci. Spędzały dużo czasu na rozmowach, znalazły bratnią duszę. Miłość kwitła, mężczyzna nie mógł się nadziwić, że tak wspaniała kobieta może być sama. Gdy przekazała mu już pieniądze i wzięła kredyt, a on miał wreszcie do niej przyjechać, wszystko się kończyło. Chcę podkreślić, że podobne rzeczy spotykają także mężczyzn, również tych, którzy nawiązywali relacje homoseksualne – opowiada warszawski terapeuta.

To ekstremalna wersja erotycznych kontaktów internetowych. Zwykle nie jest aż tak dramatycznie. Z oczywistych

Fot. Christine8/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4



względów coraz większą rolę odgrywają serwisy randkowe. Niektóre udostępniły funkcję randek online'owych.

Są osoby, które długo nie mogą się zdecydować na spotkanie w realu, uważając, że nie warto ryzykować zdrowia dla osoby, której właściwie nie znają. Inni nie wahali się ani chwili nawet w warunkach twardego lockdownu, gotowi złamać wszystkie zasady dla jednorazowej, niezobowiązującej przygody.

BUTELKA POD STOŁEM

Do wybuchu pandemii niektórzy mieli hamulce. Wiedzieli, że nie mogą pozwolić sobie na niektóre rzeczy, bo zobaczą to inni. Praca zdalna wszystko zmieniła.

– Nie kupują już „małpek", ale duże butelki alkoholu. Na biurku czy stole stoi laptop, a pod stołem – butelka. Mogą z niej stale pociągać. Mówią, że wreszcie mogą pić na luzie i przestać się krępować. Nie muszą się stawić we względnie dobrej formie rano w pracy, spokojnie mogą walnąć sobie klina – opowiada psychiatra dr Bohdan Woronowicz, który od wielu lat zajmuje się leczeniem alkoholizmu.

Jeśli ktoś przed pandemią miał problem z alkoholem, to teraz ma zdecydowanie większy. A jeśli komuś mogło się wydawać, że takiego problemu jeszcze nie ma i zachowuje chwiejną równowagę między życiem w trzeźwości a nadużywaniem alkoholu, to powoli dociera do niego, że to już nieprawda.

Statystyki mogą fałszywie uspokajać – co z tego, że młodzież wypiła mniej piwa, bo puby były długo zamknięte, skoro inni piją znacznie więcej. Nie ma już picia społecznego, wina do kolacji w gronie znajomych, wspólnych drinków w barze, ale jest picie samotne, w czterech ścianach.

Pandemia oznacza też rozkwit rynku handlu narkotykami. – Dilerzy zareagowali błyskawicznie, uruchomili nowe kanały dystrybucji. Narkotyki można zamówić online. W dodatku dilerką zajęli się też drobni przedsiębiorcy, którzy do tej pory nie mieli z tym nic wspólnego – mówi Robert Rutkowski, terapeuta uzależnień.

> Polacy boją się o swoje życie i zdrowie, ale znacznie bardziej o życie i zdrowie bliskich, tak wynika z moich badań – mówi dr hab. Małgorzata Dragan z Wydziału Psychologii UW

Niektórzy restauratorzy i taksówkarze, którzy stracili finansowo na pandemii, uznali, że znaleźli łatwy sposób zarobku. Skoro w gorszym miesiącu mogą w ten sposób zarobić 20 tys., a w dobrym nawet 50 tys., odstawili na bok skrupuły.

Nikt na razie jednak nie wie, czy skoro zwiększyła się dostępność, urosła też liczba osób uzależnionych od narkotyków. – Takie osoby pojawią się w systemie dopiero w następnym roku, a może nawet za dwa lata – podkreśla Rutkowski.

W gabinetach terapeutów uzależnień pacjenci mówią te same rzeczy co inni. Odczuwają niepokój o zdrowie swoje i najbliższych, lęk przed utratą pracy. I oczywiście czują strach przed śmiercią. Jak twierdzi Robert Rutkowski, największy poziom lęku odczuwają osoby, które obsesyjnie przeszukują internet, zagłębiając się w rozmaite teorie i fake newsy dotyczące COVID-19. Ma dla nich jedną radę, w sumie uniwersalną – ograniczyć korzystanie z internetu, nie wchodzić na dziwne strony.

Jest jednak pewna kategoria osób, która nawet na moment nie może zapomnieć o pandemii, i bardzo trudno im pomóc.

TRUMNA OKLEJONA TAŚMĄ

Czują przerażenie i gniew. Mijają miesiące, a oni nie potrafią się z tym uporać. Bliscy ludzi, którzy zmarli na COVID-19, przeżywają żałobę w sposób szczególny.

– Jest tak, jakby zdarzyło się to wczoraj, choć niektórzy stracili kogoś w pierwszej fali pandemii. Karetka zabrała go z domu i już nigdy go nie zobaczyli. A potem była trumna oklejona taśmą klejącą i pięć osób, które mogły być na pogrzebie – mówi psycholog Maria Sula-Morys, która prowadzi grupę wsparcia dla osób, które straciły w pandemii bliską osobę.

Niektórym przypomina to wojnę – ich bliski zniknął w jednej chwili. Kiedy trafił do szpitala, kontakt się urwał. Tak było zwłaszcza w pierwszych falach pandemii, niekiedy nie mogli się nawet dowiedzieć, do jakiego szpitala go zawieziono. Aż w końcu docierała do nich tragiczna wiadomość.

– Niemożność pożegnania się jest straszna. Nie ma ostatnich słów, żadnego wspomnienia. Teraz w szpitalach trochę się zmieniło. Pielęgniarka,

eprasa.pl efefd978f4



a czasem psycholog lub ksiądz starają się, by chory miał możliwość ostatniego kontaktu z rodziną przez Skype'a lub telefon. Zwykle to kilka urwanych słów, że jest źle i chyba się już nie zobaczą – mówi Maria Sula-Morys.

Żałoba zwykle zaczyna się od szoku i przechodzi przez kolejne etapy. Jednak tak niezwykłe okoliczności śmierci sprawiają, że nic nie dzieje się jak zwykle. Część osób, które spotykają się w grupie wsparcia prowadzonej przez Poradnię Bioetyczną przy Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II w Krakowie, może nigdy nie dozna ukojenia. Zostanie z poczuciem absurdu i gniewem. Nie tylko na los, lecz także na ludzi, którzy sami nie otarli się o tragedię i nie chcą pewnych rzeczy zrozumieć.

– Pacjentka wsiadała do autobusu, zobaczyła, że sporo ludzi jest bez maseczki. Wysiadła na następnym przystanku, by nie zrobić sceny. Nie chciała zacząć krzyczeć, że narażają innych na śmierć. Ale dla niej i innych osób, których bliscy zmarli na covid, tacy ludzie są mordercami – opowiada psycholog.

W głębokiej traumie pozostają też ci, którzy sami otarli się o śmierć. Wielu z nich ma takie samo wspomnienie – kiedy mieli być wprowadzeni w śpiączkę farmakologiczną, zadali pytanie: „Co będzie potem?". Usłyszeli, że albo się wybudzą, albo nie.

Wybudzili się, wyszli ze szpitala, ale zmagają się z zespołem stresu pourazowego. Być może na stałe stracili poczucie bezpieczeństwa, niektórzy mają myśli samobójcze.

INSTYNKT PRZETRWANIA

Na początku pandemii liczba samobójstw spadła. Nie zaskoczyło to specjalistów. Mogli to wręcz z góry przewidzieć. Pandemia jest przecież stanem nadzwyczajnym, porównywanym przez niektórych do wojny. A w czasie wojny mniej niż zwykle ludzi chce odebrać sobie życie, włącza się instynkt przetrwania.

– Dochodzą wtedy do głosu zupełnie inne priorytety. Pojawia się poczucie wspólnoty, zrozumienie, że inni też cierpią. Własne problemy mogą zejść na dalszy plan – mówi dr Halszka Witkowska z Polskiego Towarzystwa Suicydologicznego.

Osoba, którą chce popełnić samobójstwo, często myśli, że jej życie jest wyjątkowo nieudane, podczas gdy inni nie mają większych problemów. Gdy pojawił się COVID-19, nagle się okazało, że wszyscy jadą na jednym wózku – boją się o zdrowie swoje i bliskich, mogą doświadczać izolacji i samotności, stracić pracę, a ich przyszłość wcale nie jest pewna.

Jednak w drugim roku pandemii najwyraźniej to poczucie wspólnoty zmalało. Liczba samobójstw zaczęła rosnąć, choć nie w sposób drastyczny.

– Najbardziej obawiać się można tego, co się stanie, gdy pandemia się skończy. Pewne problemy przecież nie znikną, lecz się nasilą. Chociażby te ekonomiczne: niektórzy się wzbogacili na pandemii, ale mnóstwo osób zbiedniało, a takie różnice zawsze rodzą napięcia – uważa dr Witkowska.

Wprawdzie pandemia nie zwiększyła liczby samobójstw, ale sprawiła, że więcej osób podejmuje próby samobójcze. Dotyczy to przede wszystkim nastolatków. Jeszcze bardziej niż zwykle zanurzyli się w internecie i wirtualnej rzeczywistości. Powrót z nauczania zdalnego do realnego świata, szkoły i grupy rówieśniczej bywa bolesny. Trzeba skonfrontować własne wyobrażenie o sobie z tym, jak odbierają nas inni. Nadwątlone poczucie własnej wartości sprawia, że niektórzy nie wytrzymują.

Wiele prób nigdy nie zostaje odnotowanych w policyjnych statystykach, bo nigdy nie zostają zgłoszone. O części z nich nie dowie się nawet najbliższe otoczenie.

SZMINKA I DUCHOWOŚĆ

Kiedy zaczynała się pandemia, uznano, że wreszcie wyzwolimy się z konsumpcyjnego stylu życia i skupimy na innych wartościach. Psycholodzy twierdzili, że ludzie nagle zrozumieli, że niepotrzebne jest im tyle rzeczy, i teraz przestaną je kupować. A jeśli nie będą wydawać pieniędzy na ciągle nowe gadżety i zagraniczne wyjazdy, to dotrze do nich, że nie muszą tyle zarabiać i mogą pracować mniej. I ponure doświadczenie pandemii przekujemy w końcu na coś pozytywnego.

W pierwszej fali pandemii, gdy obowiązywał twardy lockdown, zapędy konsumpcyjne rzeczywiście zmalały. Jednak bardzo szybko zakupy przeniosły się do internetu. A gdy tylko znów można było podróżować, ci, których było na to stać, ruszyli na egzotyczne wojaże, z satysfakcją zamieszczając potem zdjęcia na portalach społecznościowych.

Antykonsumpcyjna rewolucja raczej nie nastąpiła. Na podstawie marketingowych badań można stwierdzić tylko jedno – zmniejszyła się sprzedaż szminek, z oczywistych względów. Nie ma sensu malować ust, które zakrywa maseczka.

eprasa.pl efefd978f4

Nie ulegamy presji, trzymamy głowę wysoko

Chcę podkreślić, że stoimy po stronie Polski. Granice między narodowymi konstytucjami a prawem UE są ściśle określone w traktatach i nie mogą być arbitralnie naruszane. Unijne instytucje muszą zrozumieć, że po prostu nie mogą ograniczać suwerenności narodowej

Jacek Karnowski rozmawia z Judit Vargą, węgierską minister sprawiedliwości, polityk Fideszu

W kwietniu przyszłego roku węgierska partia rządząca, czyli Fidesz, zawalczy o trzecią kadencję u władzy. Tym razem jednak partia premiera Viktora Orbána zmierzy się nie z wieloma partiami, lecz ze zjednoczoną opozycją i z jednym, wybranym w prawyborach, kandydatem opozycji na premiera. Na ile te nowe warunki utrudniają walkę o zwycięstwo? Obraz wyłaniający się z badań poparcia dla partii jest złożony, niejasny.

Judit Varga: Sondaże bardzo się różnią między sobą; ile ośrodków sondażowych, tyle wyników. To sprawia, że jestem ostrożna w kwestii kreślenia konkluzji na podstawie badań opinii publicznej. Nie ulega jednak wątpliwości, że może nas czekać jedna z najbardziej agresywnych kampanii wyborczych w najnowszej historii Węgier. Partie postkomunistyczne zawarły polityczny sojusz z ruchem antysemickim, potwierdzając w ten sposób, że chcą skorzystać z każdej sposobności i z każdego narzędzia, które może posłużyć atakowaniu rządu. Takie działania wydają się nam często głupie i nieskuteczne, ale musimy traktować je poważnie, ponieważ stawka jest wysoka. Głosowanie rozstrzygnie, czy wyborcy są w stanie obronić osiągnięcia rządu. Rozstrzygnie także o tym, czy rząd nadal będzie reprezentował ich interesy w Europie.

W pani ocenie, jakie są źródła politycznego sukcesu Fideszu? Nawet jeśli sytuacja przed przyszłorocznymi wyborami jest w jakimś stopniu niepewna, to jednak partia premiera Orbána potwierdziła, że jest w stanie zaproponować i realizować politykę inną niż to, co oferuje tzw. główny nurt europejski. Zdołała też przetrwać i nie ulec w obliczu potężnych presji zewnątrznych.

Cóż, to jest właśnie ten „jawny sekret": nie ulegamy presji ze strony brukselskiej bańki, ale stawiamy opór, ponieważ naprawdę wierzymy, że prawda jest po naszej stronie. Doskonałym przykładem jest sposób, w jaki zarządzaliśmy presją migracyjną. Gdy w 2015 r. zdecydowaliśmy o budowie płotu na naszej południowej granicy, Europa Zachodnia nie ustawała w krytyce tego, co robimy. Minęło parę lat i również nasi polscy przyjaciele muszą się mierzyć z nielegalną migracją. Tym razem jednak głosy krytyczne całkowicie zniknęły. Co więcej, eurokraci zaczęli popierać budowę zapory na wschodniej granicy Polski. Tak więc, wracając do pańskiego pytania, uważam, że długie rządy Fideszu to nie tylko sukces naszej partii, lecz także wynik trzeźwego sposobu myślenia Węgrów, którzy mieli już dość poprzednich, socjalistyczno-liberalnych rządów i ich polityki sprowadzającej się do hasła „odważmy się być małymi". My, wspólnie z milionami ludzi, zdecydowaliśmy, że sięgamy do naszych tysiącletnich korzeni, że chcemy zachować nasze chrześcijańskie wartości i dziedzictwo. To jest moralne zobowiązanie, którego lewicowi liberałowie nie chcą zrozumieć.

Jaki będzie finał obecnych napięć i konfliktów między Polską i Węgrami z jednej strony, a instytucjami Unii Europejskiej z drugiej? Czy możliwe jest znalezienie kompromisu, który pozwoli obu stronom osiągnąć swoje cele, bez naruszania suwerenności obu państw?

Naturalnie pozostajemy otwarci na dialog oparty na wzajemnym szacunku. Nie mamy jednak złudzeń, bo to już oczywiste, że Bruksela chce się pozbyć naszego konserwatywnego rządu. By to osiągnąć, używają wszelkich możliwych środków, które mają nas zdyskredytować, zwiększając jednocześnie polityczną presję. Jest natomiast jasne, że takie przeciąganie liny, dawanie i zabieranie, nie może ciągnąć się w nieskończoność. Jeżeli chrześcijańsko-demokratyczna partia Fidesz wygra nadchodzące wybory – potwierdzając w sposób bezdyskusyjny

eprasa.pl efefd978f4



Nie ulega wątpliwości, że może nas czekać jedna z najbardziej agresywnych kampanii wyborczych w najnowszej historii Węgier

Fot. Ministerstwo Sprawiedliwości Węgier

legitymizację swojej władzy ze strony narodu węgierskiego – lewicowo-liberalni eurokraci nie będą mieli innego wyboru niż podjęcie negocjacji. Do tego czasu będziemy zachowywali się cierpliwie, trzymając jednak głowę wysoko, pozostając wierni czytelnym ideom oraz wizji konkurencyjnej Europy, w której chcemy żyć.

Rok temu rządy Polski i Węgier faktycznie zaakceptowały mechanizm warunkowości, odnoszący się do unijnych funduszy. Zgodnie z nim „Komisja Europejska będzie proponowała stosowne i proporcjonalne środki Radzie Europejskiej w przypadku złamania zasad praworządności". Dziś się wydaje, że ten mechanizm zostanie jednak zastosowany, mimo przyjęcia przez KE

eprasa.pl efefd978f4

politycznej deklaracji, która istotnie zawęża jego stosowanie. Czy nie byłoby lepiej, gdyby wówczas, w grudniu 2020 r., oba rządy zawetowały cały budżet?

W grudniu zeszłego roku szefowie naszych państw zawarli kompromis: zgodzili się nie wetować Wieloletnich Ram Finansowych, jeśli Komisja Europejska powstrzyma się od uruchomienia mechanizmu warunkowości do czasu, gdy Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej podejmie decyzję w tej sprawie. My uważamy, że umów się dotrzymuje, że „pacta sunt servanda". Jednocześnie nie mogę zaakceptować, że niektórzy politycy i niektóre instytucje chcą zerwać to porozumienie i dążą do uruchomienia mechanizmu warunkowości bez względu na decyzję TSUE, której jeszcze formalnie nie ma. Parlament Europejski chce nawet pozwać Komisję do TSUE – za to, że szanuje zawarte porozumienie. Wszyscy, którzy prą w tę stronę, nie zdają sobie sprawy, że ich działanie jest całkowicie nieskuteczne i skutkuje jedynie wbijaniem klina pomiędzy instytucje Unii. Europejczycy to wszystko widzą. Jedynym skutkiem działania europosłów będzie podważenie zaufania obywateli do instytucji. Podcinają gałąź, na której siedzą, i trudno to uznać za zachowanie profesjonalne.

Co się stanie, jeżeli Komisja nie zaakceptuje węgierskiego Planu Odbudowy? I jakie będą skutki, jeżeli Unia pójdzie jeszcze dalej, tzn. częściowo albo w całości zablokuje główne unijne fundusze dla Budapesztu?

Wierzymy, że Komisja Europejska nie ulegnie presji ze strony Parlamentu Europejskiego i że pomimo politycznych ataków na Węgry za przyjęcie Ustawy o ochronie dzieci [która wprowadza rozwiązania chroniące dzieci przed pedofilią, pornografią oraz promocją homoseksualizmu i transgenderyzmu – przyp. red.] negocjacje zostaną wkrótce zakończone. Pieniądze z unijnego funduszu odbudowy nie są jałmużną. Naród węgierski ma prawo do skorzystania z 7,2 mln euro z pieniędzy, które zostały wspólnie pożyczone. Prawo unijne jest w tej sprawie jasne: Komisja Europejska musi dać Węgrom pieniądze, ponieważ węgierski Plan Odbudowy wypełnia unijne wymagania i nie ma żadnych technicznych przeszkód, by został przyjęty. Naród węgierski ciężko zapracował na te pieniądze. To po prostu kolejne ideologiczne polowanie na czarownice, które prowadzą po to, by ukarać Węgry. Ukarać za to, że chcemy chronić naszych dzieci i zapewnić rodzicom wyłączne prawo do decydowania o tym, jak chcą wychować swoje potomstwo. Warto podkreślić, że mimo tych problemów nasza gospodarka jest stabilna. Wzrost gospodarczy może przekroczyć 6 proc. nawet wówczas, jeśli nie otrzymamy ani jednego eurocenta z UE przed końcem roku. Bezrobocie jest niskie, a emeryci otrzymają w lutym 13. emeryturę, którą notabene zabrały im partie lewicowe. Młodzi ludzie poniżej 25. roku życia od stycznia będą zwolnieni z płacenia podatku dochodowego, a rodziny z dziećmi dostaną zwrot podatku zapłaconego w 2021 r. Mamy więc środki, by uruchomić zaplanowane projekty, lewicowo-liberalna histeria w tej sprawie nie ma podstaw.

> To już oczywiste, że Bruksela chce się pozbyć naszego konserwatywnego rządu. By to osiągnąć, używa wszelkich możliwych środków, które mają nas zdyskredytować, zwiększając jednocześnie polityczną presję

Węgierski Trybunał Konstytucyjny wydał niedawno werdykt, zgodnie z którym węgierskie prawo migracyjne ma pierwszeństwo przed prawem unijnym. Rzecznik rządu podkreślił jednak później, że ta decyzja „dotyczy wyłącznie migracji". Wygląda na to, że węgierski Trybunał zatrzymał się w pół kroku i nie poszedł w ślady polskiego TK.

Zgodnie z werdyktem naszego Trybunału, jeśli regulacje odnoszące się do sfer znajdujących się w gestii i państwa członkowskiego, i Unii są niepełne, Węgry mają prawo do wykonywania niezastrzeżonych kompetencji UE – do momentu gdy instytucje unijne podejmą niezbędne działania. Kwestia, przed którą stanęli sędziowie, skupia się na migracji. Decyzja jest czytelna i podkreśla, że system prawny stworzony w spokojnych czasach niekoniecznie odpowiada wyzwaniom rzeczywistości. Wskazuje ona także na potrzebę takiego przebudowania systemu prawnego Unii, by odpowiadał wyzwaniom związanym z migracjami. To powiedziawszy, chcę podkreślić, że stoimy po stronie Polski. Granice między narodowymi konstytucjami a prawem Unii są ściśle określone w traktatach i nie mogą być arbitralnie naruszane. Unijne instytucje muszą zrozumieć, że po prostu nie mogą ograniczać suwerenności narodowej.

Czy zgadza się pani z opinią, że tzw. tarcza konstytucyjna to najlepszy sposób obrony narodowych systemów prawnych, zagrożonych przez agresywne działania instytucji unijnych?

Konstytucje poszczególnych państw są najświętszymi symbolami suwerenności każdego z krajów, a obowiązkiem sądów konstytucyjnych jest ochrona suwerenności. Problem polega na tym, że prawo europejskie ewoluuje w stronę przeciwną do tego, co zapisano w traktatach. Gdy Polska i Węgry weszły do Unii Europejskiej w 2004 r., przyjęły ramy traktatowe z uważnie określonymi kompetencjami. Było jasne, jakie są uprawnienia Unii Europejskiej i unijnych sądów, a jakie pozostają w gestii

eprasa.pl efefd978f4

państw członkowskich. Od tego czasu niestety widzimy proces stałego poszerzania kompetencji organów Unii. Nigdy dość podkreślania, że zasada prymatu prawa UE może mieć miejsce tylko w obszarach, w których państwa członkowskie dzielą swoje uprawnienia z Unią (a więc np. w sferze rynku wewnętrznego, środowiska, prawa konkurencji). To jest zasada, którą potwierdził także niemiecki Trybunał Konstytucyjny.

Węgierski rząd otwarcie broni tradycyjnych wartości chrześcijańskich, wartości europejskich. Robi to w sposób śmiały i odważny, zyskując uznanie wielu środowisk. Czy ta polityka realnie wzmacnia jednak konserwatywną bazę w waszym kraju? Mam na myśli kondycję rodziny, wskaźnik dzietności, przywiązanie obywateli do tradycyjnych wartości, uczestnictwo w praktykach religijnych?

Wierzę, że tak właśnie jest. W naszym regionie Europy wielu polityków opiera swoją politykę na narodowym konserwatyzmie i często jest to polityka pełna sukcesów, ale najważniejsze są fakty, one mówią za siebie. Nasza polityka społeczna, stawiająca w centrum rodzinę, doprowadziła w ciągu dziesięciu lat do wyraźnego odwrócenia trendów demograficznych w dobrym kierunku. Sądzimy, że rozwiązaniem naszych problemów demograficznych nie jest zapraszanie migrantów z innych kręgów kulturowych do Europy, ale udzielanie pomocy naszej młodzieży. Takie wskaźniki, jak liczba urodzin, aborcji, śmiertelność niemowląt, liczba zawieranych małżeństw i liczba rozwodów, zmierzają w dobrą stronę. Liczba szkół kościelnych oraz liczba uczniów do nich uczęszczających uległy podwojeniu w ciągu ostatniej dekady. Stale wspieramy projekty służące umocnieniu węgierskiej tożsamości. Na kryzysy naszych czasów udzielamy innej odpowiedzi niż większość krajów, co z kolei pozwoliło na rozwój politycznych struktur chrześcijańskiej demokracji i na umocnienie chrześcijańskiego, demokratycznego państwa.

W tle jest szersze pytanie: czy konserwatyści mogą wygrywać wojny kulturowe? Na pewno są w stanie wygrywać pojedyncze bitwy, ale czy mogą odwrócić generalne trendy kulturowe i społeczne? Procesy, które obserwujemy, nie napawają optymizmem.

Rzeczywiście, czasem po prostu nie pojmuję, w którą stronę zmierza nasz świat. Tu, w Europie Środkowej, jesteśmy jednak przyzwyczajeni do walki o naszą wolność i o prawdę. Widzimy, że czekają nas kolejne wojny kulturowe. Marksizm próbuje wrócić w nowej formie, w przebraniu politycznej poprawności, szaleństwa genderyzmu oraz ideologii „woke" [formalnie świadomość społeczna i wrażliwość na niesprawiedliwość, oznaczająca w praktyce unieważnianie wszystkiego, co nie odpowiada radykalnej lewicy – przyp. red.]. Tym razem marksizm nie atakuje ze Wschodu, lecz z Zachodu. Mimo to nadal myślimy trzeźwo, nadal jesteśmy prawdziwie przywiązani do naszych wartości, nadal odpieramy ataki zachodnich ideologii, niczym ostatnie bastiony chrześcijańsko-konserwatywnych wartości. Pozwoli pan jednak, że są i sygnały, które budzą nadzieję: Komisja Europejska wycofała swoje skandaliczne zalecenia, w których, m.in. proponowała, by zastąpić Boże Narodzenie „okresem świątecznym". Absurd, który przekracza wszelkie granice.

Czasem po prostu nie pojmuję, w którą stronę zmierza nasz świat. Tu, w Europie Środkowej, jesteśmy jednak przyzwyczajeni do walki o naszą wolność i o prawdę. Widzimy, że czekają nas kolejne wojny kulturowe

Dlaczego to właśnie Polska i Węgry w pewnym sensie zbuntowały się przeciwko dominującym w Europie trendom politycznym i kulturowym? Czy wynika to z naszej historii, ze specyfiki naszych szczególnych doświadczeń?

Jeśli spojrzymy na naszą historię, zobaczymy wiele podobieństw między naszymi krajami, wiele wspólnych doświadczeń. Pamięć o komunistycznej opresji jest wciąż żywa, wciąż obecna w umysłach ludzi. Nasze kraje bardzo wiele wycierpiały w wyniku sowieckiej okupacji, w czasie komunistycznej dyktatury. Dyktatorzy ze Wschodu i z Zachodu, którzy chcieli zdominować Europę Środkową, zawsze musieli się mierzyć z silnymi więzami łączącymi narody polski i węgierski. Zawsze stawaliśmy obok siebie, ponieważ walczyliśmy o ten sam, najświętszy skarb: o wolność.

Rozmawiamy w okresie świątecznym, w którym cieszymy się Bożym Narodzeniem i nowym rokiem. Które tradycje związane z tym okresem lubi pani najbardziej?

Najmilej wspominam chwile związane z Wigilią. Mam w głowie sceny, których nigdy nie zapomnę. Gdy byłam małą dziewczynką, najpierw dzwonił mały dzwonek. Później wchodziliśmy do pokoju i naszym oczom ukazywała się przystrojona choinka. Każdego roku staramy się sprawić, by nasze dzieci doświadczały podobnych, cudownych przeżyć. Ukrywamy choinkę w piwnicy i dekorujemy ją wówczas, gdy dzieci, wraz z dziadkami, uczestniczą w świątecznym korowodzie. Wracają z kościoła, gdy jest już ciemno. Dom jest wówczas przystrojony lampkami, dzwoni dzwonek, a chłopcy biegną do bożonarodzeniowego drzewka. Śpiewamy wówczas kolędę „Cicha noc". To są te magiczne, cudowne chwile, które rodzic zapamiętuje na zawsze.

eprasa.pl efefd978f4

Od romantyka do pozytywisty



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Mówi, że jest złożony z wielu Englertów. Cynicznych, romantycznych, niegodziwych, szlachetnych, niezdolnych i zdolnych. – Żaden człowiek nie jest uszyty z jednego materiału – podkreśla Jan Englert w książce „Bez oklasków”

Etykietowanie siebie jest mi niepotrzebne – deklaruje. Mimo to, a może też właśnie dlatego zdecydował się na taki krok. Do wydawnictw, które na jego temat tworzyli inni – interpretując role, działania i wypowiedzi – dołączył zapis rozmów, jakie przeprowadziła z nim dziennikarka Kamila Drecka. Na 350 stronach znalazło się też miejsce na własne teksty Jana Englerta.

Znajdziemy w książce szeroki wachlarz zdarzeń, opinii i refleksji. Czasem powtarzające się wątki i kwestie ujmowane są z różnej czasowej perspektywy, bo „Bez oklasków” to nie wywiad rzeka, lecz połączone w jeden tytuł, różnej obszerności i intensywności strumienie rozmów. Dopełnione odautorską, literacką narracją, w której pojawia się alter ego współczesnego Englerta. Ukrywający się pod inicjałem „J.” chłopak i młody mężczyzna z wcześniejszych etapów jego życia.

– Kiedy wracam do przeszłości, nie potrafię o sobie opowiadać w pierwszej osobie – tłumaczy Kamili Dreckiej. – Tamto „ja” z czasów dzieciństwa, młodości czy pierwszych lat dorosłości mogę tylko przywoływać i przypominać w trzeciej osobie, przyglądając mu się z dzisiejszej perspektywy. To jest próba zobiektywizowania siebie samego [...]. Potrzebuję spojrzenia z lotu ptaka. Pewnie dlatego, że w moim zawodzie aktorzy, budując rolę, nie myślą ani nie mówią o sobie „ja” – tylko „on”.

Decydując się na rozbudowaną rozmowę, chciał – jak stwierdza – sprostować kilka mitów, które pojawiły się na jego temat od czasu, gdy rozpoczął karierę. Odcedzanie konfabulacji od prawdy nie jest jednak rzeczą łatwą. „Mit to prawda upudrowana, ufarbowana, uwznioślona, ubrana w wieńce laurowe albo w wianki dziewicze” – czytamy w książce. – Jeśli chodzi o innych, to mamy łatwość zdejmowania tych wianków, tych laurek i masek szlachetnych. Większy kłopot jest, jeśli dotyczy to nas – dodaje aktor na żywo.

W PUŁAPCE

Blisko 60 lat na scenie i przed kamerą (w samym Teatrze Telewizji ponad 200 ról, 150 w teatrach stacjonarnych, nie mówiąc o kreacjach filmowych). Do tego doświadczenia z piastowania ważnych funkcji... Wydawałoby się, że wszystko to pozwoliło Janowi Englertowi nie tylko dobrze poznać zarówno aktorską sztukę, jak i własną naturę, nabrać dystansu do rzeczywistości



Jan Englert i Kazimierz Dejmek

Fot. archiwum prywatne

oraz z ironią spojrzeć na siebie sprzed lat, ale też nauczyło go praw funkcjonowania mediów. Nie do końca. Choć premiera książki odbyła się dosłownie chwilę temu, w internecie już pojawiły się elektryzujące wieści na temat aktora.

– Wpadłem w pułapkę – przyznaje Englert.

Plotkarskie media powyjmowały zdania z książki oraz kontekstów i wykorzystały je do tworzenia własnych narracji np. o jego poważnej chorobie czy nieodpowiedzialnych zachowaniach na planie.

Absolutnie nie akceptując takich praktyk, podkreśla, że „ma w sobie głęboką potrzebę odcedzania prawdy od nieprawdy, szlachetności od nieszlachetności”. I zawsze próbuje zaczynać od siebie.

– Zasadniczo wiem, w którym okresie popełniałem błędy czy niegodziwości. Stać mnie na to – stwierdza. Gdzie indziej dodaje: – Jedną z nielicznych moich pozytywnych cech, zwłaszcza od kiedy wydoroślałem, jest umiejętność przyznania się do błędów, potrafię je znaleźć w swoim życiorysie.

WIELKIE OTWARCIE

Miał 13 lat, gdy trafił na plan „Kanału”. – Przede wszystkim ziściły się moje marzenia: dostałem do ręki broń, szedłem kanałami – wspomina.

Jak zapamiętał kontakt z reżyserem? – Nie było żadnego [...] Przy różnych okazjach Wajda opowiadał o mnie, nawet

eprasa.pl efefd978f4

w mojej obecności, jak zauważył mnie jadącego rowerem i palcem wskazał na mnie, oświadczając, że ten się nada. Tymczasem rower kupiłem sobie dopiero za pieniądze zarobione w „Kanale". On mnie w ogóle nie widział, bo tak naprawdę to Janusz Morgenstern wskazał na mnie palcem, po czym wyciągnęli mnie z klasy, zawieźli na ulicę Dolną, zrobili parę ujęć, odwieźli z powrotem do szkoły, a po jakimś czasie zawiadomili, że zostałem zaangażowany do filmu – opowiada w książce.

„Kanał" był dla niego „wielkim otwarciem do uprawiania przyszłego zawodu". Ale dla nastoletniego chłopca to była też szansa „spełnienia się w świecie nierzeczywistym, o którym nasłuchał się w świecie rzeczywistym". Chodziło o tradycję powstania warszawskiego.

Podobnie jak przywoływany w książce „J." utrwalił w swojej biografii, że przyszedł ponownie na świat przy kanałowym włazie w Śródmieściu. Uwierzył w tę historię, skoro jemu, rocznemu dziecku, udało się przetrwać w ramionach matki przejście przez kanały. Urodzone niecały miesiąc przed powstaniem siostry bliźniaczki nie przeżyły sierpnia 1944.

Mówi, że wychowany na Starówce, gdzie podczas powstania toczyły się zaciekłe walki [...] odbierał powstanie jako mit. Miał pretensje do Boga, iż nie urodził się parę lat wcześniej, bo byłaby szansa zginąć za ojczyznę. A jednocześnie dodaje: – W moim życiorysie najbardziej mnie ciekawi to, w którym momencie zacząłem przechodzić z pozycji romantyka na pozycję pozytywisty. Dla mnie bardzo długo słowo „Polak" składało się z drukowanych liter – to był wielki neon w kolorze biało-czerwonym: POLAK [...] Dramat w tym, że było to zbudowane na tragedii powstania warszawskiego.

SODA SUKCESU

Trochę czekał na swoje pięć minut z dyplomem uzyskanym w warszawskiej PWST w 1964 r. Po serialu „Kolumbowie" (1970) Janusza Morgensterna odczuł siłę popularności. „Z nikogo" stał się najpopularniejszym aktorem w Polsce. – Ciekawe, że woda sodowa nie uderzyła mi do głowy bezpośrednio po „Kolumbach", tylko dopiero gdzieś w okolicach „Doktora Judyma" [już po „Hamlecie" wyreżyserowanym przez Gustawa Holoubka w Teatrze TV – przyp. red.], czyli w połowie lat 70.

Wtedy zaczęło się konsumowanie popularności. – Brylowałem i przy stole, i w pościeli. Nie byłem niczym zainteresowany poza sobą – ocenia. – Te pięć lat mojego samozachwytu, co po latach wiem, było okropne. Nie miałem żadnych skrupułów ani życiowych, ani artystycznych. Chłeptałem, zżerałem swój sukces na wszystkich polach. I to w dość bezkompromisowy sposób. Te pięć lat, o których tu mówimy, to był chyba jedyny okres, kiedy zaimek „ja" postawiłem na pierwszym miejscu. Nie miałem wątpliwości, że mi się należy.

Uratowały go trzy rzeczy równocześnie: spotkanie z Dejmkiem, który szybko mu udowodnił, że jeszcze wielu rzeczy nie umie, nauczanie w szkole teatralnej, a przede wszystkim wybuch Solidarności, która całkowicie zmieniła jego priorytety. – W takim momencie człowiek przestaje zajmować się sobą, zaczyna zajmować się sprawą – sumuje. – Poza tym uczenie studentów to też pewnego rodzaju misja.

STOPY DO ŚRODKA

Mówi, że swoim studentom od pierwszego roku powtarza, że jego zadaniem jest obdarowanie ich jak największą liczbą wytrychów do otwierania jak największej liczby drzwi, a nie otwieranie drzwi, do których już mają klucze. Podkreśla, że w normalnym układzie z tysiąca rzemieślników rodzi się jeden artysta, ale żyjemy w kraju, w którym z tysiąca artystów czasem się rodzi jeden rzemieślnik. – Całkowicie odwróciliśmy proporcje. Dominuje pogarda dla rzemiosła. W Polsce „rzemieślnik" wciąż jest pejoratywnym określeniem. A w zawodach artystycznych – na pewno. Tymczasem dla niego punktem odniesienia są przede wszystkim umiejętności, warsztat. A nie, że aktor coś przeczuwa i przypadkowo wyjdzie mu coś świetnego.

Ma krótką definicję artysty: wielki aktor jest artystą. A kto to jest artysta? To ten, który stwarza rzeczywistość [...]. Rzemieślnik idealnie wpasowuje się w rzeczywistość, panuje nad nią. A artysta ją demoluje, wzbogaca, znajduje w tej rzeczywistości coś, czego inni nie dostrzegają, i nie obawia się tego pokazać.

Zżyma się: – Spotkałem w swoim życiu może kilku [...] kilkunastu [...]. A kiedy wchodzę do internetu, widzę, że dziś byle amator określa się mianem „artysty", wtedy mnie krew zalewa. No sami artyści są między nami!

Ku jego niemałej frustracji dziś takie nazwiska jak Axer, Dejmek, Kutz, ale też Holoubek, Łapicki czy Łomnicki... również dla aspirujących do roli aktora młodych ludzi bywają nierozpoznawalne. Tymczasem w książce wydarzenia, rozgrywające się również z udziałem tych postaci, zajmują wiele miejsca. Przywołane w refleksji lub anegdocie. Wpisane w szersze tło lub skupione na takiej, jak ta, migawce: Kiedy w 1982 r. w Teatrze Polskim Englert mierzył się z postacią Konrada z „Wyzwolenia" Wyspiańskiego, Dejmek powiedział mu: „Pan gra, pan cierpi, cierpi głową, sercem, wątrobą... a ja panu nie wierzę. Dlatego, że pan jest sportowcem i chodzi pan na tak silnych nogach [...]. Niech pan skróci krok, może niech pan zacznie stawiać stopy do środka". – Wystarczyła taka celna uwaga – zauważa – I mogłem natychmiast zmienić akcenty interpretacyjne.

DLA LUDZOŻERKI

– Teatr był zawsze papierkiem lakmusowym tego, co się dzieje w społeczeństwie, polityce czy języku – podkreśla Englert, konstatując jednocześnie obecny stan: – Olbrzymie grupy ludzi teatru już nie potrzebują. Mają Netflixa. Gdzie indziej jest teraz źródło sztuki. Po lockdownie ruszyła w Polsce produkcja kilkudziesięciu seriali. Niektóre odgrzewane na nowo, bo zorientowano się, że to jest coś, na czym można zarobić. A na teatrze nie! Udowodniono nam, że w tym łańcuchu ważności w kulturze jesteśmy na ostatnim miejscu.

Pojawia się pytanie: [skoro] w tej chwili jesteśmy pogubieni, czy robić dla ludożerki, jak się czasami paskudnie mówi o widowni, czy tworzyć?

eprasa.pl efefd978f4

Pozornie zabawna historia

Opowieść o tym, jak rok po studiach Aleksander Nalaskowski stał się „bażantem”, gdy armia Jaruzelskiego wcieliła go w 1981 r. przymusowo do służby



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Młodsi Polacy zapewne nie bardzo już wiedzą, że służba wojskowa była w Polsce Ludowej absolutnie obowiązkowa. Masowo na dwa lata brano do wojska chłopaków po osiemnastce, a po studiach zaciągano na rok. Wymigać się było bardzo trudno. Mnie się nie udało i po roku pracy w szkole wojsko ludowe wyciągnęło po mnie swoją żelazną rękę. Metoda socjalistycznej armii była taka, że otrzymywało się powołanie (tzw. bilet) do odległego od domu kąta kraju. Tak na wszelki wypadek, aby wybić z głowy poborowym myśl o możliwości odwiedzenia bliskich po podróży krótszej niż osiem godzin, oczywiście z przesiadkami. Mnie wysłali do Głogowa, bo miałem nieczystą kartę polityczną za niepokorny teatrzyk studencki. Po czterech miesiącach szkolenia, w stopniu kaprala, zostałem odesłany do Braniewa. Większość kolegów trafiała w pobliże miejsca zamieszkania albo wręcz do miasta, w którym mieszkali. Ja dostałem skierowanie do Braniewa, znów godziny jazdy pociągiem, ale tym razem już tylko z jedną przesiadką.

* * *

Podstawą funkcjonowania w wojsku był język. Bez niego próby przetrwania byłyby niemożliwe. A więc należało się go nauczyć. O wojsku jako takim mówiło się nie inaczej jak „syf”. Zwykli żołnierze to „szweje”, oficerowie to „trepy”, studenci szkół wojskowych „konie”, zawodowi podoficerowie to „zlewy”. Podpaść komuś to „mieć cienko” albo gdy bardzo się podpadło, to „miało się cienko jak polsilver po ostrzeniu” (polsilver = żyletka). Oczywiście można było mieć „grubo”, co było odwrotnością cienkości. „Punkciarz” to był lizus, który koniecznie chciał się przypodobać kadrze. Chłopaki po studiach odbywający obowiązkową służbę roczną to były „bażanty”. Byłem więc „bażantem”. Oczywiście cały ten wojskowy slang był mocno okraszony nieprawdopodobną ilością bluzgów, a wszystko razem stanowiło niezrozumiały dla cywila dialekt. „Bażanty” bluzgały najmniej, a niektóre wcale.

Jednak na mnie największe wrażenie zrobiło z czasem słowo „pozoracja”, bo okazało się, że w sposób wprost genialny oddaje istotę Ludowego Wojska Polskiego. Jego obraz był bowiem zupełnie inny niż ten prezentowany przez Jaruzelskiego i jego Wojskową Radę Ocalenia Narodowego. W sposób szczególny ujawnił to stan wojenny, który zastał mnie właśnie w Braniewie. Ale po kolei.

Szkolenie podstawowe ograniczyło się do wiecznych musztr pod wodzą kaprali ze służby zasadniczej, którzy chyba z powodu braku wykształcenia nas nie znosili. A że mieli nad nami władzę, to owo nieznoszenie nader często okazywali. Szybko się okazało, że pobyt w wojsku będzie czasem bezpowrotnie straconym. Dla nas i dla kraju. W trakcie ponadrocznej służby (Jaruzelski był uprzejmy tę służbę wydłużyć z powodu wojny, którą sobie wymyślił) oddałem pięć strzałów z kałasznikowa, ale za to na niekończącym się czyszczeniu broni spędziłem dziesiątki jak nie setki godzin. Szkolono mnie na artylerzystę i zapewne dlatego armatę widziałem tylko w przywojskowym skansenie, a pocisku armatniego nie widziałem nigdy. Co nie przeszkadzało, że przy wyjściu z wojska zostałem ogniomistrzem (sierżantem) i dyplomowanym artylerzystą. Moi koledzy zostali podporucznikami artylerii, ale wiedzieli i umieli tyle samo, co ja ogniomistrz, czyli nic. Za to bezbłędnie maszerowałem krokiem równym i defiladowym, umiałem salutować i oczywiście, jak wszyscy, opanowałem do perfekcji sztukę pozoracji. Ale chyba wiem, dlaczego nas niczego wojennego nie nauczono. Przyczyna była prosta – nasi dowódcy, zawodowi oficerowie, też kompletnie nic nie umieli i w obopólnym interesie było, aby z niczego nie daj Bóg nie strzelać, bo mogłoby się to źle skończyć.

Sprzęt, na którym nas uczono łączności, był produkcji sowieckiej z okresu II wojny światowej i zupełnie nie działał. Powiedziano nam, że ten typ nigdy nie był wykorzystywany w warunkach bojowych, bo był bardzo zawodny. Od

eprasa.pl efefd978f4



Fot. Materiały autora

razu był zezłomowany, ale widać do szkolenia wystarczający. Pozoracja...

Jeden z oficerów dodawał metry do sekund, aby obliczyć prędkość w metrach na sekundę. Gdy kolega, matematyk, zwrócił mu uwagę, że to błąd, to usłyszał, że artyleria rządzi się swoimi prawami. No i wszystko jasne. Zauważyłem, że całodzienne, wielotygodniowe i wielomiesięczne wykonywanie czynności, z których 80 proc. nie miało najmniejszego sensu, deformuje nam umysły. Zaczynamy być obojętni na głupotę, niekompetencję i pozorowanie wszystkiego, co się da (oprócz jedzenia i snu). Pozornie słuchaliśmy, pozornie maszerowaliśmy, pozornie byliśmy obowiązkowi i pozornie posłuszni. Kadra uczyła nas tego, co potrafiła najlepiej – udawania. Najważniejszy był równy marsz, porządek w sypialniach i prawidłowe zapięcie pasa. Wydawało się, że to zdecyduje o bezpieczeństwie Polski Ludowej. Byliśmy niepożyteczni, tak samo jak nasi przełożeni. Z tą różnicą, że myśmy w cywilu coś potrafili, mieliśmy swój zawód, czekała na nas jakaś robota, a oni ani w wojsku, ani w cywilu nie umieli prawie nic. I tego nas chcieli nauczyć.

* * *

Po szkoleniu podstawowym udałem się zgodnie ze skierowaniem do Braniewa. I tam właśnie rozdarł się worek z niespodziankami. W szkółce głogowskiej było czysto, wymiana bielizny i pościeli regularna, a pozoracja skrzętnie maskowana. Byle jakoś przeżyć.

Ale w końcu skierowano mnie tam, gdzie nikt na mnie nie czekał. Po prostu – wyznaczona jednostka w Braniewie nie potrzebowała żadnego „bażanta". Przyjechałem po cywilnemu, bo mundur musiałem zostawić w Głogowie, a w Braniewie nie było dla mnie munduru, butów, a nawet łóżka czy pościeli. Nie byłem też wyprowiantowany, to znaczy nie mogłem korzystać ze stołówki. Bo tak właśnie wyglądała pozorowana zawsze na nienaganną organizacja wewnątrzarmijna. I pomyśleć, że to wojsko miało zapewniać porządek w kraju, a wojskowi komisarze nienagannie organizować wszystkie sfery życia publicznego.

Kazano mi wracać do domu i przyjechać za trzy dni. Bez przepustki, bez tzw. rozkazu wyjazdu, na własny koszt. Gdy przyjechałem po czterech dniach (bo jeden dzień wolnego sobie sam dołożyłem), to już wszystko było. Mundur, łóżko, pościel, buty, stołówka... Tylko nie było dla mnie żadnych zadań. Dostałem polecenie, aby się rozglądać, ale nie rzucać w oczy. Gdyby ktoś mnie pytał, to miałem odpowiadać, że jestem do dyspozycji szefa sztabu. Wojsko utrzymywało więc darmozjada i jeszcze mu wypłacało żołd. Jednostka w Braniewie była niechlujna, bałaganiarska i kompletnie zapuszczona. Uszkodzone okna, wiszące na jednym zawiasie drzwi, ciągle nieczynne prysznice, ohydne toalety, pachnąca pomyjami stołówka. Nad wejściem do koszar był plafon przedstawiający żołnierzy III Rzeszy siedzących przy ognisku z kociołkiem. Łatwo było ich rozpoznać po charakterystycznych hełmach. Bo koszary (jak wszystkie inne, w których służyłem) były poniemieckie.

> Pozornie słuchaliśmy, pozornie maszerowaliśmy, pozornie byliśmy obowiązkowi i pozornie posłuszni. Kadra uczyła nas tego, co potrafiła najlepiej – udawania

Na parterze były biura kadry. Oficerowie przychodzili rano, zamykali się w swoich gabinetach, rozwiązywali krzyżówki, czytali gazety, grali w karty, ale najpowszechniejszym zajęciem było bezmyślne wpatrywanie się kalendarz. Potrafili przesiedzieć kilka godzin dziennie przy pustym biurku, gapiąc się w swój terminarz, który co roku służbowo otrzymywali! Większość poza tym nie robiła nic. Pełna pozoracja. I tak do godziny dziesiątej. O tej porze wszyscy udawali się na drugie śniadanie do kasyna, gdzie za bezcen można było kupić to, o czym cywilna Polska już nawet nie mogła marzyć. Śniadanie się przeciągało do wpół do dwunastej. Kadra niespiesznie wracała do „pracy", aby o piętnastej znów iść do kasyna, tym razem na obiad. W kasynie wódka była bez kartek i w pełnej podaży, no to wielu miało „nadgodziny", my czasami też.

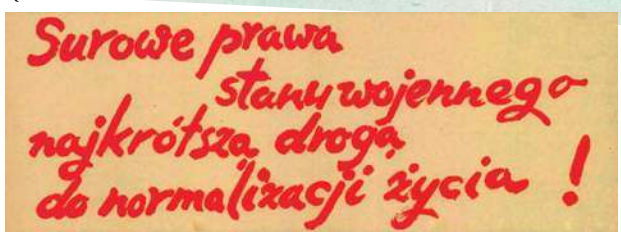
Wystarczyło jednak wejść z oficerem w rozmowę, co chętnie z nudów robili, aby usłyszeć, że mają dosyć komuny, że „wojsko to syf", że przegramy każdą wojnę. Oczywiście o wszystkim mówili w „twardym, żołnierskim języku". Z wojska i swojego zawodu po prostu kpili. Sami siebie najczęściej nie traktowali poważnie. Kto miał jakąś perspektywę w cywilu, podejmował trud „wygięcia", tzn. odejścia z armii. Co było bardzo trudne i mało możliwe. Służbowo jednak byli zawsze socjalistyczni, koniecznie niewierzący i jedynie słuszni.

Poranne apele, odprawy z „bażantami" odbywały się tak rzadko, że nie pamiętam, czy w ogóle jakieś były. Spaliśmy tak długo, jak chcieliśmy, chodziliśmy do kasyna, gdy tylko mieliśmy ochotę, nikt od nas niczego nie chciał, niczego nam nie kazał. Ani razu nie pełniłem żadnej służby. Byłem, podobnie jak moi koledzy, po to, aby udawać, że mnie tam nie ma. Często jeździliśmy do pobliskiego Fromborka, bo tam w kawiarni jeszcze podawano kawę. Potem i tego zabrakło. Pozorny żołnierz, pozorna służba. Gdy spojrzało się na ciąg budynków koszarowych w jednostce, w których mieszkało parę tysięcy żołnierzy, dotykało się prawie fizycznie monstrualnego marnotrawstwa pieniędzy, sił i młodości. Legion zdrowych mężczyzn zamiast pracować, nie robił nic, poza pozorowanym szkoleniem, durnymi musztrami i ustawicznym czyszczeniem broni, z której strzelania nie ćwiczył. Jeśli padło jakieś polecenie/rozkaz, to zadanie możliwe do wykonania w kwadrans przeciągano na całe godziny. Byle do obiadu. Bo po nim w jednostce zostawali tylko oficerowie pełniący służbę, których najczęściej nic nie obchodziło. Żołnierze snuli się po korytarzach, grali w karty, piłkarzyki, opowiadali kawały, starzy bawili się kosztem młodych (tzw. fala) i czekali na kolację. Sielanka.

eprasa.pl efefd978f4

W końcu zgłosiliśmy się z kolegą, elektronikiem z Łodzi, do prowadzenia ciemni fotograficznej, bo dowiedzieliśmy się, że taka istnieje. To dopiero była fucha. Był całkiem niezły sprzęt. Mieliśmy tam taką swoją ambasadę cywilności. Bo przecież gdy ktoś chciał wejść, to zawsze mogliśmy krzyknąć, że mamy materiały światłoczułe na wierzchu i otworzyć nijak nie możemy. Kolega szybko rozwinął interes i (za forsę) robił „trepom" zdjęcia do akt i legitymacji, wywoływał ich prywatne fotki, a ja jeździłem „na lewiznę" do domu. Opuszczając Braniewo, zabrałem z sobą negatywy, na których mam uwiecznionych wszystkich bohaterów mojego braniewskiego wojowania.





* * *

13 grudnia 1981 r. zastał mnie „nielegalnego" w domu. Mieliśmy już ponadrocznego synka, a drugi był w drodze. Obudziła mnie zapłakana małżonka, informując, że jest stan wyjątkowy. Nazwy stan wojenny nikt wówczas nie słyszał. Była mroźna i bardzo śnieżna zima. Już wcześniej pociągi jeździły, jak chciały. Po ulicach jeździły „suki" (tak nazywano wtedy radiowozy milicyjne), krążyli wystraszeni ludzie. Po wielu godzinach dotarłem do braniewskiej jednostki, a tam harmider i panika. „Jedziemy na Warszawę" – usłyszałem. Zabrzmiało groźnie. Tu zaczęły się problemy, bo ciężarówki czyściutkie, na czarniutkich (smarowanych ropą dla lepszego efektu) oponach okazały się często zdekompletowane. Niektóre zupełnie nie miały paliwa, niektóre pozbawione były jakichś części silnika. To był czas, że wszystko było przedmiotem handlu, bo to, co najważniejsze, było na kartki, zwłaszcza paliwo. Żołnierze i funkcyjni sprzedawali „benzynę kompaktową", tzn. razem z kanistrem. Zatem kanistrów też brakowało. Szybko okazało się też, że beczkowóz z zapasem paliwa dysponuje mocno rozwodnioną cieczą benzynopodobną.

Ruszyliśmy więc dumną kolumną, która składała się z ciężarówek ciągnących „niedysponowane" ciężarówki i oczywiście haubice. No bo jak wojna, to wojna, prawda? Po jakimś czasie załogę naszej ciężarówki rozdzielono na inne pojazdy, bo nasza się popsuła. Polecenie było proste: „Znajdźcie sobie gdzieś miejsce". Mnie trafił się czołg. Od tego czasu patrzę na „Czterech pancernych" jak na bajkę dla idiotów. Czołg był potwornie głośny i koszmarnie ciasny (w zasadzie jeden siedział na drugim). Żadnego resorowania czy tłumienia wstrząsów. Na górze było tak duszno, że nie dało się oddychać, za to buty przymarzały do podłogi. W końcu w czołgu zabrakło paliwa, a ja z ulgą udałem się do pierwszej z brzegu ciężarówki. W przykrytej brezentem budzie był mróz. Opatuleni w koce, niczym niemieccy jeńcy na froncie wschodnim, budziliśmy się nawzajem, aby nie zasnąć i nie zamarznąć. Tak jechaliśmy przez dwa dni, aby w końcu dotrzeć pod Warszawę do Kampinoskiego Parku Narodowego. Wszędzie były tam tablice typu „Zabrania się palić ognisk na terenie KPN". Oficer polityczny kazał żołnierzom zaklejać śniegiem te tablice, bo KPN był wtedy popularnym skrótem nazwy Konfederacja Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego, podziemnego ugrupowania opozycyjnego.

Z perspektywy czasu widzę, że w tych warunkach cudem ocaleliśmy i nikt nie zamarzł. Ciepła kawa pojawiła się dopiero drugiego dnia po południu. Ale czuć było, że niektórzy oficerowie rozgrzewali się gorzałką.

* * *

Z Kampinosu dotarliśmy do Dziekanowa Leśnego. Ulokowano nas w szkole, której klasy zamieniono na sypialnie. Tzn. kompletnie opróżniono z wszelkich sprzętów, aby żołnierze mogli na podłodze rozłożyć „bambetle", czyli zwijane, cienkie materace i dwa koce. Ale przynajmniej było ciepło. Samochody i działa stały na szkolnym boisku, a obok szkoły rozstawiono duży namiot ogrzewany kozą, który pełnił funkcję stołówki.

Sala „bażantów" była najwidoczniej klasą historyczną, bo na ścianach wisiały reprodukcje matejkowskich obrazów „Konstytucja 3 maja", „Rejtan", „Kościuszko pod Racławicami". Po dwóch dniach oficer polityczny nakazał je żołnierzom ze służby zasadniczej zdjąć. Chyba nie był fanem malarstwa.

Przeczuwałem, że dzieje się coś ważnego, dlatego od chwili wyjazdu z Braniewa zapisywałem wszystko dzień po dniu. Zbierałem też ulotki, którymi nas zasypywano. Jedna z nich przedstawia kobietę tulącą dziecko, a podpis brzmi „Dziękuję wam żołnierze".

Zakwaterowanie setki dorosłych mężczyzn w maleńkiej szkole przyniosło niemal natychmiastowy skutek w postaci kompletnego zapchania się toalet. Po prostu nie wytrzymały. Już drugiego dnia panował w budynku nieznośny fetor. Ubikacje zamknięto, a żołnierze dostali polecenie, aby „potrzeby fizjologiczne załatwiać we własnym zakresie".

W przeciwieństwie do zwyczajów braniewskich w Dziekanowie odbywały się apele, aby okoliczna ludność mogła zobaczyć potęgę oręża polskiego. W trakcie jednego z apeli upomniałem

Fot. Materiały autora

eprasa.pl efefd978f4

się o toalety, za co zostałem przez pewnego chorążego publicznie nazwany „zasranym, polskim inteligentem". Pamiętam człowieka, znam jego nazwisko.

* * *

Po dwóch dniach dostałem rozkaz poprowadzenia patrolu na szosie w kierunku Warszawy i z powrotem. Patrol miał trwać dwie godziny. Chociaż ruch był nieduży, kazano nam spisywać rejestracje zagranicznych aut. Wiadomo, Zachód szpiegował żołnierzy w Dziekanowie. No to meldowałem o wartburgach, trabantach, moskwiczach i ładach. Więcej na patrol mnie nie wysłano i tak jak reszta „bażantów" mogłem się oddawać próżniactwu wojennemu. Zrozumiałem, że aby przeżyć, muszę być Szwejkiem.

A całkiem już serio, mnie i moim kolegom sen z oczu spędzała myśl o najbliższych, o małżonkach, dzieciach. Zakazano nam informować, gdzie jesteśmy, co robimy. Ostatnia informacja moich bliskich o mnie była taka, że 13 grudnia pojechałem na dworzec, aby dotrzeć do Braniewa. Nie było komórek, telefony nie działały i nawet nie było jak wysłać listu, bo nie było gdzie kupić znaczka. Zaraz na początku powiedziano nam, że wysyłanie jakiejkolwiek korespondencji będzie traktowane jak szpiegostwo. Informacje z zewnątrz były okrawane. „Dziennik Telewizyjny" opowiadał niestworzone rzeczy o „terrorystach z Solidarności", „Żołnierz Wolności" już 15 grudnia donosił, że poprawiło się zaopatrzenie w mleko i produkty zbożowe, w telewizji pękał wystraszony Kułaj z Solidarności Rolników, a aktor Kłosiński chwalił Jaruzela. To była tylko zapowiedź beznadziei kolejnych ośmiu lat.

Zdumiewającą radość kadry wzbudziła informacja o internowaniu Gierka i Jaroszewicza. 16 grudnia oficer polityczny (przemilczę jednak jego nazwisko) zwołał odprawę i z wyraźnie udawaną troską powiedział nam o kopalni Wujek, o ofiarach śmiertelnych. Powiedział też, że funkcjonariusze działali w obronie własnej. Nie wytrzymałem i zapytałem, czy górnicy mieli broń. Odpowiedział nadzwyczaj spokojnie, że „prawdopodobnie tak". Więcej do tego tematu nie wracano. Gdzieś w szkolnej piwnicy koledzy znaleźli stare lampowe radio. Z trudem dało się słyszeć strzępy zagłuszanych wiadomości Radia Wolna Europa. Ale wiedzieliśmy już więcej o tragedii górników, która jakoś chyba wpłynęła na „trepów", bo przestali się zachowywać jak rewolucjoniści bolszewiccy, którym dano władzę. W oczach mieli niepewność, jakby przestraszyli się skutków tego, co firmowali.

* * *

Nadeszła Wigilia. Nikt nic nie wiedział o swoich bliskich i na odwrót. Koszmar. W dużym namiocie urządzono nam wigilijną wieczerzę. Zapisałem skrzętnie menu: kapusta z grochem i białą kiełbasą, parówki na gorąco, bigos. Na deser drożdżówka. Wraz z kolegami ostentacyjnie wyszedłem. Nikt się naszą manifestacją nie przejął, usłyszałem tylko gdzieś z boku: „I bardzo dobrze, będzie więcej dla innych". Wieczorem śpiewaliśmy kolędy i podzieliliśmy się chlebem. I już było po Wigilii. A w ramach prezentu dostałem od kolegi rysunek czołgu z wielką czerwoną gwiazdą, z podpisem „Nadeszła Gwiazdka". Rysunek mi się podobał, to go powiesiłem na tablicy obok propagandowych ulotek. Zauważono go drugiego dnia i zabrano. Młody oficer polityczny postanowił wyśledzić, kto to zrobił. Jakże bardzo się starał, bo chciał zapunktować. Oczywiście nie udało mu się. Notabene odszedł z wojska i wstąpił do SB, służył w niej do 1990 r.

> „Jedziemy na Warszawę" – usłyszałem. Jak wojna, to wojna. Mnie trafił się czołg. Od tego czasu patrzę na „Czterech pancernych" jak na bajkę dla idiotów

W sylwestrowe południe przyjechała wojskowa estrada. „Znamienite gwiazdy" kołobrzeskiego festiwalu piosenki wojskowej. Był basowy Ryszard Arning, który do bordowej, aksamitnej marynarki i brokatowego krawata założył czapkę wojskową i śpiewał nam o szkopach, do których strzela na froncie, była Barbara Książkiewicz, która śpiewała o tym, że całuje się z żołnierzem, był Jacek Szczygieł i jego „niezapomniane przeboje", była Irena Woźniacka, która rozpaliła żołnierzy, bo miała półprzezroczystą bluzkę, i było kuriozum – Bułgar w różowej koszuli i czarnym smokingu, który śpiewał „wiązankę piosenek socjalistycznych", jedna z nich była w stylu flamenco, a w innej znów jodłował po bawarsku i tańczył à la Zorba. Żołnierze bawili się jak festiwalowa publiczność przy przebojach Czerwonych Gitar, a artyści chętnie bisowali. Po występie politruk zaprosił tandeciarzy na żołnierską grochówkę, ale oni pogardzili i odjechali. Zapewne mieli następne popisy. Mnie jednakowoż najbardziej rozbawił iluzjonista, któremu nie udała się żadna sztuczka. Był tak pięknie pijany.

Obok szkoły, w której spaliśmy, znajdował się Instytut Ekologii PAN. Tam pracownicy zaprosili nas na potajemnego sylwestra. Oficerowie już dawno rozpoczęli świętowanie, a nami nikt się nie interesował. Znalazło się wino, jakieś kanapki, była gitara. Ale nikomu się specjalnie nie chciało śpiewać i grać. Sceneria jednak była dość surrealistyczna, bo siedzieliśmy wśród kości, żeber i szczęk jakichś ogromnych stworów przywiezionych gdzieś zza koła polarnego. Ale wszystko dookoła było przecież kompletnie surrealistyczne.

* * *

Czas na epilog. Po wyjściu z wojska armia o mnie na sporo lat zapomniała. Żadnych ćwiczeń, manewrów, przymierzania munduru czy strzelania. Na samym początku lat 90. dostałem jednak wezwanie. Gdy oficer z Wojskowej Komisji Uzupełnień dowiedział się, że jestem profesorem (wtedy jeszcze uczelnianym) i sierżantem, zaniemówił. Bo profesor wedle norm ogólnowojskowych musiał być oficerem. Oficerem i basta. No to napisałem podanie, że w związku z uprawnieniami do nauczania jeździectwa proszę mnie awansować na stopień rotmistrza (w kawalerii to kapitan). W odpowiedzi zawezwano mnie, zabrano książeczkę wojskową, kartę mobilizacyjną i odesłano do czorta.

eprasa.pl efefd978f4

Niemiecka historia Europy



PIOTR GONTARCZYK

Dziś niepodległość Ukrainy wisi na włosku. Jak napadnie na nią Rosja, nikt nie kiwnie nawet małym palcem. My, jak na razie, czujemy się względnie bezpieczni, choć wobec Europy, a w szczególności Niemiec, nie powinniśmy mieć jakichkolwiek złudzeń. Bo gdyby co… Warto pamiętać, że nie brak tam głęboko zakorzenionej, atawistycznej nieomal niechęci do Polski i postrzegania naszej części Europy w kategoriach zbliżonych do Bismarcka i Hitlera, kwestionowania wręcz zasadności i celowości powstania sto lat temu niepodległego państwa polskiego i innych suwerennych krajów w regionie. Ostatnio ma to nawet u naszego zachodniego sąsiada coraz silniejsze uzasadnienie naukowe. Typowym dziełem tego nurtu jest książka „Wojna domowa. Nowe spojrzenie na odrodzenie Polski w latach 1918–1921" opublikowana niedawno po polsku, niemiecku i angielsku przez naukowca z Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie Jochena Böhlera.



Tezy tej książki różnią się od tego, co wiedzieliśmy do tej pory. Wyobrażaliśmy sobie, że Polacy i ich państwo to 1000 lat historii przerwanej w XVIII w. na 123 lata przez zmowę wrogich sąsiadów. Niepodległość odzyskaliśmy dzięki zbrojnym powstaniom, pracy organicznej oraz sprzyjającej koniunkturze międzynarodowej. Böhler widzi rzecz inaczej.

XIX w., który dla nas jest epoką rozbiorów, uważa za chyba najlepszy okres w historii naszej części Europy. Istniały tu bowiem ponadnarodowe struktury gwarantujące pokój, ład i bezpieczeństwo. Autor cyzeluje słowa, ale nie ukrywa, że rozpad dawnego porządku po wielkiej wojnie (wtedy powstały „państwa narodowe" jak Polska) uważa za „środkowoeuropejską wojnę domową". Jego interpretacje tego procesu sprowadzają się głównie do opisu erupcji przemocy rządnych krwi lokalnych dzikusów. Niemcy, reprezentujący chwalebny porządek, pewnie ukróciliby to barbarzyństwo, gdyby nie postawa aliantów, którzy uniemożliwili im rozwiązania siłowe na Wschodzie.

Najczarniejszym charakterem tej opowieści jest prezydent tak nielubianych dziś w Niemczech Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson. To on był autorem ogłoszonego 8 stycznia 1918 r. planu działań, które należy podjąć po wojnie w celu zbudowania sprawiedliwszego świata. Jego punkt 13 gwarantował: „Stworzenie niepodległego państwa polskiego na terytoriach zamieszkanych przez ludność bezsprzecznie polską, z wolnym dostępem do morza, niepodległością polityczną, gospodarczą, integralność terytoriów tego państwa powinna być zagwarantowana przez konwencję międzynarodową". Dokument ten Böhler interpretuje tak: „[...] państwa narodowe były raczej skutkiem tej wielkiej wojny domowej, choć ich byt został obwieszczony – równie stanowczo, co pochopnie – już na jej początku. Konflikt był nieuchronny, ponieważ w czternastopunktowym planie Wilsona samostanowienie narodów miało być podstawą odrodzenia powojennej Europy" (s. 94).

Obok takich twierdzeń mamy w książce pochwały spokoju i porządku w czasach dominacji Niemiec i Austro-Węgier. Upadek tych mocarstw, przez narody Europy przyjęty z entuzjazmem, bo rozpoczęło się budowanie niepodległości, Böhler sprowadza do mordów, rabunków i rzezi cywilów. Z wyraźnym zadowoleniem autor sięga po słowa Churchilla o lokalnej wojnie „Pigmejów". Krytykując wsparcie aliantów dla nowej mapy Europy, „ujawnia", że we francuskich i angielskich koloniach nie było wtedy równości rasowej. Opowiada też o humanitaryzmie myśli politycznej kajzerowskich Niemiec, która odrzucała możliwość przesiedlania ludności w czasie konfliktów granicznych bez jej zgody (s. 53). Brak tu tylko wspomnienia o dokonaniach niemieckiej kultury w ówczesnej niemieckiej kolonii w Afryce – Namibii. Do wzorców dokonanej tam na masową skalę eksterminacji ludności ich następcy do dorobku „europejskiej kultury" mogli już tylko dorzucić „cyklon B".

CO TO JEST POLSKA?

Nowatorstwo badań Jochena Böhlera widać na każdym kroku. Ustalił on na przykład, że w końcu istnienia I Rzeczypospolitej „tradycyjnym i urzędowym" językiem dla Polaków, Litwinów, Białorusinów, Tatarów i Orman była... łacina (s. 45). Kontynuacją tych wynurzeń zwykłego naukowego grafomana jest twierdzenie, że naród Polski w czasie

eprasa.pl efefd978f4

I wojny światowej jeszcze nie istniał (!), a politycy tacy jak Piłsudski czy Dmowski byli „przywódcami polskojęzycznej ludności w Europie Środkowej" (s. 192).

Polacy szczycą się walką o niepodległość odzyskaną w 1918 r. Böhler widzi sprawę inaczej: „Tematem naszego opracowania jest kwestia polska, siłą rzeczy [sic! P.G.] skupiamy się na zjawisku przemocy związanym z tworzeniem II Rzeczpospolitej" (s. 27). Taka jest ta książka. Jej autor wyciąga z historii głównie to, co ukazuje walkę Polaków o wolność w negatywnym świetle. Wojsko Polskie („polskość" różnych polskich formacji autor często kwestionuje cudzysłowem) to często tylko bojówki, hordy „pogromszczyków" Żydów, awanturników i „notorycznych złodziei" z Legionami Piłsudskiego na czele (s. 251). Każdy Polak walczący o kraj to dla Böhlera – to tutaj ciężka obelga – „nacjonalista". Piłsudski okazuje się przedstawicielem „nacjonalizmu zabarwionego lewicowo" (s. 86), a Wojciech Korfanty był „zaprzysięgłym endekiem" (s. 153), choć z endecją nie miał nic wspólnego. I tak w kółko. Taki niemiecki kabaret tworzony przez nieuka, który o historii Polski nie ma pojęcia.

Ale mimo to peroruje, że polityka w latach 1918–1921 skłóciła nas z sąsiadami. Miało być tak źle, że później stosunki dyplomatyczne II RP na przykład z Ukrainą były „napięte" (s. 48). No i cóż to dla niego, że Ukrainy wówczas nie było? Może Polska w imię pokoju powinna w 1918 r. zrezygnować z Wilna, Lwowa i Poznania, nie walczyć o Śląsk i dostęp do Bałtyku, zamykając się w granicach Królestwa Polskiego z 1830 r. Ale to też by się nie dało, bo jego północną część trzeba byłoby oddać Litwie włącznie z Suwałkami.

W innym miejscu książki czytamy o pomyśle wywiezienia w 1918 r. wszystkich „nie-Polaków" z granic nowego państwa. Autor ustalił, że to byłoby trudne, bo „pociągi wykorzystywano do transportowania żołnierzy na front [...] inny transport był ograniczony z powodu zniszczenia dróg i braku paliwa" (s. 53). Kto w Polsce wymyśliłby wtedy coś takiego? Ot, takie typowe wypisywane partiami niemiecko-böhlerowskie brednie.

Głównym elementem konstrukcyjnym książki jest wspomniane już pojęcie „europejskiej wojny domowej", za jaką Böhler uważa walki narodów tego regionu o niepodległość i granice. Taka ideologiczna fantasmagoria, w której autor usiłuje upchać kolanem świat, łamiąc wszelkie reguły naukowej grawitacji. I tak w całej książce Polacy wojują z Ukraińcami, więc jest to dowód na „środkowoeuropejską wojnę domową". Ale na s. 177–178 czytamy: „Być może ostatecznym argumentem przemawiającym za pojęciem »środkowoeuropejska wojna domowa« jest to, że [Polska] znalazła [...] sprzymierzeńca w postaci Ukraińskiej Republiki Ludowej". Dwa przeciwstawne fakty (Polacy walczą z Ukraińcami albo są z nimi w sojuszu) udowadniają tę samą tezę autora. To co mogłoby ją obalić? „Europejską wojną domową" stają się w pewnym momencie nawet walki Polaków z bolszewikami. Powtarzając podobne opowieści, autor sięgnął nawet po cytat z „Wojny domowej" Juliusza Cezara. Co łączyło Polaków i bolszewików tak jak Pompejusza i Cezara? Język? Tradycja? Kultura? Religia albo filozofia? Ta książka to stek bzdur, który trudno opisywać bez zażenowania.

POLSCY ZDRAJCY I BUNTOWNICY

Ważnym elementem książki niemieckiego historyka jest opis walki Polaków o granice na zachodzie i północy. W przypadku Śląska można mówić o wojnie domowej, bo ta dzielnica odpadła od Polski w średniowieczu i setki lat była obszarem niemieckiego osadnictwa i ekspansji kulturowej. Dopiero budzenie się nowoczesnej świadomości narodowej, mówiących gwarą śląską miejscowych, pchało ich do polskości. Böhler traktuje „powstania śląskie" (cudzysłów stale w książce) jako intrygę polskiego wywiadu. Pisze wprost, że tylko sytuacja międzynarodowa nie pozwoliła Niemcom na zrobienie porządku z tą półbandycką irredentą. Obok słów jakiegoś polskiego watażki cytuje niemiecką relację o triumfie nad Polakami na Górze św. Anny: „Jakże biją serca śmiałków w dumnej zwycięskiej chwale, kiedy [...] na iglicy czarno-biało-czerwona flaga obwieściła niemieckie zwycięstwo, pierwsze niemieckie zwycięstwo od haniebnych dni listopadowych 1918 roku" (s. 160). Niestety. Dokonał się akt podziału Śląska, którego część siłowo oderwano on Niemiec.

Za „wojnę domową" Böhler uważa też „Insurekcję w Poznaniu" (s. 141, to pierwsze słowo w pogardliwym cudzysłowie). Nie wyjaśnił tylko, dlaczego miejscowi Polacy mieliby uznać za „współdomowników" niemieckich okupantów. Najpierw były rozbiory, potem pominięte przez autora brutalne metody wynaradawiania Polaków. Nie ma tu także Hakaty czy dzieci z Września. Samo powstanie wielkopolskie ma być historią cynizmu i bezwzględności „polskiej mniejszości" (s. 143. Polacy byli tu w większości – przyp. P.G.), która wykorzystała naiwność i dobrotliwość Niemców. A tak w ogóle poznaniacy nie chcieli do Polski i wielu było lojalnymi obywatelami Niemiec. Dowodem ma być fakt, że w końcu wojny w czasie ruchawek rewolucyjnych w wojsku bywali bardziej zdyscyplinowani niż Niemcy (s. 78). Czy to rzeczywiście była lojalność wobec Niemiec czy brak zainteresowania obcymi sprawami w nadziei, że to pruskie bydlę zaraz zdechnie? To się nazywa rozumieć źródła... Gdzie indziej autor zauważa, że poznaniacy pod koniec wojny optowali za Polską, bo jako prowincja Niemiec po wojnie musieliby płacić reparacje (s. 144). O poznaniakach zazdrośni o ich gospodarność mieszkańcy Kongresówki powiadają, że są polskimi Szkotami i w czasie kłótni o złotówkę mogą wyprodukować sto metrów drutu. Kawały podawane o nich przez Böhlera, jako wynik badań naukowych, nawet nie rozśmieszają. Tak jak obecne orzeczenia niemieckiego TSUE.

Z racji nacji autora książki jego stronniczość w opisie działań Polaków na Zachodzie nie dziwi. Ale tak samo jest z innymi konfliktami, gdzie często wyraźnie staje on po stronie tych, z którymi walczyli Polacy. Dlatego Ukraińcy „bronią" Lwowa (s. 117), a Polacy są w Wilnie „okupantami" (s. 81 i kolejne strony). Najbardziej jaskrawe stanowisko zajął jednak w kwestii powrotu Polski nad Bałtyk: „W 13 punkcie

eprasa.pl efefd978f4

planu Wilsona przewidywano dostęp Polski do morza. W praktyce oznaczało to pas ziemi biegnący przez Prusy Zachodnie" (s. 149). Nie ma tu więc Pomorza zagarniętego Polsce w czasie pierwszego rozbioru z 1772 r. Jest „polski korytarz" wyrąbany w „Prusach Zachodnich". Miała być książka o aspiracjach naukowych, a wyszedł parteitag NSDAP. Taka ta Polska już chyba jest: wieczny problem w niemieckiej Europie.


Rozbrajanie niemieckich żołnierzy w Warszawie, listopad 1918 r.

Fot. NAC

WAŻNA LEKCJA

Böhler swoje dzieło promuje jako odkrywcze obalanie „mitologii", bo taką ma być stan wiedzy o walce Polski o niepodległość i granice w latach 1918–1921. Postuluje jej uzupełnienie o kluczowy problem „przemocy związanej z tworzeniem II Rzeczpospolitej" (s. 27). Czyli rabunki i przestępstwa na ludności cywilnej oraz pogromy Żydów jako esencja „europejskiej wojny domowej", w której na mocy fatalnych decyzji aliantów (dekolonizowanym) narodom naszej części Europy gwarantowano niepodległość.

Zgoda, wojna to rzecz brutalna. Zawsze dochodzi na niej do przemocy na cywilach i takiej z pewnością dopuszczali się w latach 1918–1921 także Polacy. Ale to nie może zasłaniać kluczowej osi historii politycznej Europy. Przy wszystkich biedach, stratach i półcieniach kluczowe dla tego regionu było odzyskiwanie przez jego narody własnego domu, możliwości mówienia i kształcenia się we własnym języku, kultywowania tradycji – tak jak w przypadku Polaków – brutalnie przerwanych przez zbrojne najazdy sąsiadów. „Syty głodnego nie zrozumie" – tą starą mądrością można by otworzyć i zamknąć jednozdaniową recenzję książki Böhlera. Sam autor wyraźnie się cieszy swoimi opisami polskich ekscesów i maruderstwa, chwaląc się, że odkrywa rzeczy do tej pory zatajane. Nikt ich nie zatajał, tylko miały one w polskich książkach właściwe, marginalne miejsce. Tak samo mniej więcej jak w wypadku działań wojsk anglo-amerykańskich w Europie w latach 1944–1945. Opiszemy to, co ważne, czy to, co drugorzędne? Tematem opisu będzie oswobadzanie Europy z hitlerowsko-niemieckich porządków czy marginalna historycznie (choć się zgadzamy, że patologiczna) sprawa maruderstwa i gwałcenia Niemek?

Ze smutkiem trzeba przypomnieć, że książka Jochena Böhlera ukazała się również po angielsku, co dla wyobrażeń o tej części Europy nieprzygotowanego czytelnika może przynieść złe skutki. Te pochwały „starego porządku", próba de facto historycznej delegitymizacji państw powstałych w naszej części Europy po 1918 r. mogą negatywnie wpłynąć na sposób postrzegania naszego regionu, w tym także niepodległości Ukrainy czy państw bałtyckich. Na szczęście jednak ostrze krytyki autor wymierzył głównie w Polskę, której historię postanowił zrewolucjonizować, obalając liczne mity i pomniki. W jednym z takich przypadków pisze: „Są […] powody, aby do pewnego stopnia zakwestionować rolę Piłsudskiego jako nieskazitelnego twórcy polskiej niepodległości, którą bezsprzecznie cieszy się do dzisiaj. W młodości był terrorystą i dokonał napadu na pociąg […] w Królestwie Kongresowym" (s. 20, 135). Może przed zabraniem się do obalania polskich pomników trzeba było sobie kupić mapę Europy, z której jasno wynika, że stacja w Bezdanach leży pod Wilnem, nie w Kongresówce. Książka Böhlera przypomina starą prawdę, że jednym z najgroźniejszych dla stanu umysłu trunków jest pozornie nieszkodliwa woda sodowa.

NIEMCY JAK ZWYKLE

„Wojna domowa..." niemieckiego autora od strony naukowej nie przedstawia nic godnego uwagi. Ot, typowy naukowy gniot, negatywna strona łatwego dostępu do druku. Ale nie jest też tak, że lektura tej książki nie jest kształcąca. Patrzmy więc na to wszystko uważnie i pamiętajmy, z kim mamy do czynienia. Tam, w Berlinie, niepodległość Polski nie dla wszystkich jest sama w sobie fundamentalna. Gęby pełne frazesów, a z tyłu pogarda dla Polski, pouczający ton, współpraca z Rosją, Nord Stream 2, pełne przyzwolenie na zniszczenie Ukrainy. Ceńmy więc książkę Böhlera za zilustrowanie takiego sposobu myślenia o Wschodzie, który przez ostatnie dziesiątki lat był w Niemczech tłumiony, a teraz wybuchł na nowo w postaci kierowanych pod adresem polskich dzikusów (formalnie: europejskich) żądań i pouczeń: a to się w Polsce praworządność nie podoba, a to coś innego. Ile się musiało w Niemczech zmienić, żeby nic się nie zmieniło. Stara pruska słoma wyłazi z nowych, „europejskich" butów.

Autor jest pracownikiem IPN

eprasa.pl efefd978f4



Insygnia koronne, które można dziś oglądać na Wawelu, są znakomitymi kopiami, wykonanymi w 2001 r. przez antykwariusza z Nowego Sącza Adama Orzechowskiego. Do ich zrobienia częściowo wykorzystano pruskie monety – historia zatoczyła więc koło

Pruska robota

Kradzież polskich insygniów królewskich w 1795 r. nie była niczym nadzwyczajnym. Tak w czasach feudalnych standardowo postępowali zwycięzcy. W tym jednak przypadku absurd gonił absurd. Rabunku dokonano po kryjomu – choć można było zrobić to oficjalnie. Niewiele też na nim zarobiono. Tym razem porzekadło, że na złodzieju czapka gore, okazało się jak najbardziej trafne



WOJCIECH LADA

Królewski skarbiec na Wawelu w najlepszych latach Rzeczypospolitej był przeszkodą niemal nie do pokonania. Nawet dla samych królów. Dostępu strzegło mianowicie sześcioro masywnych, żelaznych drzwi, do każdych zaś osobny klucz posiadał inny senator. Żeby ich użyć, musiała zostać podjęta specjalna uchwała sejmowa. Ale nawet po otwarciu drzwi dostęp do zawartości skarbca wciąż nie był prosty. Ukryty był bowiem dodatkowo w dwóch żelaznych skrzyniach, zamkniętych na podwójne zamki i siedem kłódek. W nich zaś mieściło się dopiero 19 szkatuł, skrywających królewskie insygnia, niektóre przechowywane tu nawet od 800 lat.

Rok 1795 trudno byłoby nazwać najlepszym okresem Rzeczypospolitej. Powoli znikała z map świata, dosłownie za kilka tygodni miała formalnie przestać istnieć, a w praktyce nie istniała już w tym momencie. Władzę w Krakowie tymczasowo sprawowali Prusacy, za kilka miesięcy mieli przekazać ją Austriakom, a stan ten miał się utrzymać przez ponad 120 lat. Wszystkie klucze do skarbca znajdowały się w tym momencie w rękach księdza Sebastiana Sierakowskiego – więc wydawał się bezpieczny. Dlaczego? Bo ksiądz był postacią niespotykanie wręcz uczciwą i obowiązkową. A jednak w nocy z 3 na 4 października tego roku skarbiec został obrabowany, mieszczących się zaś w nim insygniów królewskich nie odzyskano już nigdy.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4

BEZRADNOŚĆ ŚLUSARZY

Tak naprawdę największym zabezpieczeniem skarbca była tajemnica. Niewiele osób wiedziało, gdzie właściwie znajdują się jego pomieszczenia i jak dotąd to skutecznie chroniło jego zawartość. W Krakowie buszowali już przecież Rosjanie – plądrując, co się dało. Teraz od dłuższego czasu panoszyli się tu Prusacy – kradnący, co tylko pozostało. Skarbiec jednak pozostawał nienaruszony. I być może sytuacja ta trwałaby jeszcze wiele lat, gdyby... Na Wawelu pracował mianowicie jako magazynier niejaki Zubrzycki, który w jakiś sposób dowiedział się, gdzie jest skarbiec. Niewiele myśląc, skontaktował się z pruskim gubernatorem miasta Antonim von Hoymem i w zamian za urząd komisarza królewskiego w Częstochowie, mieszkanie i pensję w wysokości 180 talarów rocznie, przekazał mu stosowne informacje. Wtargnięcie do skarbca wymagało rzecz jasna zgody króla Fryderyka Wilhelma II – można więc uznać, że to właśnie pruski monarcha był zleceniodawcą kradzieży. W obawie przed rozruchami nakazał jednak przeprowadzenie operacji w tajemnicy.

I właśnie dlatego do rabunku przystąpiono po zmroku. Von Hoymowi towarzyszyło kilku oficerów, zapewne jacyś robotnicy i specjalnie na tę okazję sprowadzony z Wrocławia ślusarz, niejaki Lang. Kiedy stanęli przed pierwszymi drzwiami skarbca i rzemieślnik przystąpił do pracy, okazało się, że zamki są nie do sforsowania. Czas mijał, a kolejne próby okazywały się bezskuteczne. Prusacy zaczęli się poważnie niecierpliwić, bo rozkaz króla nakazywał im całą sprawę załatwić pod osłoną nocy. Któryś z oficerów wpadł na pomysł przyciągnięcia armaty i przestrzelenie drzwi. Pomysł jednak szybko upadł – raz, że wykluczałoby to zachowanie ciszy. Dwa – mogłoby naruszyć średniowieczną konstrukcję komnaty. Zdecydowano się więc sprowadzić najlepszego krakowskiego ślusarza, majstra Weissa. Ten, ledwo wyciągnięty z łóżka, po obejrzeniu zamków potwierdził opinię swojego wrocławskiego kolegi – zamki są nie do otworzenia bez kluczy. Zaproponował jednak inną metodę. Należało wyciągnąć kamienną belkę spod drzwi, przecisnąć się przez powstały otwór i odryglować drzwi od środka.

Po godzinach żmudnego kucia kamienia w końcu udało się zrobić odpowiedni otwór. Najchudszy w tym towarzystwie Weiss przecisnął się pod drzwiami i otworzył je. Z kolejnymi pięcioma poszło już stosunkowo łatwo. Zamków co prawda i tu nie udało się otworzyć, ale wyważanie lub wybijanie kamiennych belek z boków okazało się i tym razem skuteczne. Dobrze nad ranem, choć jeszcze przed późnym jesiennym świtem, cały zespół włamywaczy stanął przed żelaznymi skrzyniami kryjącymi królewskie precjoza. Mistrz Lang już w miarę łatwo przepiłował zawiasy, wszyscy zabrali szkatuły do powozu i bez otwierania wywieźli je czym prędzej do krakowskiej siedziby von Hoyma.

Część szajki została na miejscu, by ukryć ślady włamania. Najwyraźniej dość skutecznie, skoro sprawa wyszła na jaw dopiero po kilku miesiącach, kiedy władzę w Krakowie, na mocy traktatu rozbiorowego, przejęli Austriacy. A nastąpiło to zaledwie trzy miesiące później, 5 stycznia 1796 r.

NIECHCIANE MIECZE... SPOD GRUNWALDU

Kiedy odkryto ślady włamania, nowy austriacki gubernator miasta zwrócił się do rady miejskiej o przysłanie specjalnej komisji, która oszacuje straty. Austriacy nie chcieli najwyraźniej być oskarżeni o rabunek. Kiedy ksiądz Sierakowski otworzył pierwsze drzwi, przed oczami delegatów rozciągał się obraz kompletnie zdemolowanego skarbca – porozbijane drzwi, otwarte skrzynie, poprzecinane skoble, na podłodze walało się kilka dokumentów... Najciekawsze, że leżały na niej też dwa żelazne miecze, na pierwszy rzut oka dość zwyczajne, nieprzedstawiające większej wartości. Dopiero po chwili ktoś stwierdził, że istotnie nie miały wartości jubilerskiej, jednak pod względem symbolicznym – ogromną. Były to mianowicie dwa miecze grunwaldzkie, przysłane przed bitwą przez wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena Władysławowi Jagielle; noszone później przed królem, stały się symbolem Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Po oszacowaniu strat ustalono, że ze skarbca zniknęło w sumie 120 przedmiotów różnej wartości. Za najważniejszą uznano tzw. koronę Chrobrego, którą nakładano na głowy monarchów, począwszy od Władysława Łokietka (20 stycznia 1320 r.). Nie wspominając o wartości symbolicznej i historycznej, było to blisko półtora kilograma czystego złota, ozdobionego 300 kamieniami szlachetnymi i 80 perłami. Prusacy skradli też cztery inne korony: królowych, węgierską – przywiezioną przez Stefana Batorego, szwedzką – dynastyczne insygnium Wazów, oraz tzw. homagialną, w której królowie przyjmowali hołdy. Łupem włamywaczy padły ponadto m.in. cztery berła, pięć jabłek i najsłynniejszy polski miecz – Szczerbiec. Poza tym relikwiarze, pasy rycerskie i mnóstwo drobniejszych przedmiotów – cennych, ale nie bezcennych. Jak ustalono, wszystko to błyskawicznie wywieziono z mieszkania von Hoyma i drogą przez Śląsk, Koźle i Wrocław dostarczono do Berlina.

TAJNE PRZETAPIANIE

Von Hoym był raczej sumiennym poddanym swojego króla, sporządzony kilka lat później inwentarz odnotowuje właściwie wszystkie te przedmioty. A nawet więcej, bo w spisie znalazła się również tzw. korona moskiewska – ona jednak trafiła do Berlina uczciwie, jako zastaw za pożyczkę udzieloną królowi Janowi Kazimierzowi na prowadzenie wojny ze Szwecją. Tak czy inaczej nie można wykluczyć, że szkatuły z regaliami zostały otwarte dopiero po dotarciu na dwór pruski. Fryderyk Wilhelm II nie miał już jednak oporów w dość swobodnym traktowaniu królewskiego łupu. Rok później przebywający w Berlinie Feliks Łubieński zauważył na szyi królowej Luizy Pruskiej naszyjnik zrobiony z drogocennych kamieni, pochodzących z którejś z koron. Istotnie, wspomniany inwentarz wzmiankuje, że część przedmiotów pozbawiona była ozdób ze szlachetnych kamieni.

Nie ma raczej wątpliwości, że Fryderyk Wilhelm II zlecił rabunek nie po to, by wejść w posiadanie symbolicznych insygniów polskiej władzy, lecz z powodu ich wartości jubilerskiej. Dopóki skarbiec pruski był pełny, ani on, ani jego następca Fryderyk Wilhelm III nie musieli ich spieniężać. W każdym razie z pewnością były w Berlinie jeszcze w roku 1800, bo książę Sussex August Fryderyk potwierdzał Julianowi Ursynowi Niemcewiczowi, że

eprasa.pl efefd978f4

widział je tam, a jedną z koron nawet przymierzył. Czasy były jednak bardzo niespokojne. Wojny z Francją i kompletna porażka w nich Prus pokazały słabość państwa i wskazały na pilną konieczność reform – zwłaszcza zaś reformy armii. Zrozumiał to nawet Fryderyk Wilhelm III, którego, nie bez racji, prof. Mieczysław Żywczyński nazywał powściągliwie władcą „ograniczonym". Ale reformy nie były jedynym kosztem, który opustoszył berliński skarbiec. Porażka w wojnie z Francją oznaczała konieczność wypłacenia ogromnej kontrybucji. Mówiąc krótko, w pierwszej dekadzie XIX w. Berlin bardzo gwałtownie zaczął potrzebować gotówki. I to właśnie przypieczętowało los polskich regaliów.

Na początku 1809 r. pruski władca zlecił oszacowanie ich wartości jubilerskiej. Wyszło na to, że klejnoty warte są *525 259* talarów – była to spora kwota, ale w skali państwa mogła wystarczyć na stosunkowo niewielkie bieżące wydatki. Zresztą już to, że sto lat wcześniej, pod zastaw jednej tylko korony, uzyskano pożyczkę 300 tys. talarów, wyraźnie pokazuje, że wartość symboliczna całego skarbu była nieporównywalnie wyższa. Fryderyk Wilhelm III nie był jednak władcą dalekowzrocznym i zamiast zaproponować kupno całości lub części wawelskiego skarbca choćby Rosji – zawsze roszczącej sobie prawa do tronu polskiego, a bardzo wówczas zamożnej – zadecydował, by królewskie insygnia po prostu przetopić. Dwie dekady później, w związku z koronacją Mikołaja I na króla Polski, istotnie Petersburg zabiegał o symbole polskiej władzy. Wówczas było już na to za późno.

Przetopienie nastąpiło w Królewcu 17 marca 1809 r., przy zachowaniu całkowitej tajemnicy. O całej operacji wiedział właściwie tylko król i absolutnie najbliższe otoczenie, a nadzorował ją tajny minister stanu von Altenstein. Początkowo przetopiono je po prostu na bryły złota, następnie zaś w lipcu tego roku król kazał wybić z niego monety. Jeśli więc jakiś numizmatyk jest dziś w posiadaniu pruskich talarów z 1809 r., z dużym prawdopodobieństwem są one wybite ze złota z polskich koron.

SKANDALU NIE BYŁO

Cała sprawa mogła się skończyć poważnym skandalem dyplomatycznym, bo istniało już wówczas, utworzone pod patronatem Napoleona Księstwo Warszawskie – małe i krótkotrwałe, ale zaskakująco dynamiczne i sprawnie zarządzane państewko. Już w 1807 r. Francja zobowiązała Prusy m.in. do zwrotu zrabowanych insygniów do Warszawy, do negocjacji w tej sprawie upoważniono ze strony polskiej ministra Józefa Kalasantego Szaniawskiego. W tym momencie istniała realna szansa na ich odzyskanie. Ze strony urzędników Księstwa Warszawskiego nie było tu żadnego zaniedbania. Intendent armii napoleońskiej, książę Daru, był zasypywany żądaniami w tej sprawie. Kłopot polegał jednak na tym, że powstawał w tej sytuacji wyraźny konflikt interesów. Polacy chcieli zwrotu symboli władzy, książę Daru zaś pieniędzy, ogromnych kontrybucji nałożonych na Prusy, których francuska armia, szykująca się wszak do wyprawy na Rosję, bardzo potrzebowała. Nic też dziwnego, że negocjacje w tej sprawie ciągnęły się w nieskończoność. Francuzi nie naciskali na Prusaków, tym bardziej że formalny władca Księstwa, król saski Fryderyk August I, nie zabierał w tej sprawie głosu.

> Największym zabezpieczeniem skarbca była tajemnica. Bardzo niewiele osób wiedziało, gdzie właściwie znajdują się jego pomieszczenia i jak dotąd fakt ten skutecznie chronił jego zawartość. W Krakowie buszowali już przecież Rosjanie – plądrując, co się dało. Po nich Prusacy – kradnący, co tylko pozostało. Skarbiec jednak pozostawał nienaruszony. Do czasu

Można wręcz założyć, że to pośrednio Francuzi wpłynęli na decyzję o przetopieniu regaliów – naciskany przez nich Fryderyk Wilhelm III mógł poczuć nóż na gardle i pozyskał pieniądze w taki, a nie inny sposób. Prusacy grali więc na zwłokę i, jak się okazało, była to z ich strony dobra strategia. Z pewnością sprawa nie posuwała się naprzód do 1811 r., skoro wtedy właśnie temat powrócił podczas sesji Rady Stanu. Rok później Napoleon wyruszył na Rosję i nikt nie zawracał sobie głowy polskimi skarbami, po trzech latach zaś Napoleon został pokonany, a wraz z nim upadło Księstwo Warszawskie.

LEGENDY DLA POSZUKIWACZY

Od tamtego czasu narosło wiele legend wokół polskich insygniów królewskich, będących dziś pożywką dla poszukiwaczy skarbów czy autorów powieści historycznych. Według jednej wersji polscy mnisi mieli wynieść zawartość skarbca przed rabunkiem i ukryć gdzieś na Wołyniu, choć nie brakuje też wersji o odnalezieniu ich przez Niemców w czasie II wojny światowej i ukryciu w Więcławicach, Myśliborzycach, pod Elblągiem czy w Kłodzku. Ktoś twierdził nawet, że koronę Chrobrego znalazł Józef Piłsudski i chciał w odpowiednim momencie koronować się na króla Polski. Cóż, legendy żyją swoim życiem. Bezsporne fakty są takie, że w 1836 r. król pruski przyznał się carowi do zniszczenia polskiego skarbu. Ocalały jedynie miecze grunwaldzkie, a także Szczerbiec – w oczach Prusaków bezwartościowy kawałek żelaza. I nie ma znaczenia, że nie był to ten sam miecz, który Bolesław Chrobry wyszczerbił na bramie Kijowa – ten zniknął z Polski już około roku 1300. Ocalały Szczerbiec należał do Władysława Łokietka, dokumentuje więc duży kawałek historii Polski.

No i kto wie... Może ocalała też gdzieś oryginalna korona Chrobrego? Pięć lat po śmierci króla, w 1031 r. wywiozła ją do Niemiec żona Mieszka II, Rycheza. Ta przetopiona przez Prusaków, podobnie jak Szczerbiec, należała do Łokietka. Może więc jest jednak czego szukać.

eprasa.pl efefd978f4

Kryzys Europy

Obecny kryzys naszego kontynentu prowokuje pytanie: czy Europa przetrwa? Odnosi się ono naturalnie do jej kultury. Można by rozszerzyć tę kwestię, pytając: czy przetrwa Zachód?



BRONISŁAW WILDSTEIN

Tak postawione pytanie obudzi protest tych, którzy uznają, że jest ono wyrazem staromodnego, esencjalistycznego traktowania cywilizacji i wyrasta z nieporozumienia. Kultury ewoluują, a ich europejski wariant ewoluuje wyjątkowo dynamicznie, co więcej, uznać można, że jego differentia specifica polega właśnie na zdolności do samokwestionowania się, co nieuchronnie prowadzi do stanów napięcia zwanych kryzysami, które wyrastają z niedostosowania tradycyjnych form do nowych wyzwań. W konfrontacji z nimi ujawniają się wewnętrzne sprzeczności istniejącego ładu, a ich przezwyciężenie daje początek jego nowej wersji. Przy takim ujęciu obecna odsłona tego procesu świadczy paradoksalnie o żywotności kultury europejskiej, dla której kryzys jest stanem naturalnym.

Należałoby się zgodzić z poglądem, który uznaje samokrytycyzm, a więc samokwestionowanie się za dystynktywną cechę kultury europejskiej. Wewnętrzne napięcia stosunkowo często przybierają w niej postać kryzysu, a jego przezwyciężanie byłoby jej stałym zadaniem.

Niemniej stan obecny jest czymś wyjątkowym. Żyjemy w dobie dominacji ideologii, która zakłada, że stanowi wyższy etap rozwoju człowieka. W umiarkowanej wersji traktuje dotychczasową europejską kulturę jako rodzaj drabiny, która służy wspięciu się na obecny poziom, by następnie odrzucić ją jako niepotrzebny już sprzęt. Generalnie jednak uznawana jest przez obowiązującą ortodoksję za opresyjny, patriarchalny model, który należy przezwyciężyć i zanegować.

Kontestacja przełomu lat 60. i 70., wspominana z nostalgią przez obecny podstarzały europejski establishment, określała się jako „kontrkultura". Chodziło o opozycję do kultury oficjalnej, ale tytuł ten oddawał także głębsze nastawienie ówczesnych buntowników, którzy odrzucali rudymenty naszej cywilizacji. Dziś karierę robi wprowadzone w Stanach Zjednoczonych hasło „cancel culture", czyli wezwanie do unieważnienie tradycyjnej kultury, która ma nie spełniać oczekiwań współczesnych idealistów. Choćby te slogany wskazują, że nie chodzi o zakwestionowanie niektórych części składowych istniejącej kultury. Chodzi o odrzucenie jej w całości, a więc unieważnienie tego, czym dotąd była Europa.

* * *

Panująca dziś nie tylko na naszym kontynencie, lecz na całym kulturowym Zachodzie ideologia emancypacji w przeciwieństwie do swoich poprzedniczek nie ma zamkniętego zestawu świętych ksiąg ani panteonu proroków, którzy ustalili jej ortodoksję. Liczba jej twórców nie jest sprecyzowana i rośnie wraz z liczbą kolejnych tekstów, które składają się na jej korpus. Tworzą go nie tylko szacowne dzieła wyższej myśli, ale i masowa kultura nieomal bez reszty poddana nowoczesnym dogmatom, które wykuwane są zarówno na uniwersytetach, jak i w mediach, w korporacjach prawniczych czy biurokratycznych centrach UE.

Ośrodki nowej ideologii są rozproszone tak jak reprezentowana przez nie władza i nie mieszczą się w politycznej strukturze państwa, co nie znaczy, że są mniej restrykcyjne. Ideologia emancypacji skolonizowała politykę i podporządkowała ją sobie. Koncept liberalnej demokracji oznacza wcielanie w życie zasad nowej ortodoksji i odbiera polityce autonomię. Ma ona służyć tzw. prawom człowieka, które oderwane od jakichkolwiek podstaw stały się narzędziem silniejszych; arbitralnym projektem coraz bardziej totalitarnego systemu przepisów, usiłującego regulować całość życia człowieka. W tej wyłącznie proceduralnej demokracji wybory, jeśli dają zwycięstwo partiom spoza ideologicznie uprawomocnionego establishmentu, są kwestionowane, a ugrupowania, które

eprasa.pl efefd978f4

nie poddają się ideologii emancypacji, są wypychane poza dopuszczalną przestrzeń publiczną i stygmatyzowane jako populistyczne, choćby miały najbardziej klasycznie konserwatywny rodowód, jak PiS czy Fidesz.

* * *

Nowa ideologia nie ma oficjalnej nazwy, a jej istnienie kwestionowane jest przez wyznawców. Uznają oni, że ich poglądy po prostu wyrażają postęp i racjonalność, a więc są intelektualną podstawą uniwersalnej cywilizacji, przeciw której oponować mogą wyłącznie ludzie uwięzieni w tradycyjnych przesądach lub powodowani złymi skłonnościami coraz częściej, zgodnie z dziedzictwem komunistycznego Frontu Ludowego, nazywani faszystami. Stygmat taki delegitymizuje i usuwa z cywilizowanego świata.

Słowem kluczem nowej ortodoksji jest emancypacja, dlatego nazywam ją tak właśnie. Hasło to ma usprawiedliwiać wszelkie przedsięwzięcia w celu jej dokonania. Sugeruje, że dzieje człowieka to droga przez kolejne etapy zniewolenia i alienacji oraz wysiłki w celu ich przezwyciężenia. Obecnie ludzkość osiągnąć miała stopień racjonalności, wyrażający się również w technologicznym postępie, który czyni przedsięwzięcie uniwersalnej emancypacji w pełni możliwym. Wyzwolenie człowieka od tradycyjnych ograniczeń zarówno przyrodniczych, jak i cywilizacyjnych pozwoli mu rozwinąć skrzydła i doprowadzi do jego samorealizacji.

Pojęcie „ideologia", jak wszystkie tego typu słowa, używane bywa w bardzo szerokim zakresie, np. jako dowolny zestaw w miarę spójnych przekonań. Powoduje to, że traci ono jakąkolwiek przydatność. Wróćmy więc do jego genezy i uznajmy je za zjawisko charakterystyczne dla epoki nowożytnej. Przyjmijmy, że jest to system poglądów jednoznacznie wyjaśniający całość egzystencji człowieka, jego przeszłość, teraźniejszość oraz przyszłość, który stanowić ma fundament budowy nowego, przez swoich wyznawców uznawanego za optymalny, modelu życia społecznego. Podejście takie faktycznie sprowadza istnienie człowieka do tu i teraz i jest świeckim ersatzem religii, którą traktuje jako swoją główną rywalkę.

* * *

Kultury, które znamy, wyrastają z religii i w istotnym sensie są przez nie determinowane. Podobno współczesna kultura europejska jest jej nowym wcieleniem wyzwolonym wreszcie od religii. Tradycyjnie dominujące na naszym kontynencie i fundujące jego wspólną cywilizację chrześcijaństwo znalazło się dziś na cenzurowanym. Oficjalnie religia ma być sprawą prywatną, czyli zostaje zepchnięta do sfery intymnej, właściwie wstydliwej, o którą nie wypada nawet pytać. Podejście takie oznacza anihilację religii. Nie ma prywatnej religii, tak jak nie ma prywatnego języka. Najszerzej zdefiniować można ją jako stosunek człowieka do rzeczywistości nadprzyrodzonej. Przenika ona całość ludzkiej egzystencji. Wyobrażenie więc, że można religię zredukować do rodzaju wewnętrznego sentymentu jest gruntownym nieporozumieniem, ale w obecnej Europie ma charakter celowego zabiegu, który zmierza do jej unicestwienia. Człowiek jest istotą społeczną, taki charakter ma jego system porządkowania rzeczywistości nazywany cywilizacją. Religia, której nie może dać wyrazu w życiu zbiorowym, musi obumierać.

Współczesny Zachód jest nie tyle areligijny, ile antyreligijny, a przede wszystkim antychrześcijański w konsekwencji panującego w nim nowego, świeckiego wyznania.



* * *

Powszechnie przyjmowane jest, że Europa, a więc jej kultura, oparta jest na trzech fundamentach: greckiej racjonalności, rzymskim prawie oraz chrześcijańskiej religii. Ich podstawowym założeniem jest przyjęcie wyrastającego z elementarnych intuicji określonego ładu rzeczy, a więc i ich natury. W innym wypadku nie byłaby możliwa ani działalność poznawcza, ani praktyka życiowa człowieka, która oznacza rozpoznanie warunków jego egzystencji i dostosowanie się do nich, a więc również przetwarzania w ramach ludzkich możliwości. Gdyż tradycja ta zakłada poznawcze oraz twórcze limity.

Na frontonie świątyni Apollina w Delfach, najważniejszego sanktuarium greckiego, wykuta była maksyma: „Poznaj samego siebie". Oznaczała ona: rozpoznaj swoje granice, uświadom sobie, że nie jesteś bogiem. Największym grzechem człowieka była hybris, pycha, wyobrażenie, że jest w stanie

eprasa.pl efefd978f4



bogom dorównać. Postawa taka ściągała na człowieka tragedię. Pycha jest pierworodnym grzechem inicjującym ludzkie dzieje również w Starym Testamencie, który chrześcijaństwo przejęło od swoich judaistycznych poprzedników. Ludzie kuszeni przez szatana zjadają owoc wiadomości z drzewa poznania dobra i zła, aby być równi Bogu, co ściąga na nich niekończące się w historii cierpienie. Znamienne, że wyobrażenie pierworodnego grzechu, który polega na próbie zastąpienia bogów i sprowadza na ludzi nieuniknione nieszczęście, jest powszechne w różnych religiach i mitologiach.

Świadomość ograniczenia przekładała się na wszelkie formy działalności człowieka. To Pitagoras miał powiedzieć, że jest tylko filozofem (miłośnikiem mądrości), gdyż mądry może być tylko bóg. Tak jak ludzki rozum trafiał na limity, które określane były przez przekraczającą go mądrość, tak i prawo, a więc porządek społeczny musiał odwoływać się do sprawiedliwości, a ta wyrastała z metafizycznego ładu rzeczy i ich natury. Ludzką ambicją było jego odkrywanie i dostosowanie do niego struktury politycznej. Konsekwencją było także poczucie świętości, a więc tajemnicy świata. Niosło ono z sobą uznanie nieprzeniknioności naszych losów dla nas samych, a więc i niezdolność do pełnego nimi sterowania. To dlatego nie jest możliwe zbudowanie utopii, a więc samozbawienie człowieka.

W chrześcijaństwie poczucie jego ułomności (grzeszności), a więc i ograniczeń, ujawniało się wyjątkowo mocno. Królestwo Chrystusa było nie z tego świata, a wyobrażenie, że można stworzyć raj na ziemi było herezją. Człowiek miał obowiązek realizować Boską wolę w swoim życiu, służyć temu miał głównie Kościół, ale musiał godzić się z niedoskonałością doczesności.

Nie znaczyło to potępienia świata. W kulturze europejskiej, w tym w chrześcijaństwie, dominowała afirmacja: Bóg stworzył dobro i wprawdzie człowiek skaził je grzechem, ale pomimo swoich ograniczeń mógł czynić świat swoim domem, tyle że bez złudnych nadziei budowy porządku doskonałego.

* * *

Nowoczesność doprowadziła do zaprzeczenia ideom, które stanowiły o tożsamości Europy. Racjonalność przerodziła się w pychę indywidualnego rozumu, który sam dla siebie ma ustanawiać miary i prowadzić do ostatecznych rozstrzygnięć. Paradoks tego podejścia widać na przykładzie jego klasyka, czyli Kartezjusza.

Po to, aby uzyskać wiedzę bezsporną, filozof odrzucił tę, która istniała wcześniej, a więc dostępną człowiekowi. Niemożliwej dla człowieka pewności nie był w stanie osiągnąć, natomiast w sensie czysto racjonalnym potrafił podważyć wszelkie dane, jakimi posługujemy się w procesie uzyskiwania wiedzy. Zamiast pewności osiągnął więc jej zaprzeczenie.

Kartezjusz wierzył, że drogą czysto racjonalnej spekulacji jest w stanie osiągnąć nieomylne poznanie. Okazało

eprasa.pl efefd978f4

się, że podstawy takiej czysto racjonalnie osiągnąć nie sposób, a z przyjętej metody pozostało wyłącznie wątpienie, które kwestionuje zarówno Boga, jak i świat oraz stawia pod znakiem zapytania sam proces poznawczy.

Nieodparta wiedza, która miała wyniknąć z racjonalnego wglądu, zakotwiczyć miała człowieka w rzeczywistości pewnej i dać niewzruszony fundament obiektywnego poznania. Zamiast tego czysto racjonalna spekulacja odrealniła świat, a jako pewnik pozostawiła wyłącznie perspektywę subiektywną, przekształcając się w rodzaj solipsyzmu.

Trudno o bardziej poglądową lekcję klęski racjonalnej pychy człowieka. Nie nauczyła ona jednak niczego następców Kartezjusza, którzy nadal podejmowali jego przedsięwzięcie, prowadząc wyłącznie do zakwestionowania świata i jego reguł, a w konsekwencji do sceptycyzmu, albo arbitralnych i tym bardziej dogmatycznych konstrukcji, które są sceptycyzmu rewersem. Odrzucony został fundament metafizyki, a więc uznanie przekraczającego nas ładu. W ludzkiej wyobraźni świat stał się plastyczną materią, którą możemy dowolnie kształtować. Człowiek we własnym mniemaniu uzyskał Boskie kompetencje i choć szybko okazało się, jak zwodnicze jest to przeświadczenie, trwa przy nim ciągle.

Myślenie, które tak jak kultura musi być przedsięwzięciem wspólnym i wspierać się na wielopokoleniowym wysiłku, rozpadło się na indywidualne i grupowe coraz bardziej ekscentryczne projekty, których głównym imperatywem jest dekonstrukcja myśli je poprzedzających.

* * *

Pycha indywidualnego rozumu wiąże się z zakwestionowaniem społecznej natury człowieka i jego redukcji do jakoby samostwarzającej się monady. W ten sposób anihilowane zostało napięcie stanowiące o dynamizmie kultury europejskiej szczególnie wyraźne w chrześcijaństwie. Odwołujący się do niego myśliciele nigdy nie kwestionowali społecznej natury człowieka, uznając jednocześnie, że nie może on zostać zredukowany do żadnej ze wspólnot, które konstytuują jego tożsamość. Zgodnie z chrześcijaństwem został on stworzony na obraz i podobieństwo Boga i ostatecznie indywidualnie złoży mu rachunek ze swojego życia, rachunek, który jest warunkiem jego zbawienia albo potępienia. To chrześcijaństwo kazało postrzegać jako bliźniego każdego człowieka, co było realnym postępem w stosunku do partykularnej etyki określonych zbiorowości. Uniwersalizm chrześcijańskiej etyki i partykularyzm bytowania człowieka stanowiły nigdy do końca nierozwiązany dylemat, który wyzwalał twórczy pierwiastek w kulturze europejskiej.

> Nowoczesność doprowadziła do zaprzeczenia ideom, które stanowiły o tożsamości Europy. Racjonalność przerodziła się w pychę indywidualnego rozumu, który sam dla siebie ma ustanawiać miary i prowadzić do ostatecznych rozstrzygnięć

Wraz z nowoczesną pychą pojawiło się wyobrażenie indywiduum, którego egzystencja ma wyprzedzać istnienie społeczne. Jego konsekwencją jest mit umowy społecznej, który pociąga za sobą kolejny, czyli wizję przedspołecznej egzystencji człowieka w stanie natury. Stanowi ona wyjściową ideę politycznej doktryny liberalizmu. Zakłada, że legitymacją systemu politycznego musi być powszechna, rozumna akceptacja rządzonych. Chodziło o rodzaj eksperymentu myślowego, który ma jednak stać się fundamentem uprawomocnienia ludzkich porządków.

Umowa społeczna zakładać musi, że podmiotem politycznym jest w pełni racjonalna jednostka, która kształtuje rzeczywistość zgodnie ze swoimi potrzebami. W rzeczywistości ludźmi stajemy się, absorbując stwarzającą nas kulturę, bez której nie bylibyśmy w stanie rozwinąć ludzkich jakości. Jako osoby ludzkie wyrastamy więc ze wspólnoty.

Idea umowy społecznej odsłania indywidualistyczną antropologię i umowność owych jakoby bezwzględnych racjonalnych rachunków, których dokonują jej twórcy, chociaż ich rezultaty różnią się zasadniczo.

Odmienność ta jest jednym z argumentów na rzecz tego, że sama racjonalność nie jest w stanie się ufundować, gdyż odwołując się do różnych, przedracjonalnych założeń, uzyskać możemy radykalnie inne, choć równie uzasadnione wnioski.

Racjonalne postępowanie człowieka to działanie na rzecz jego dobra. Co nim jednak jest? Utylitaryzm założył, że można je jednoznacznie określić, zestawiać i sumować, aby na podstawie tych wyliczeń zbudować w pełni przejrzysty system, który rozstrzygnie wreszcie dylematy moralne i zaoferuje algorytmy właściwego postępowania. W rezultacie wywołał chaos sprzecznych koncepcji i nieznany wcześniej etyczny węzeł gordyjski. Remedium nań nie okazał się ani oderwany od doświadczenia ludzkiego maksymalistyczny projekt Kanta, ani pokrewne mu kolejne równania moralnej arytmetyki.

* * *

Idea umowy społecznej sprowadza funkcjonowanie zbiorowości do kontraktu zawieranego ze względu na indywidualną korzyść. Neguje więc jakąkolwiek wspólnotę i prowadzi do anomii, rozpadu społecznych więzi i kreuje oraz apoteozuje mentalność narcystyczną.

Poczucie jedności losu i interesu musi więc zastąpić formalnymi procedurami, czyli prawem, które stać się ma jedyną metodą organizacji ładu społecznego, co skutkuje ambicjami utopijnymi. Prawo usiłuje regulować wszelkie sfery ludzkiego istnienia: pożycie intymne i rodzinne, całość rela-

eprasa.pl efefd978f4

cji między pracodawcą a pracobiorcą, wszystkie nasze zachowania, wypowiedzi i postawy. W efekcie przejawia coraz bardziej totalitarne skłonności i staje się narzędziem inżynierii społecznej, która konstruować ma nowego człowieka.

Prawo zastąpić ma obyczaj, etykę oraz rynek i stać jedynym systemem regulacji zachowań człowieka. Jednocześnie, siłą rzeczy, odrywa się od idei sprawiedliwości i powszechnych intuicji etycznych. Odwołuje się do wywodzonych ad hoc kolejnych praw człowieka, których główną troską ma być dbałość o dowolnie kreowane mniejszości. Prawo takie staje się narzędziem ideologii emancypacji.

Skoro jednak znikły obiektywne zasady sprawiedliwości utraciło ono fundament. Wprawdzie doświadczenia totalitaryzmów, zwłaszcza nazizmu, doprowadziły do zakwestionowania radykalnej wersji klasycznego pozytywizmu prawnego, a jego współczesny chyba najbardziej uznany rzecznik, jakim był Herbert Hart, zadeklarował, że jeśli społeczeństwo nie chce być klubem samobójców to jego system normatywny musi uwzględniać minimum prawa natury, ale skąd je wziąć skoro zanegowaliśmy metafizykę i porządek natury?

Najbardziej dobitną egzemplifikacją tego stanu rzeczy stały się prawa człowieka. Wyrastały z prawa natury, jednak po jego zakwestionowaniu utraciły jakikolwiek fundament i stały się koncertem życzeń wpływowych grup. Podobny proces obserwować możemy w odniesieniu do równie nadużywanej idei godności ludzkiej. Musi ona wypływać z tak czy inaczej pojmowanej świętości życia człowieka. Jak pogodzić ją jednak z dominującym dziś i wyrastającym z ideologii emancypacji hedonizmem oraz zakwestionowaniem aksjologicznego porządku? Jak zharmonizować z aborcją traktowaną jako prawo człowieka? Jeśli przyjmujemy, że aby zostać za niego uznanym, należy spełniać określone kryteria, a tym jest założenie, że embrion, a nawet rodzące się dziecko człowiekiem jeszcze nie jest, to otwieramy przestrzeń arbitralności, w której można odmówić człowieczeństwa ludziom upośledzonym lub chorym umysłowo.

* * *

Nasza jakoby niezwykle racjonalna epoka bez przerwy odwołuje się do fetyszów i tabu. Wątpliwości co do liberalnego porządku na zasadzie równi pochyłej prowadzić mają do faszystowskiego piekła, a więc odwołanie do patriotycznej tożsamości oraz męskich cnót otoczone zostały tabuistycznym lękiem. Fetysz stanowią prawa człowieka, jego godność, wolność, a także demokracja, tolerancja, pluralizm czy otwartość. Okazało się, że uczynienie z nich liberalnych totemów nie tylko wydrążyło je z treści, ale zaprzeczyło ich podstawowemu sensowi.

Ambicją emancypacyjnej ideologii jest wyzwolenie człowieka z wszelkich tradycyjnych tożsamości: od religijnej, kulturowej i narodowej począwszy, a na rodzinnej oraz płciowej skończywszy. Wyższy stopień ewolucji, który w ten sposób mieliśmy osiągnąć, okazał się narcystyczną samotnością bezbronną wobec presji grup interesu, rolą doskonałego klienta zarówno towarów, jak i ideologii

Wolność znaczyć zaczęła wyswobodzenie się z cywilizacyjnego kontekstu. Emancypacja doprowadziła do odarcia człowieka z kulturowej formy i wydania go na łup popędów. Czy uwolnienie zmysłowej, animalnej strony naszego bytu uznać można za wolność czy jej zaprzeczenie?

Ambicją emancypacyjnej ideologii jest wyzwolenie człowieka z wszelkich tradycyjnych tożsamości: od religijnej, kulturowej i narodowej począwszy, a na rodzinnej oraz płciowej skończywszy. Wyższy stopień ewolucji, który w ten sposób mieliśmy osiągnąć, okazał się narcystyczną samotnością bezbronną wobec presji grup interesu, rolą doskonałego klienta zarówno towarów, jak i ideologii.

Demokracja, która ma regulować wszystkie sfery życia, prowadzi do destrukcji edukację, uniwersytety i wyższą kulturę, w polityce zastąpiona została przez swoje „liberalne" wcielenie, które okazuje się ideologiczną oligarchią.

Tolerancja oznacza wykluczenie z przestrzeni publicznej idei niezgodnych z dominującą ortodoksją, które w ramach walki z mową nienawiści są zwalczane i penalizowane. Otwartość to zamknięcie na krytykę obowiązujących dogmatów, a pluralizm to wielość identycznych poglądów, postaw i zachowań.

Europa współczesna świadomie odcięła się od fundującej ją kultury, napiętnowała ją i odrzuciła. W konsekwencji jednak zaprzeczyła ideałom, które osiągnąć miała jej nowa wyemancypowana wersja. W efekcie żyjemy w świecie, który odmawia przemyślenia i zrozumienia siebie i więźnie w kolejnych sprzecznościach. Można odnieść wrażenie, że podstawowym intelektualnym wysiłkiem Europy jest mistyfikacja tego stanu. Postawę tę pamiętamy z epoki komunizmu, który za wszelką cenę usiłował bronić ideologicznej legitymacji, chociaż praktyka przeczyła jej w całej rozciągłości. Zarówno wtedy, jak i dziś działo się tak w interesie warstwy rządzącej i tak jak wtedy trudno wyobrazić sobie, aby długo udało się utrzymać ten stan rzeczy. Nie sposób jednak przecenić jego destrukcyjnych konsekwencji.

(Wystąpienie na konferencji „Duchowy stan Europy" zorganizowanej przez EKR)

eprasa.pl efefd978f4

3 MIŁOŚCI

Mówić bez słów



ROBERT TEKIELI

Czy istotne jest, co góruje nad naszą codzienną przestrzenią? Czy istotne jest, co nas dominuje?

Uwielbiam jeździć po Polsce bocznymi drogami. Co parę minut trzeba się przeżegnać. Kapliczka, przydrożna figurka. Sacrum. Oswajanie rzeczywistości dobrem. Na wyobraźnię zawsze mocno działał mi stojący przy moim krakowskim Instytucie Geografii romański kościół św. Andrzeja. Ma kilkudziesięciometrową wieżę. Postawiono go w czasach, gdy chaty nie sięgały dwóch metrów. Jakie musiał wywoływać wrażenie? Co, bez słów, mówił do serc mieszkańców nadwiślańskiego grodu sprzed prawie tysiąca lat?

Jadąc bocznymi drogami z rodzinnych Krzepic, do domu, przejeżdżam czasami obok fabryki cementu w Działoszynie. W swoim czasie największy europejski producent pyłu, jedno z większych źródeł zanieczyszczeń na świecie. Jego sylwetka z daleka wygląda jak zamek.

Kiedyś przestrzeń dominowały zamki i katedry. Potem ratusze i pałace. Następnie fabryki z niebotycznymi kominami, dzisiaj wieże telefonii komórkowych.

W Piasecznie, nieopodal urzędu skarbowego, wystawiono pomnik brzydocie. Abstrakcyjne szkaradztwo wbiło mnie w ziemię. Obok przechodzą ludzie. Nie zauważają. Pozornie. Człowiek jest bardzo wrażliwy na symbole i znaki, które dominują jego przestrzeń. Zapadają mu one głęboko w serce. Kształtują wrażliwość na swoje podobieństwo. Cała współczesna „sztuka" jest gwałtem na ludzkości. Człowiek pozbawiony piękna nikczemnieje.

Pomijam teraz „artystów" za dzieła sztuki każących uznawać symbole pogańskich religii. Pomijam też tych, którzy swymi „dziełami" jedynie bluźnią i kaleczą. Myślę dziś o tych, których bezkształtne abstrakcje ranią przestrzenie naszych miast. Są zamiast przedstawień sacrum. Strażnikiem naszej przestrzeni przestaje być dobro.

Zawsze z radością patrzę na łagodne krajobrazy okolic Miechowa czy Tarnowa. To właśnie tutaj wprowadzono po raz pierwszy na naszych terenach nowinkarskie odkrycie – stacjonarną uprawę ziemi. 5 tys. lat rolnictwa zmieniło tamtejszy krajobraz. Powolna, cierpliwa praca kilkudziesięciu pokoleń zmieniła całą przestrzeń. Sochy i brony złagodziły jej kształty. Ale ta organiczna praca nie zdewastowała natury. Nadal jest ona piękna. Kultura nie jest naturze wroga. Kontr/kultura rani naturę i człowieka.

Szkoła ma rozwijać mięśnie intelektu, tak jak sport mięśnie ciała, a asceza mięśnie duszy. Szkoła ma kształcić integralnie rozwiniętego człowieka. Od czasów rewolucji francuskiej tego nie robi. Architekci nowożytnej kultury robią to samo ze sferą symboliczną, sferą ducha. Zniekształcone zostały pojęcia, zniekształcone zostały symbole. A symbol jest zmysłowo dostępnym przedstawieniem rzeczywistości duchowej i świata idei. Dlaczego czytamy Homera, dlaczego nie mamy wątpliwości, że dzieła Szekspira podnoszą naszą duszę? Dlaczego z serca monstrancji wychodzą promienie? Bo tak jest w rzeczywistości. Rzeczywistość niewidzialna. Mówi o tym obraz namalowany na życzenie siostry Faustyny. Większość ludzi, zdecydowana większość, odczuwa wielkość sztuki. Dlatego prawdziwe dzieła sztuki potrafią trwać przez wieki. Przez dziesiątki wieków. Przedmioty miałkie, niemówiące nic o rzeczach wielkich zapominane są po chwili. Dlaczego jest największa rzeka na świecie, a nie ma najmniejszej? Tak samo jest ze sztuką.

Wyrzucono chrześcijaństwo z europejskiej konstytucji. Wyrzucając nadprzyrodzone dobro z ulic miast, z serc i telewizorów, nowożytni architekci, kreatorzy współczesnych areopagów, o których pisał Jan Paweł II, kastrują wrażliwość i duchowość kolejnych pokoleń. Rewolucja musi niszczyć. Efektem kultura śmierci. W której jest miejsce na podziw dla brzydoty, przemocy i osobowego zła. Jednak z demonem nie da się grać w trik-traka.

eprasa.pl efefd978f4



WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Parę tygodni temu na Netflixie miała miejsce premiera filmu ***„Poobijana”*** wyreżyserowanego przez Halle Berry, w którym zagrała również główną rolę. Wcieliła się w rolę upadłej gwiazdy MMA, która chwyta się ostatniej szansy, by powrócić na szczyt. Wydawało się, że już zaakceptowała swój bezpostaciowy los na dnie, ale przez przypadek jej gniew, ukrywana z trudem wściekłość eksploduje. Co więcej, w jej życiu pojawia się pozostawione tuż po porodzie dziecko. Obserwujemy zatem to, co zachodnia sztuka lubi najbardziej: opowieść o procesie dojrzewania. O sensie życia nie ma decydować już szczęście czy pech, ale sama bohaterka. Na przekór wszystkim w nią wątpiących.

Berry nie pozostawia wątpliwości, że jej Oscar za aktorstwo nie jest dziełem przypadku. Choć w „Poobijanej” nie wspina się na szczyt swoich możliwości, to mistrzostwem świata jest sposób, w jaki oddała bliski katatonii stan człowieka, który jest przekonany, że przegrał życie.

Genialna jest też walka. Wielki szacunek dla Halle Berry. Nie ma puszczonej sekundy. Starcie jest absolutnie wiarygodne. Być może wspaniale zamaskowano kaskaderkę, ale nie ma to żadnego znaczenia. Nie widziałem w kinie tak wiarygodnego pojedynku, a widziałem ich tysiące. Na marginesie: mam wrażenie, że dziś wprowadzenie wątku homo, choćby pokątne, jest dla twórców filmowych tym samym, co dla dziennikarzy w czasach PRL zgodna z linią partii oficjałka, która pozwala w kolejnym tekście przemycić choć fragment nieocenzurowanej prawdy o rzeczywistości. Pomijając tę łyżkę dziegciu, reżyserski debiut Halle Berry wypadł nieźle. Lubimy wszak historie z happy endem.

POPKULTURA

Być może Czteroodcinkowy dokument kryminalny Netflixa ***„Zaginięcie Birgit Meier”*** miał premierę również pod koniec listopada. Jest niewyrafinowaną propozycją dla fanów tego gatunku. Jednak w miarę frapującą. Meier poszukiwana jest od ponad 30 lat. Działania niemieckiej policji są tak nieporadne, że nie chce się wprost wierzyć. Totalna niekompetencja i impotencja. Imposybilizm. Gdyby nie to, że zaginiona była siostrą wybitnego policjanta, który po przejściu na emeryturę stworzył nieoficjalny zespół śledczy, nie wyszłyby na jaw nawet podstawowe poszlaki i fakty związane z przestępstwem. Czy zespołowi udało się rozwiązać zagadkę, za którą kryją się cierpienie i niepewność, a co najgorsze nadzieja, że jednak może nie stało się to, co ostateczne? Tego nie zdradzę. Jednak puenta miniserialu mnie zaskoczyła.

POPKULTURA

Być może Piszę o tej fabule z jednego powodu. Jest nim ukazanie naprawdę wyjątkowej sceny seksu człowieka z wróżką. ***„Carnival Row”*** to opowieść o seryjnym mordercy polującym na bajkowe istoty, które uciekając przed inwazją potężnego imperium, trafiły do miasta będącego odpowiednikiem Londynu z końca XIX w. Sam pomysł umieszczenia faunów oraz wróżek z motylimi skrzydłami w darwinowskim środowisku bezwzględnego miasta ma swoje plusy, urealnia nierzeczywiste, no i ma dodatkową zaletę. Ten świat jest rasistowski do głębi, jak rasistowska była do czasu rewolucji obyczajowej Wielka Brytania. Michael Caine powiedział swego czasu, że ze swoim pochodzeniem jeszcze dziesięć lat wcześniej nie byłby w stanie rozpocząć filmowej kariery.



Będące osią serialu śledztwo nie generuje napięcia, jak choćby w „Ripper street”. Lecz w pewnym momencie opowieść zaskakuje. Staje się dramatyczną konfrontacją. Zderzeniem postaw. Wyborem pomiędzy własną kastą i uczuciem. Oraz chyba osobistym szczęściem.

Serialowego potwora ściga Orlando Bloom, do jego gry nie można mieć zastrzeżeń. Reszta aktorów stanowi dla niego jedynie tło – poza Bloomem nie zapamiętałem ani jednej z aktorskich kreacji. A wyraziste postaci są solą każdej fabuły. Więc jak piszę: niekoniecznie.

Robert Tekieli, *Polskie Radio*

rasa.pl 78f4



Podworskie

Ta opowieść o dramatycznym czasie reformy rolnej łączy, zamiast dzielić, mieści doświadczenia wszystkich stron

Wojciech Stanisławski

Fakty niby są znane: dekret PKWN o reformie rolnej z września 1944, coraz bliższa perspektywa wejścia Sowietów, ale przecież i swoich, tych z czworaków; wydziedziczenia, parcelacji, może samosądu? Po kilku latach wyrosła z tego propagandowa opowieść o szczęśliwych, obdarowanych przez władzę ludową włościanach i bezradnych bezetach Bęc-Walskich: na plakatach i płótnach aż jasno było od wąsatych uśmiechów, sojusz robotniczo-chłopski kwitł. Druga opowieść była szeptana: o ucieczce z jedną walizką, ubeckim areszcie, drzewach zrąbanych w parku. Z tych dwóch opowieści i dwóch pamięci, jednej narzucanej, drugiej zakazanej, wyrastały bujnie resentymenty, truskawki z Milanówka krzywiły się na kalarepę z Wołomina.

Po 1989 na pozór wszystko się odwróciło: „panowie" nie wrócili do majątków, osiedli w mieście od dwóch pokoleń, a ich wnuki działają zwykle w KIK-ach, aż furczy, ale opowiedzieli wreszcie swoją historię, nieco tylko mniej tragiczną niż w wariancie sowieckim: wywłaszczenia, wykarczowanych alej lipowych, krzywdy. Jak się jednak okazuje, wiele pozostało jeszcze do opowiedzenia: cała właściwie społeczna i kulturowa sfera wielkiej przemiany.

Ten wysiłek podjęła socjolog Anna Wylegała – autorka wcześniejszej pracy naukowej o pojałtańskich przesiedleniach ze znaczącym podtytułem „Studium (nie) pamięci społecznej". I nakreśliła szczegółowy, sproblematyzowany obraz wydarzeń i przemian na wsi podworskiej, pracując na próbce tuzina dawnych dworów województwa kieleckiego: Bieganów, Gierczyce, morstinowskie Pławowice...

Już samo uporządkowanie faktów, przypomnienie różnych ówczesnych stron i interesów wiele wnosi do obrazu tamtego czasu, który często rysowany jest czarno-biało: ziemianie–chłopi. Wylegała przypomina nieoczywiste podziały polityczne, emocjonalne i społeczne. Nawet w „rządzie lubelskim", zdecydowanym na wywłaszczenie, nie było jednomyślności co do formuły reformy rolnej. Fachowcy w urzędach ziemskich, świadomi, że ziemi i tak nie starczy dla wszystkich, chcąc uniknąć mnożenia karłowatych gospodarstw, starają się wyłączyć dwory spod parcelacji i zachować je jako majątki państwowe. PPR ze swym zbrojnym ramieniem w postaci KBW, MO i UB usiłuje rozdać ziemi jak najwięcej, kalkulując, że w ten sposób zyska klientelę polityczną (i wspólników w rabunku). Ten konflikt rozgrywa się na samych szczytach: minister rolnictwa i reform rolnych bezradnie apeluje do ministra bezpieczeństwa publicznego, by ten powstrzymał samowolę podwładnych.



Anna Wylegała, „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce", Czarne, 2021

Na niższych szczeblach chaos naturalnie narasta: poszczególne wsie spierają się o nadziały, „jakobini z czworaków" kwestionują kompetencje urzędników, czasem zaś komitet folwarczny wybiera ziemianina na przewodniczącego, a i na sekretarza PPR by go nominował. Czasem, mimo tragicznego wymiaru wydarzeń, sytuacja nabiera cech groteski: o dwór we wspomnianych już Pławowicach zmagają się nie tylko urząd ziemski i chłopi, ale też oddział komunistycznej partyzantki, wspierający tych ostatnich, oraz Związek Literatów Polskich, który chciałby go przejąć na dom pracy twórczej. Między wiecującymi chłopami, partyzantami „Kotła" (który ostatecznie zaciągnie się do UB), pisarzami a administratorem przechadza się zaś melancholijny Leopold Staff, który schronił się tu po powstaniu warszawskim.

To jednak tylko rama historyczna, którą Anna Wylegała wypełnia opowieścią o społecznym i kulturowym wymiarze dokonanej reformy. O szoku, jakiego doznali ziemianie (i ich adaptacji do nowego życia), ale przede wszystkim o wstrząsie, jakiego doznała wieś, od stuleci funkcjonująca w trójkącie pan–wójt–pleban. Nagle wyrwano jedną z tych nóg – i świat, aż het, po Wojtkową gruszę, zatrząsł się w posadach. Złożone hierarchie chłopów (samodzielnych gospodarzy), małorolnych „dworusów" oraz służby stają na głowie. A przecież jest jeszcze sam dwór i przestrzeń podworska, i tematu tego nie załatwi się anegdotą o pianinie stojącym w chlewie. Dokąd wędrowały szabrowane rzeczy? Kto zasiedlał dwór, kto przerabiał go na szkołę, a kto z zemsty podpalał? I jak długo postrzegano jako „dworskie" (więc stabuizowane): park, klomb, sadzawkę?

Jak o tym opowiedzieć? W tym druga wielkość tej książki: w badaniu nie tylko

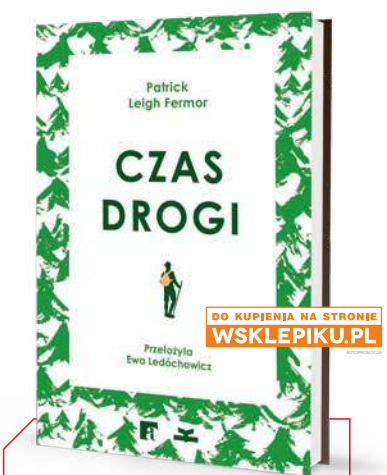
eprasa.pl efefd978f4

twardej faktografii, lecz i przemian pamięci. To praca socjologiczna, historyczna, ale i z zakresu pamięcioznawstwa (to niezłe spolszczenie „memory studies") z całym swoistym dla niego warsztatem badawczym: czytaniem źródeł narracyjnych, osobistych, zarówno tych z epoki (dzienniki, wspomnienia, ale i nadsyłane na peerelowskie konkursy pamiętniki chłopskie!), jak tych późniejszych, wywoływanych w postaci dziesiątków wywiadów.

Takie ślady pamięci zbiorowej opisuje się w szczególny sposób, nie szukając w nich prostej prawdy historycznej, lecz tego, co zostało zapamiętane, a co wyparte z pamięci – i dlaczego. Do tego potrzeba zrozumienia dla różnego rodzaju strategii, przyjmowanych nie z intencji zafałszowania przeszłości, lecz po prostu dla zachowania spójnej tożsamości grupowej. Badaczka rozumie to, nie potępia ani rugowania z narracji opowieści o przemocy, ani innych strategii służących obronie dobrego imienia własnej grupy.

Ta empatyczna postawa pozwala jej opisać doświadczenie reformy rolnej wszystkich jej uczestników, „nie uprzywilejowując perspektywy ani chłopskiej, ani ziemiańskiej", owszem, poszerzając ją, jak pisze Wylegała, o perspektywę wykonawców reformy. Tak szerokie spojrzenie odróżnia „Był dwór..." od licznych już opowieści o dramacie wysadzonych z siodła ziemian – ale bardziej jeszcze od jednostronnych „historii polskiej emancypacji", przekreślających wszelkie doświadczenie i perspektywę inną od ludowej. Ta opowieść łączy, zamiast dzielić, mieści doświadczenia wszystkich stron. W dzisiejszych czasach jest to dokonanie nie tylko naukowe.

Czas Darów



Patrick Leigh Fermor, „Czas drogi", przełożyła Ewa Ledóchowicz, Książkowe Klimaty, 2021

Uciekanie się do cytatu w miejsce oceny książki uważane jest za poddanie partii przez recenzenta, i słusznie. Ostatecznie, gdyby ta praktyka się przyjęła, czasopisma przedrukowywałyby po prostu wybrane fragmenty nowości księgarskich, oszczędzając w ten sposób gigantyczne kwoty, które przeznaczane są obecnie, jak powszechnie wiadomo, na honoraria autorskie. Ale co robić, kiedy każda próba streszczenia lub prezentacji wydaje się czynić krzywdę omawianemu dziełu? Proszę posłuchać tych kilku poniższych zdań.

„Był to najkrótszy dzień w roku i oznaki typowe dla tego okresu stawały się z godziny na godzinę coraz bardziej widoczne. Każdy przechodzień spieszył do domu z zarzuconym na ramię wysokim, świeżo ściętym drzewkiem jodły; nazajutrz Liebfrauenkirche wciągnął mnie do swego wnętrza właśnie siecią gwiazdkowych dekoracji. Romańską nawę wypełniał tłum, z gotyckich stalli podniósł się w wielkim chóralnym splendorze hymn, a kalafiorzaste kłęby dymu z kadzideł turlały się, goniąc pieśń po skośnych stokach wpadających promieni słońca". Albo to, siedem wersów i pół dnia dalej: „Przycięte do samego pnia ciemne winorośle sterczały ze śniegu jak rzędy szkieletów pięści, które skurczyły się do kwinkunksów zbudowanych z czarnych przecinków i wdrapywały wzdłuż ośnieżonych zarysów winnic [...]. Gdzie sterczące klify były zbyt strome, by zatrzymać śnieg, zarośla otoczyły falbanką krawędzie łupków i wachlarze gałązek oraz chrustów rozszczepiały promienie słoneczne na nieskończenie wiele nitek. Jeszcze wyżej wieże, zębate i niezawodne – zaklinowane między drzewami i obwiązane bluszczem – wystawiały w powietrze naroża naśladujące impet i kierunek grani, na których wysoko usiadły".

To Patrick Leigh Fermor, brytyjski erudyta, żołnierz i obieżyświat: ma 18 lat, błyskotliwy umysł, dalece niekompletne wykształcenie klasyczne i – niechętny zarówno perspektywie systematycznych studiów, jak jałowemu życiu bon vivanta, którego przez chwilę pokosztował – postanawia ruszyć w pieszą wędrówkę, trochę na wzór średniowiecznych żaków. Z Hoek van Holland do Konstantynopola, o ile możliwe, wzdłuż Dunaju. W pojedynkę. W grudniu. Patrząc i pisząc.

Tłumaczka (zresztą świetna!) zdecydowała się przełożyć tytuł oryginału „Time of Gifts" jako „Czas drogi". Nie jest to zły wybór, ale jeszcze pełniej przemawia do mnie prawda o tych miesiącach wędrówki jako o czasie darów. Ten zapis, wydany in octavo, tak by mieścił się w kieszeni spodni lub plecaka, mówi nam oczywiście mnóstwo o Europie połowy lat 30.: Brytyjczyk wędruje przez brunatniejące Niemcy (już z niesmakiem, choć jeszcze bez zgrozy), patrzy na ołtarze, strzechy i kufle, słucha dialektów, brata się i popija, okazjonalnie wystrzeliwując racę erudycji o mocy Saturna V, jak wówczas, gdy w siedmiostronicowej szarży opisuje „zasadę lancknechta", zawierającą, jak twierdzi, istotę kultury południowych Niemiec, Czech, Austrii i Alzacji, ciepłego serca niemieckiego świata: „średniowieczna solidność ozdobiona gęstwą niepasujących renesansowych detali". Lektura jego itinerarium nie przyniesie nam jednak żadnej systematycznej wiedzy o drogach, zabytkach ani polityce. Obdarzy nas za to radością doświadczania świata w jego niepowtarzalnej, nieskończonej urodzie, świata jako Daru: tak jak doświadczał go w powyżej cytowanych zdaniach, w Wilię Bożego Narodzenia (a także wcześniej i później) Patrick Leigh Fermor.

eprasa.pl efefd978f4

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Spowiedź” – film na święta

Aktor Marcin Kwaśny zrobił kilkunastominutowy film fabularny „Spowiedź”. Dostał jakieś pieniądze od podmiotu publicznego i od firmy prywatnej. Film wpuścił na YouTube'a, każdy może do niego wejść, nie jest to więc typowy produkt komercyjny (ma skądinąd ponad 100 tys. wejść). Twórca cieszy się, że może się w ten sposób komunikować z publiką. Zwłaszcza z ludźmi młodymi, poszukującymi sensu życia.

Pamiętam, że w roku 2007 wchodzący do zawodu aktorskiego Kwaśny był współscenarzystą filmu „Rezerwat” Łukasza Palkowskiego. To była opowieść o starej Pradze (tej warszawskiej). O tym, że to świat trochę hermetyczny dla kogoś z zewnątrz, ale oferujący rozmaite wzruszenia i nawet swoisty kodeks honorowy – co warto by zachować, a przynajmniej szanować. Napisane to było i nakręcone z werwą, ciekawie. A sam Kwaśny zagrał główną rolę, japiszona rzuconego w świat studniastych podwórek i zdewastowanych kamienic.

Na wyobraźnię aktora nałożyła się sprawność reżyserska Palkowskiego. Tym razem jest inaczej. Artysta debiutuje samodzielną całkiem wizją. Jest ona nacechowana mocną tożsamością religijną, której aktor od lat daje świadectwo. I tu zaczynają się pewne moje wątpliwości. Ale wątpliwości w finale przełamane.

Obraz jest staranny. Dobre zdjęcia Janusza Dybowskiego, świetna muzyka Michała Lorenza. Robiąca wrażenie scenografia Joanny Walisiak. Mamy przypowieść o chłopaku uciekającym przed prześladowcami, pośród mroczności miasta. Gra go sugestywnie popularny aktor filmowy Filip Gurłacz. W epizodach ludzi na jego drodze rozpoznajemy Karola Strasburgera i Ewę Ziętek, aktorskich weteranów.

Ucieczka prowadzi go do kościoła, a kiedy opresorzy, typowi bandyci, wchodzą tam za nim, jest zmuszony do uklęknięcia przy konfesjonale. Długo jednak wzbrania się wyciągnąć z tego konsekwencje, mimo namów księdza. Jest z podobnego świata jak ci, którzy chcą mu zrobić krzywdę. Afirmuje siłę, na dokładkę reprezentuje fenomen nowych pokoleń, które religia w zasadzie ominęła.

To jest pokazane ciekawie. Kiedy jednak chłopak w ciągu kilku minut doznaje swoistego objawienia, reaguję nieufnie. Powtarzając formułkę, która mi towarzyszy przy wielu filmach: „To się nie dzieje tak prosto. Nie w życiu”. Wiem, że to metafora, lecz mimo wszystko... Na szczęście Kwaśny stawia na otwarte zakończenie. W gruncie rzeczy to doświadczenie bohatera granego przez Gurłacza może się okazać tylko epizodem, o którym sam zainteresowany zapomni, kiedy niebezpieczeństwo minie. Więc finał nie staje się tak łatwy, na jaki się przez moment kroi.

Zawsze przy takich filmach towarzyszy mi pytanie, czy ewangelizacja za pośrednictwem sztuki nie powinna uwzględniać więcej komplikacji ludzkiego życia, które rzadko kiedy doznaje choćby pozorów szybkich przełomów. A zarazem uważam sam pomysł, by ewangelizować za pośrednictwem popkultury, za coś fantastycznego.

Uwzględniam kontekst realiów. Zapewne podobna opowieść miałaby więcej przekładek, zwrotów akcji, pytań, dylematów, gdyby trwała dłużej. Nie jest dziś łatwo nakręcić w Polsce film o religijnej inspiracji. To mi każe patrzeć z podziwem na Kwaśnego i jego ekipę. Życząc im, aby się tego czegoś dłuższego i bardziej skomplikowanego kiedyś dobili.



Niewątpliwa jest tu szczerość. Co zauważam, przypominając sobie coraz bardziej natrętne i bałamutne odniesienia do religii w filmach Patryka Vegi, ostatnio w kolejnym „Pitbullu”. Tu jakby mi ktoś składał poprzez film świąteczne życzenia. Choćby życzenie poczucia empatii wobec tych aż tak zagubionych, że pełnych agresji i złości. To trudna sztuka.

Piotr Zaremba

SIECI

EKOLOGIA Z ENERGĄ

Cykl dodatków dotyczących ekologicznych postaw, inwestycji w zieloną energię, odnawialnych źródeł energii

Energa
GRUPA ORLEN

Na łamach tygodnika „Sieci” wspólnie z ekspertami Energi z Grupy ORLEN opowiadamy o tym, jak wykorzystać energetyczną transformację z pożytkiem dla domowego budżetu i ochrony środowiska

- Dlaczego zielone certyfikaty są ważne?
- Jak ekologicznie promować swoją firmę?
- Jak uzyskać potwierdzenie, że korzystamy z zielonej energii?

CERTYFIKOWANY ZIELONY PRĄD

eprasa.pl efefd978f4

Energa
GRUPA ORLEN

Biznes staje się coraz bardziej zielony



Troska o środowisko stała się dla wielu przedsiębiorstw drogowskazem i nie jest tylko pustym sloganem. Dotychczasowa praktyka pokazuje, że strategia inwestowania w OZE przynosi podmiotom gospodarczym wymierne korzyści i realne oszczędności w rachunkach za prąd. Wzmacnia to również bezpieczeństwo energetyczne kraju i pozwala realizować cele klimatyczne wymagane przez Unię Europejską. W Polsce liderem zmian jest Grupa ORLEN oraz wchodząca w jej skład Energa

Zielona rewolucja znacząco przyspieszyła, a jej dynamikę spotęgowała dodatkowo pandemia. Zgodnie z prognozami Międzynarodowej Agencji Energii, w roku 2040 co najmniej połowa światowej energii będzie pochodzić z OZE. Zmiany dotyczą też Polski. W badaniu przeprowadzonym przez Polski Instytut Ekonomiczny „Foresight Polska 2035" eksperci podkreślają, że z punktu widzenia rozwoju społeczno-gospodarczego Polski kluczowe jest zwiększenie udziału odnawialnych źródeł energii w zużyciu energii finalnej do 30 proc. Co więcej transformację stymuluje także postawa sektora finansowego. Chodzi o coraz częstsze uwzględnianie kryterium odpowiedzialnego społecznie biznesu o nazwie ESG (Environmental, Social and Governance) przy decyzjach kredytowych dotyczących inwestycji. Zatem proekologiczność wpływa na potencjał rozwojowy przedsiębiorstw. Jak wynika z raportu ING i EY „Biznes dla klimatu. Raport o zmianie priorytetów", posiadacze aktywów – czyli m.in. fundusze emerytalne, ubezpieczyciele, fundusze inwestycyjne – masowo ogłaszają, że chcą, aby ich portfel do roku 2040–2050 był zeroemisyjny. Również Grupa ORLEN zapewniła, że zamierza osiągnąć neutralność emisyjną do roku 2050. Jeśli prowadzisz firmę i chcesz wzmacniać jej wizerunek w tej dziedzinie oraz podążać za światowym trendem inwestowania w OZE, to najwyższy czas na podjęcie odpowiednich działań.

FOTOWOLTAICZNY BOOM W POLSCE

Jednym z rozwiązań, które gwarantują przedsiębiorcom wejście do świata OZE, jest fotowoltaika. Według danych zaprezentowanych przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne moc zainstalowana w instalacjach fotowoltaicznych wyniosła na koniec czerwca 5325 MW. Oznacza to wzrost o 152,5 proc. rok do roku i o ponad 13 proc. w okresie kwiecień–czerwiec 2021 r. Liczba instalacji powiększa się. Prosumenci stają się coraz bardziej świadomi możliwości, jakie otwiera przed nimi korzystanie z paneli foto-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4



woltaicznych. Również polski rząd zachęca do wykorzystania energii słonecznej. Na początek 2022 r. przewidziano wdrażanie programu „Mój prąd 4.0". Zgodnie z zapowiedziami nowe przepisy pozwolą na magazynowanie wyprodukowanej energii elektrycznej z instalacji fotowoltaicznych oraz magazynowanie ciepła lub chłodu. Poprawi się również efektywność zarządzania wytworzoną energią elektryczną. Pojawiło się również ciekawe rozwiązanie dotyczące elektromobilności. Państwo zamierza dofinansowywać zakup i montaż punktów ładowania samochodów elektrycznych. Olbrzymie doświadczenie w fotowoltaice ma Grupa ORLEN i Energa. Posiada obecnie dwie farmy fotowoltaiczne, PV Czernikowo i PV Delta, o łącznej mocy zainstalowanej ok. 5,4 MW. Realizuje też kolejne inwestycje w tym obszarze, m.in. akwizycję PV Wielbark, w ramach której do końca roku zakupi instalacje fotowoltaiczne o łącznej mocy 12 MW. Energa Obrót oferuje również fachową pomoc firmom, które pragnęłyby wdrożyć u siebie zasilanie słońcem.

MEW, CZYLI WIATR W ŻAGLE DLA POLSKIEJ GOSPODARKI

We wrześniu tego roku aż 200 sygnatariuszy podpisało dokument o nazwie „Porozumienie sektorowe na rzecz rozwoju morskiej energetyki wiatrowej w Polsce". Ta gałąź gospodarki, bezpośrednio związana z OZE, zaczyna mocno się rozwijać i widać, że plany są bardzo ambitne. Polska i jej płytkie morze są dość wietrznym terenem, gdzie stawianie kolejnych wiatraków z pewnością się opłaca. Coraz więcej firm dostrzega, że farmy wiatrowe to przyszłość. Bardzo interesującym przykładem realnych przekształceń związanych z wiatrową transformacją jest Farma Wiatrowa Przykona o mocy zainstalowanej ok. 31 MW. Powstała ona na terenach zrekultywowanych po odkrywce węgla brunatnego kopalni Adamów. Szacuje się, że należące tam do Energi grunty o powierzchni 300 ha posiadają potencjał dla budowy obiektów OZE o łącznej mocy zainstalowanej ok. 160 MW. FW Przykona dołączyła też do grona blisko 400 obiektów Energi wpisanych do elitarnego rejestru EMAS (ang. EcoManagement and Audit Scheme), czyli unijnego systemu ekozarządzania i audytu.

GWARANCJA POCHODZENIA POŚWIADCZONA CERTYFIKATEM

Firma, która zamierza korzystać z zielonej i odnawialnej energii, zyskuje także możliwość pochwalenia się specjalnym certyfikatem. Odpowiedni dokument wydaje Towarowa Giełda Energii SA, a przedsiębiorca zyskuje możliwość zakupu energii z gwarancją pochodzenia. W wygodny i prosty sposób można to zrobić za pomocą portalu energa.pl. Zgodnie z ustawą z dnia 20 lutego 2015 r. o odnawialnych źródłach energii, przedsiębiorca ma pewność, że energia elektryczna, z której korzysta, jest wytworzona z odnawialnych źródeł energii, czyli np. wiatru, wody, słońca, źródeł geotermalnych lub biogazu. To jasny sygnał, że biznes wkroczył na ścieżkę transformacji energetycznej. Ponadto legalnie oraz odpowiedzialnie dba o zapewnienie stałych dostaw prądu. Certyfikaty wpisują się także w politykę środowiskową Unii Europejskiej oraz poświadczają, że przedsiębiorstwu zależy na zmniejszeniu emisji szkodliwych gazów cieplarnianych.

PASMO KORZYŚCI

– Nowoczesny biznes powinien uwzględniać OZE. W warstwie wizerunkowej jest to niewątpliwie znaczący krok w stronę odpowiedzialności za los naszej planety i przyszłych pokoleń. Przyjazne środowisku projekty pozwolą na lepsze dotarcie do klientów, którzy świadomie współpracują z proekologicznymi markami – podkreśla Tomasz Bodetko, kierownik wydziału współpracy z wytwórcami Energi Obrót SA, wspierającej rozwiązania z zakresu energii odnawialnej.

OZE to także kierunek, od którego nie ma odwrotu. Z roku na rok zmiany klimatyczne postępują. Topią się lodowce, miasta duszą się w smogu, a wielu terenom grożą powodzie lub susza. Świat biznesu zrozumiał, że oparcie się na OZE, daje gwarancję poprawy tej sytuacji oraz niesie za sobą również ekonomiczne przesłanki.

eprasa.pl efefd978f4

Energa
GRUPA ORLEN

Zielone certyfikaty – po co nam certyfikat energii z OZE?

Ustalenia na szczeblu unijnym zobowiązują kraje członkowskie do stopniowego przechodzenia na odnawialne źródła energii. Polskie zakłady energetyczne również muszą wykazać odpowiedni udział zielonej energii w ogólnym bilansie.

Zielone certyfikaty, czyli świadectwa pochodzenia energii elektrycznej z odnawialnych źródeł energii (OZE), obowiązują w naszym kraju od października 2005 r. System wspierający produkcję zielonej energii wprowadziła znowelizowana ustawa Prawo energetyczne. Ze względów technicznych dostarczanie energii elektrycznej wyprodukowanej z OZE bezpośrednio do odbiorców nie jest możliwe, dlatego certyfikat jest potwierdzeniem jej zielonego pochodzenia

ENERGIA Z PRZYRODY

Konieczność obniżenia emisji szkodliwych dla środowiska naturalnego gazów i pyłów sprawia zatem, że produkcja energii elektrycznej ze źródeł odnawialnych jest nieodzowna. Zielona energia może być wytwarzana z wiatru, wody, słońca lub głębszych warstw ziemi. Te właśnie źródła sprawiają, że do atmosfery nie są emitowane szkodliwe spaliny, dwutlenek węgla ani jakiekolwiek toksyczne substancje.

Niektóre źródła zielonej energii elektrycznej charakteryzują się pewną niestabilnością. Moc elektrowni wiatrowej zależy od prędkości wiatru, a elektrownia fotowoltaiczna jest uzależniona od promieniowania słonecznego. Elektrownia geotermalna posiada stabilne źródło energii cieplnej, ale z kolei nie w każdym regionie jest ono dostępne na opłacalnej głębokości. W każdym razie operatorzy sieci i dostawcy energii elektrycznej przesyłają do konsumentów nierozdzieloną energię konwencjonalną szarą i ekologiczną zieloną.

System zielonych certyfikatów, który reguluje ustawa o Prawie energetycznym, polega na wydawaniu przez Urząd Regulacji Energetyki (URE) świadectwa pochodzenia każdej jednostki energii, która została wytworzona z wykorzystaniem źródeł odnawialnych. Zielony certyfikat energetyczny staje się prawem majątkowym. Towarowa Giełda Energii (TGE) umożliwia handel świadectwami, a ich cena podlega prawom rynku.

WAŻNY OBOWIĄZEK

W celu spełnienia obowiązku odpowiedniego wkładu energii odnawialnej w ogólne dostawy przedsiębiorstwa energetyczne zakupują zieloną energię bezpośrednio u wytwórców energii odnawialnej albo zaopatrują się w zielone certyfikaty na giełdzie. Niewypełnienie tego obowiązku wiąże się z opłatami zastępczymi, wymuszającymi działania proekologiczne. Giełda i handel certyfikatami wspierają odnawialne źródła energii.

Spadek cen wytwarzania energii ze źródeł odnawialnych to jeden z najważniejszych czynników pozwalających założyć, że do 2030 r. udział węgla w krajowym miksie wyraźnie spadnie. Jak pokazują analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego i Fundacji Instrat w raporcie „Przyszły miks energetyczny Polski – determinanty, narzędzia i prognozy", zróżnicowanie źródeł wytwarzania energii w polskim miksie będzie w najbliższych latach postępować.

Przyjęta przez rząd na początku roku „Polityka energetyczna Polski do 2040 r." (PEP'2040) opiera się na trzech głównych filarach – sprawiedliwej transformacji, budowie zeroemisyjnego systemu energetycznego oraz dobrej jakości powietrza. Dokument wyznacza ramy transformacji energetycznej w Polsce.

Przyjęcie PEP'2040 wiąże się z planami energetycznymi Unii Europejskiej. W najbliższych dziesięcioleciach czeka nas ogromna zmiana związana z reformą całych gospodarek tak, aby były bardziej zielone. Unia Europejska, dążąc w kierunku zeroemisyjności, przygotowała nową strategię wspólnoty – Europejski Zielony Ład. Zakłada on wdrożenie działań związanych z ochroną środowiska oraz przeciwdziałaniem zmianom klimatycznym, aby w 2050 r. Europa była kontynentem neutralnym klimatycznie.

Firmy energetyczne funkcjonujące w Polsce już teraz podejmują działania mające na celu redukcję CO_2 i przejście na OZE. Wiele z nich widzi, że od tego trendu nie ma odwrotu i bycie bardziej zielonym jest koniecznością. Obecnie szczególnie dynamicznie rozwija się segment fotowoltaiki. Kolejnym etapem będą morskie farmy wiatrowe.

Zgodnie z „Polityką energetyczną Polski do 2040 r." w 2030 r. udział OZE w końcowym zużyciu energii brutto wyniesie co najmniej 23 proc., moc zainstalowana farm wiatrowych na morzu ok. 5,9 GW w 2030 r. i do ok. 11 GW w 2040 r., a w 2033 r. uruchomiony zostanie pierwszy blok elektrowni jądrowej o mocy ok. 1–1,6 GW. Kolejne bloki będą wdrażane co 2–3 lata, a cały program jądrowy zakłada budowę sześciu bloków.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4



Zielonej energii w ciepłownictwie ma być 28 proc., w transporcie 14 proc. Udział OZE w transporcie jest taki sam jak w PEP'2040 z 2018 i w „Krajowym planie działań na rzecz energii i klimatu" (KPEiK'2030). Natomiast zwiększono nieznacznie udział OZE w elektroenergetyce w porównaniu z poprzednim projektem PEP2040 oraz KPEiK, gdzie udział ten szacowano na 31,8 proc.

W dokumencie napisano, że moc PV (fotowoltaika) w 2030 r. będzie wynosić 5–7 GW. Ale już teraz według danych Agencji Rynku Energii (ARE) moc zainstalowana fotowoltaiki w Polsce wyniosła na koniec sierpnia br. blisko 6 GW. Fotowoltaika stanowi więc 40 proc. mocy zainstalowanej OZE. Liczba nowych instalacji PV w sierpniu to prawie 33 tys. Oznacza to wzrost o 106,6 proc. w stosunku do sierpnia 2020 r. Natomiast przez cały sierpień 2021 r. moc instalacji fotowoltaicznych zwiększyła się o 344,4 MW. Powstało 32 920 szt. nowych instalacji PV, co stanowi ponad 99 proc. wszystkich instalacji OZE zbudowanych w sierpniu 2021 r. Przeciętna wielkość instalacji PV to 9,8 kW. Rekord produkcji energii elektrycznej w instalacjach fotowoltaicznych został zanotowany 11 maja 2021 r.

„Według raportu ARE, we wrześniu osiągnęliśmy liczbę 705 227 prosumentów* PV, posiadających instalacje o łącznej mocy zainstalowanej 4 757,8 MW. Cel 1 mln prosumentów coraz bliżej" – napisał Ireneusz Zyska na Twitterze.

RESORTOWE KOREKTY

Tak więc nie tylko Unia Europejska, lecz również coraz więcej władz poszczególnych krajów zaczyna mieć pełną świadomość potrzeby zwiększenia udziału OZE w produkcji energii elektrycznej. Z roku na rok staje się to coraz bardziej istotną kwestią.

16 sierpnia minister klimatu i środowiska (MKiŚ) podpisał „Rozporządzenie w sprawie zmiany wielkości udziału ilościowego sumy energii elektrycznej wynikającej z umorzonych świadectw pochodzenia potwierdzających wytworzenie energii elektrycznej z odnawialnych źródeł energii w 2022 r.". Rozporządzenie zostało opublikowane w Dzienniku Ustaw 13 sierpnia 2021 r. i weszło w życie po upływie 14 dni.

Wielkość udziału dla tzw. zielonych certyfikatów, w porównaniu z rokiem 2021, została obniżona z 19,5 do 18,5 proc., natomiast dla tzw. błękitnych certyfikatów utrzymana na poziomie 0,5 proc. Wskazany poziom obowiązku ma zapewnić utrzymanie stabilnych i przewidywalnych warunków funkcjonowania rynku OZE dla wytwórców uczestniczących w systemie świadectw pochodzenia. Przyczyni się zarazem do ograniczenia kosztów funkcjonowania tego systemu ponoszonych przez odbiorców końcowych, w tym odbiorców energochłonnych.

W związku z zakończeniem w latach 2020–2021 partycypacji w systemie świadectw pochodzenia kolejnej części podmiotów (zakończenie 15-letniego okresu wsparcia) oraz z uwagi na migrację istniejących instalacji do innych systemów wsparcia Ministerstwo Klimatu i Środowiska przewiduje dalszy spadek nadpodaży na rynku zielonych certyfikatów.

Pomimo spadku bieżąca nadpodaż jest jednak nadal bardzo wysoka (na poziomie rocznej produkcji energii elektrycznej w systemie zielonych certyfikatów), w związku z czym Ministerstwo Klimatu i Środowiska będzie kontynuować działania mające na celu dalsze ograniczenie tego zjawiska w sposób zrównoważony i stabilny dla wszystkich podmiotów, na które wpływ ma regulacja. W związku z tym w opinii Ministerstwa Klimatu i Środowiska zasadne jest obniżenie dla zielonych certyfikatów poziomu obowiązku do 18,5 proc., co stanowi naturalny krok w etapie funkcjonowania tego rynku.

Jak poinformowało MKiŚ, w przypadku analogicznego rozporządzenia wyznaczającego wielkość obowiązku na kolejny rok lub lata kalendarzowe, należy brać pod uwagę możliwość wprowadzenia kolejnej korekty, która będzie zapewniała stopniową redukcję nadpodaży świadectw pochodzenia.

Opracował: RO

• prosument – termin pochodzi od wyrazów „producent" oraz „konsument". Pod pojęciem tym rozumiany jest wytwórca energii elektrycznej powstałej za pomocą należącej do niego instalacji odnawialnych źródeł energii, najczęściej mikroinstalacji fotowoltaicznej.

eprasa.pl efefd978f4

Energa
GRUPA ORLEN

Bądź eko



i uzyskaj gwarancję pochodzenia energii

Energa jest przedsiębiorstwem odpowiedzialnym za środowisko naturalne, wspiera zatem klientów, którzy również chcą postępować ekologicznie. Przygotowane przez spółkę pakiety pozwalają klientom korzystać z zielonej energii, oszczędzać ją i minimalizować wpływ na środowisko

Warto przyjrzeć się propozycjom Energi, dzięki którym gospodarstwa domowe i firmy mogą otrzymać certyfikat potwierdzający pochodzenie zakupionej energii z odnawialnych źródeł (OZE).

PAKIET EKO FIRMA

Energa w ramach Pakietu Eko Firma pozwala przedsiębiostwom na otrzymanie nawet 10 proc. rabatu od ceny energii elektrycznej z cennika standardowego przez 36 miesięcy.

Dzięki tej inicjatywie przedsiębiorstwo może zminimalizować swój negatywny wpływ na środowisko właśnie poprzez wybór energii ze źródeł naturalnych: wody, wiatru lub słońca. Co więcej, zyskać można także marketingowo, z certyfikatem 100 proc. energii ze źródeł odnawialnych budować można bowiem proekologiczny wizerunek przedsiębiorstwa. To istotne, ponieważ coraz więcej firm stawia na poprawę stanu środowiska naturalnego. W długim okresie opłaca się to nie tylko wizerunkowo, gdyż można zyskać nawet 10 proc. rabatu na energię elektryczną. W ten sposób nie tylko oszczędzamy pieniądze (które można potem zainwestować w swój biznes), lecz jednocześnie sprzyjamy ochronie środowiska.

POTWIERDZENIE ZIELONEJ ENERGII

Dokument wystawiony przez Energę jest potwierdzeniem, że spółka zabezpiecza określony w umowie z klientem wolumen zielonej energii z OZE. Certyfikat potwierdzający zielony kolor energii elektrycznej można otrzymać w ciągu 28 dni od rozpoczęcia świadczenia

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4

usługi kompleksowej – oferta (i sam certyfikat) są ważne 36 miesięcy. A jak go zamówić?

Można to zrobić wypełniając wniosek przez internet (co zajmuje ok. 10 minut) lub udając się do salonu Energi. Można to zrobić także przez telefon, łącząc się z jednym z konsultantów Energi. Na stronie energa.pl/ekofirma można znaleźć wszelkie potrzebne do uzyskania Pakietu Eko Firma dokumenty.

Tym samym wchodzimy w nowy okres dla firm – pozyskiwania energii z ekologicznych, bezemisyjnych źródeł, która dodatkowo może być tańsza dzięki uzyskiwanym rabatom... i pozytywnie wpływa na wizerunek przedsiębiorstwa! Bycie eko jeszcze chyba nigdy nie było tak atrakcyjne i, co najważniejsze, tak korzystne dla budżetów przedsiębiorstw.

PAKIET ZIELONEJ ENERGII

Ale co w sytuacji, gdy chcemy być ekologiczni i wspierać walkę ze zmianami klimatu, a nie posiadamy firmy, w której moglibyśmy skorzystać z zielonego certyfikatu? Na szczęście Energa jest przygotowana i na taką sytuację, otwierając opcję na bycie eko także dla klientów indywidualnych.

Każdy, kto pragnie mieć pewność, że 100 proc. zużywanego prądu w jego domu pochodzi z natury, może skorzystać z propozycji spółki Energa Obrót. „Pakiet zielonej energii" to oferta w której Energa potwierdza pochodzenie energii, jaką kupuje klient ze źródeł odnawialnych: wiatru, wody i słońca.

Do kogo skierowana jest ta oferta Energi? Przede wszystkim przygotowano ją z myślą o gospodarstwach domowych. To dobra zmiana, dotychczas z ofert spółki Energa Obrót korzystać bowiem mogły tylko firmy, teraz jednak spółka wyciąga pomocną dłoń właśnie do indywidualnych klientów. Jeśli więc jesteście osobami dbającymi o środowisko, to szansa właśnie dla was!

Wybierając „Pakiet zielonej energii", klienci otrzymują specjalny certyfikat Energi gwarantujący pochodzenie zakupionej energii z odnawialnych źródeł (OZE). To jednak nie wszystko, klienci otrzymują bowiem pakiet pięciu energooszczędnych żarówek LED E-27 (bardzo przydatnych w okresie jesienno-zimowym, kiedy spędzamy więcej czasu przy sztucznym oświetleniu, dzięki czemu nie trzeba martwić się zwiększonym zużyciem prądu), Energa Obrót zaś dodatkowo zleca... posadzenie drzewa! Wraz z organizacją dotlenieni.org, trudniącą się zwiększaniem terenów zielonych, dwa razy do roku, jesienią i wiosną, zajmie się nasadzeniem nowych drzew w imieniu spółki (i klientów). Tym samym decydując się na wybór oferty, nie tylko czerpiemy prąd z zielonych źródeł, ale też dosłownie wspieramy zieleń!

To nie koniec, wsparcie dla środowiska objawi się bowiem też w kolejnym aspekcie oferty, mianowicie zmniejszeniu zużycia papieru. Wybierając „Pakiet zielonej energii", klienci decydują się na fakturę w wersji elektronicznej, co w efekcie redukuje potrzebę produkcji dokumentów papierowych, co za tym idzie, zużycia papieru.

Wybór „Pakietu zielonej energii" jest więc nie tylko korzystny dla środowiska i dostępny dla szerokiego grona klientów indywidualnych, ale też opłacalny – mało która oferta nie tylko dostarcza możliwość czerpania prądu z ekologicznych źródeł, ale też wspomaga zalesienie planety, jednocześnie redukując zużycie papieru. Wiatr, woda i słońce są idealnymi źródłami energii dla naszych domów i teraz nie trzeba już posiadać firmy, by skorzystać z dobrodziejstw OZE.

Zmiany klimatyczne postępują nieubłaganie, jednak nie oznacza to, że jesteśmy bezradni. Teraz, wraz z ofertami Energa Obrót zarówno firmy, jak i klienci indywidualni mogą wspomóc wysiłki na rzecz unormowania sytuacji ekologicznej naszej planety. Biznesmeni, a także ci, którzy nie posiadają przedsiębiorstw, mają możliwość czerpania prądu z zielonych odnawialnych źródeł, jednocześnie wspomagając przyrodę. Walka o klimat jeszcze nigdy nie była tak opłacalna... i nie znajdowała się w zasięgu ręki! Zdecydowanie warto się do niej przyłączyć!

Arkady Saulski



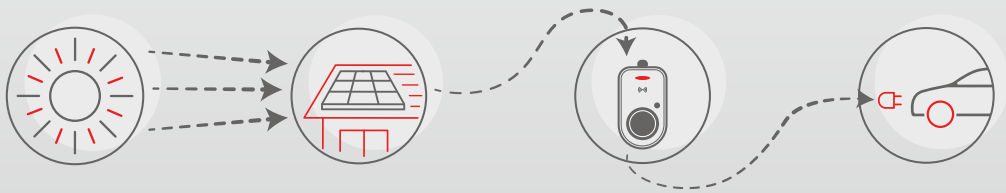
Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 58/0821/F

eprasa.pl efefd978f4

Mobilna stacja ładowania



Zasil swój samochód elektryczny lub hybrydowy plug- in zieloną energią od Energa Obrót



Zadzwoń na 555 555 505
lub wejdź na energa.pl

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

Materiał nie jest ofertą w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.

eprasa.pl efefd978f4

ŻABKA BARDZIEJ ZIELONA

Sieć sklepów z pierwszym ekoplanem w Polsce zatwierdzonym przez SBTi

Trudne wyzwanie energetycznej transformacji, przed jakim stoi Polska, uda się podjąć jedynie wówczas, gdy administracja państwowa uzyska wsparcie od sektora biznesowego. Jak to skutecznie zrobić? Dobry przykład daje Żabka, której cele redukcji emisji węglowej zostały naukowo zweryfikowane i zatwierdzone przez międzynarodową inicjatywę Science Based Targets (SBTi)

Plan opracowany przez Żabkę jest pierwszym tego typu przedsięwzięciem w Polsce, który SBTi uznała za realny. Wśród celów, które Żabka zadeklarowała w ogłoszonej w tym roku nowej Strategii Odpowiedzialności, znalazło się osiągnięcie do 2025 r. neutralności klimatycznej w ujęciu emisji gazów cieplarnianych oraz ograniczenie intensywności emisji w sklepach, zgodnie z celami inicjatywy SBTi, do której firma przystąpiła w 2021 r. Ustanowione przez Żabkę cele klimatyczne, zgodnie z oceną SBTi, wpisują się w najbardziej ambitne postanowienie porozumienia paryskiego, zakładające ograniczenie ocieplenia klimatu na poziomie 1,5°C w porównaniu z epoką preindustrialną.

– W Żabce każdego dnia podejmujemy wiele proekologicznych działań. Włączamy w te procesy zarówno naszych pracowników, franczyzobiorców, jak i klientów. Aktywnie pracujemy nad zmniejszeniem negatywnego wpływu naszej działalności na środowisko naturalne. Aby móc działać jeszcze skuteczniej, przystąpiliśmy – jako pierwsza sieć z Europy Środkowo-Wschodniej – do inicjatywy Science Based Targets, która promuje odpowiedzialne i transparentne wyznaczenie celów redukcji śladu węglowego na podstawie wiedzy naukowej. Jesteśmy dumni, że nasze cele zostały przez SBTi pozytywnie zweryfikowane i zatwierdzone – podkreśla Anna Grabowska, wiceprezes zarządu ds. strategii konsumenckich Grupy Żabka.

Naukowo zatwierdzone i zweryfikowane przez SBTi cele zakładają, że Żabka zredukuje o 25 proc. całkowitą emisję gazów cieplarnianych do 2026 r. względem roku bazowego 2020 oraz obniży o 70 proc. intensywność emisji gazów cieplarnianych w sklepach do 2026 r. w odniesieniu do tego samego czasu. Ponadto do końca 2026 r. sieć zaangażuje partnerów biznesowych odpowiedzialnych za 75 proc. wydatków zakupowych z obszaru produktów i usług w ustalenie naukowo potwierdzonych celów redukcyjnych.

– Science Based Targets to inicjatywa współtworzona przez UN Global Compact, do której dołączyło już ponad 1 tys. firm z 60 krajów, działających w 53 sektorach gospodarki i zatrudniających łącznie ponad 32 mln osób! To pokazuje skalę oddziaływania inicjatywy, której głównym założeniem jest wspieranie ambitnych celów korporacyjnych pozwalających zredukować negatywny wpływ przedsiębiorstw na środowisko, a przez to zatrzymać wzrost temperatur. Cieszy mnie, że Żabka, firma członkowska UN Global Compact i partner naszych programów, dołącza do tej inicjatywy – skomentował Kamil Wyszkowski, przedstawiciel krajowy i dyrektor wykonawczy UN Global Compact Network Poland.

Inicjatywa SBT powstała we współpracy pomiędzy United Nations Global Compact (UN Global Compact), World Resources Institute (WRI), World Wildlife Fund (WWF) oraz CDP, czyli najbardziej znaną na świecie firmą ujawniającą dane klimatyczne. Jej celem jest promowanie wyznaczania celów redukcji śladu węglowego na podstawie wiedzy naukowej.

Żabka Polska sp. z o.o. jest właścicielem największej w Polsce sieci sklepów liczącej 7,8 tys. placówek prowadzonych przez 6,3 tys. franczyzobiorców pod marką Żabka. Na przestrzeni 20 lat działalności na polskim rynku spółka zdobyła pozycję lidera segmentu sprzedaży lokalnej. Sklepy Żabki są odwiedzane codziennie przez ponad 2,5 mln klientów, 15 mln konsumentów ma mniej niż 5 minut pieszo do najbliższej Żabki

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 84/0921/F

eprasa.pl efefd978f4



Warto znać prawo i tajniki produktów finansowych

Sporządzenie testamentu, inwestycja, kredyt czy polisa ubezpieczeniowa działają według ustalonych reguł, które trzeba poznać

TESTAMENT – JAK ROZPORZĄDZIĆ MAJĄTKIEM NA WYPADEK ŚMIERCI

Najpewniejszym sposobem, aby majątek po naszej śmierci nie trafił w niepowołane ręce, jest sporządzenie testamentu. Nie jest to procedura ani droga, ani skomplikowana. Testament możemy sporządzić własnoręcznie lub skorzystać z usług kancelarii notarialnej.

Samodzielne napisanie testamentu jest najprostszym, najszybszym i najtańszym sposobem zatroszczenia się o pozostawione po śmierci dobra.

Dokument taki, aby był prawomocny, powinien spełniać kilka podstawowych warunków.

Przede wszystkim testament w całości musimy napisać sami, a następnie opatrzyć go datą sporządzenia i podpisem. Dokument napisany przez osobę trzecią, a przez nas jedynie podpisany, jest nieważny. Dyspozycja co do podziału majątku może być szczegółowa – jakie aktywa komu przypadną, lub ogólna, odnosząca się do całości majątku (w przypadku gdy do dziedziczenia powołana jest jedna osoba).

Co należy zrobić z tak sporządzonym dokumentem? Możliwości jest kilka. Aby testament nie dostał się w niepowołane ręce, wybieramy najbezpieczniejszy według nas sposób przechowania. Można go złożyć u notariusza, powierzyć zaufanej osobie lub położyć na półce regału.

Testament może być przez nas wielokrotnie zmieniany w całości lub w części. Ważny jest jednak tylko ten dokument, który posiada najpóźniejszą datę sporządzenia.

Z kolei testament sporządzony w kancelarii notarialnej, mimo że może mieć taką samą treść jak ten spisany własnoręcznie, jest od niego dokumentem mocniejszym wobec prawa spadkowego i trudniej go podważyć. Testament w formie aktu notarialnego ma moc dokumentu urzędowego. W trakcie jego sporządzania to notariusz czuwa nad należytym zabezpieczeniem praw i słusznych interesów stron i innych osób, dla których czynność ta może wywoływać skutki prawne. Testament notarialny może trafić do tzw. Notarialnego Rejestru Testamentów, który zawiera informację o zarejestrowanych testamentach, ale nie ujawnia ich treści.

Po sporządzeniu testamentu notariusz wydaje nam wskazaną liczbę odpisów, a oryginał pozostaje w archiwum kancelarii przez dziesięć lat. Po tym czasie testament trafia do archiwum ksiąg wieczystych właściwego sądu rejonowego.

PIRAMIDY FINANSOWE – GROŹNA PUŁAPKA

Reguły działania piramid finansowych nie zmieniły się od ponad stu lat, czyli od czasu powstania tego procederu. Twórcy piramidy za pomocą sprytnej akcji marketingowej i piarowej pozyskują klientów, obiecując im wysokie zyski z inwestycji przy niskim ryzyku. Najczęściej organizator nie ujawnia szczegółów, w jaki sposób będzie pomnażał kapitał, a jeżeli już to robi, to zwykle udziela fałszywych informacji. Zyski trafiają do tych klientów, którzy wcześniej przystąpili do piramidy. Pochodzą one ze środków wpłacanych przez kolejnych inwestorów. Piramida trwa dopóty, dopóki nie za-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efefd978f4

braknie kolejnych chętnych do wpłat. Piramidy nie muszą być wcale przedsięwzięciami organizowanymi na dużą skalę – mogą to być oszustwa dokonywane w niewielkim środowisku, w małym mieście powiatowym.

Zazwyczaj inwestorzy dowiadują się, że brali udział w piramidzie finansowej, wtedy kiedy ona upadnie. Żeby tego uniknąć, przede wszystkim należy zachować zdrowy rozsądek i czujność. A tę wzbudzić powinna gwarancja bardzo wysokiej stopy zwrotu z inwestycji, znacznie przekraczająca średnie rynkowe zwroty z lokat czy z funduszy inwestycyjnych. Kolejna rzecz, która powinna nas zaniepokoić, to brak informacji o samym podmiocie, numerze KRS, jego historii, składzie zarządu czy o kapitale zakładowym. Szukajmy informacji o podmiocie, który kusi nas wysokimi zyskami. Ich źródłem powinna być w pierwszej kolejności Komisja Nadzoru Finansowego (KNF) i jej lista ostrzeżeń publicznych, Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów (UOKiK) oraz Rzecznik Finansowy. Nie można dać się zwieść jej znakomitemu wizerunkowi, najczęściej sztucznie wykreowanemu, czy imponującej siedzibie.

Odzyskanie środków zainwestowanych w piramidę jest niezwykle trudne, gdyż z reguły taka firma jest zarejestrowana w raju podatkowym, a jej twórca – po zakończeniu oszukańczego przedsięwzięcia – znika z kraju. Zwykle pozostawiony przez upadłą piramidę kapitał zakładowy i jej majątek są znikome wobec skali roszczeń.

KREDYT CZY POŻYCZKA – WYBIERAJ ROZSĄDNIE

Potrzebujesz pieniędzy? Możesz wziąć pożyczkę lub zaciągnąć kredyt. Trzeba jednak pamiętać, że różnice między kredytem a pożyczką są znaczące. Kredytu może nam udzielić jedynie bank lub spółdzielcza kasa oszczędnościowo-kredytowa, natomiast pożyczkę możemy otrzymać nie tylko w banku, ale także od firmy pożyczkowej, rodziny lub znajomych, a nawet od pracodawcy.

Wysokość środków, jakie możemy pozyskać dzięki kredytowi, jest zwykle wyższa niż przy pożyczce. Proces udzielania kredytu reguluje Prawo bankowe, a z tego wynika, że kredyt zawsze udzielany jest odpłatnie, na podstawie pisemnej umowy i na ściśle określony cel (np. mieszkaniowy lub samochodowy). Zgodnie z umową kredytobiorca zobowiązuje się do zwrotu uzyskanego kredytu wraz z odsetkami w oznaczonych terminach oraz do zapłaty prowizji od udzielonego kredytu. Procedury przyznania kredytu mogą trwać nawet parę tygodni, jeśli ubiegamy się o kredyt długoletni, np. mieszkaniowy.

Natomiast w firmie pożyczkowej zajmującej się profesjonalnie pożyczaniem pieniędzy decyzję możemy otrzymać niemal od ręki. Warto jednak wcześniej sprawdzić, czy firma jest wpisana do rejestru instytucji pożyczkowych Komisji Nadzoru Finansowego. Firmy nie interesuje cel, na jaki zaciągasz zobowiązanie. Warto pamiętać o tym, że pożyczka zwykle jest udzielana na krótkie okresy, maksymalnie na pięć lat, więc sprawdza się przy niższych kwotach. Firmy pożyczkowe nie podlegają nadzorowi KNF, a relacje firma–klient reguluje Kodeks cywilny i Ustawa o kredycie konsumenckim, a nie Prawo bankowe.

A zatem pożyczka czy kredyt? Jeśli zależy nam na czasie i chcemy otrzymać pieniądze jak najszybciej na dowolny cel, pożyczka może być atrakcyjnym wyborem. Jednak kiedy potrzebujemy dużej kwoty, na dłuższy okres o dogodnych warunkach spłat rat, a przy tym taniej niż przy pożyczce – zwróćmy się o kredyt do banku. Kredyty gotówkowe czy też celowe – mieszkaniowe lub samochodowe – są dostępne w każdym komercyjnym banku i SKOK-u. A te instytucje znajdują się pod ścisłym nadzorem regulatora rynku (KNF), co daje gwarancję bezpieczeństwa zawieranych umów.

WARTO SIĘ UBEZPIECZAĆ NA RÓŻNE SYTUACJE

Polisę ubezpieczeniową należy wybierać z głową, tak by była skrojona pod nasze potrzeby. Ofert na rynku nie brakuje.

Podczas podróży turystycznej czy to latem, czy zimą zawsze mogą nam się przydarzyć nieprzewidziane sytuacje, wiążące się z poniesieniem niespodziewanych wydatków. Na takie sytuacje firmy ubezpieczeniowe oferują nam polisy turystyczne. Polisę należy dopasować do kierunku wyjazdu (kraju), charakteru podróży oraz zindywidualizowanych potrzeb (np. uprawianego sportu). Najważniejszym parametrem wyboru polisy na czas podróży są koszty leczenia. Suma gwarantowana ubezpieczenia np. podczas podróży w Europie powinna wynieść przynajmniej 30 tys. euro.

Z kolei polisa na życie to wybór na długie lata. Zapewnia ona nie tylko świadczenie dla rodziny w przypadku naszej śmierci, ale również – dzięki dodatkowym umowom – zabezpiecza nas finansowo w przypadku inwalidztwa, wypadku przy pracy czy pobytu w szpitalu. Najkorzystniej ją wykupić jeszcze przed 40. rokiem życia. Im później to zrobimy, tym wyższe składki będziemy płacić. Na jakie odszkodowanie możemy liczyć i w jakiej sytuacji zostanie ono wypłacone? Suma ubezpieczenia zależy od zdarzenia, które zawarte jest w polisie. Najwięcej otrzyma rodzina w przypadku zgonu ubezpieczonego – od 10 tys. zł do nawet 2 mln zł.

W ofercie wielu towarzystw ubezpieczeniowych znajdują się tzw. Polisy na przyszłość. Jest to ubezpieczenie ochronno-inwestycyjne, które zapewni nam środki w przypadku niespodziewanych zdarzeń, ale też ułatwi zbieranie kapitału, np. na życiowy start dzieci czy na dodatkową emeryturę. Polisa zawiera część inwestycyjną: polega na zakupie – za część składki – jednostek uczestnictwa w wybranych funduszach inwestycyjnych. Takie konstrukcje nazywają się Ubezpieczeniowymi Funduszami Kapitałowymi (UFK). Ubezpieczenie z UFK to produkt dla osób, które chcą połączyć ochronę ubezpieczeniową (śmierć, choroba itp.) z inwestycją, z pełną świadomością jej mocnych, ale i ryzykownych stron. Zysk z części kapitałowej jest bowiem trudny do przewidzenia – może być wysoki, jeżeli na rynku panuje koniunktura, ale może również zakończyć się stratą.

DS

NARODOWY BANK POLSKI
Projekt realizowany z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej

eprasa.pl efefd978f4

Dziejowa szansa

Można zaryzykować stwierdzenie, że cyberbezpieczeństwo to domena wojny XXI w. Od tego, jaką pozycję na tym polu zajmiemy, jakie aktywa będziemy kontrolować i jaką strategię realizować, zależy przyszłość nas i naszych dzieci – mówi ***dr inż. Sławomir Pietrzyk***, prezes IS-Wireless, polskiego dostawcy technologii 5G, w rozmowie z Piotrem Filipczykiem

Cyberbezpieczeństwo to słowo odmieniane dziś przez wszystkie przypadki. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że co człowiek, to inna definicja tego pojęcia. Co cyberbezpieczeństwo oznacza dla pana? Jakie przełożenie ma na życie przeciętnego Polaka?

Sławomir Pietrzyk: W kontekście prywatnym cyberbezpieczeństwo to możliwość codziennego korzystania z systemów cyfrowych w sposób bezpieczny. Bezpieczny, czyli poufny – bez dostępu osób trzecich do moich danych. To także pewność, że moja tożsamość i komunikaty są odpowiednio chronione.

A w kontekście kraju?

Najkrócej: możliwość realizacji suwerennej polityki w domenie cyfrowej.

Polska może być bezpieczna, suwerenna cyfrowo? Czy te dwa terminy są równoznaczne?

Oczywiście! Suwerenność cyfrowa jest rozwinięciem bezpieczeństwa. Suwerenność oznacza niezależność, dlatego tak ważne jest, by w jak największym zakresie dysponować rozwiązaniami technologicznymi, które sami wytwarzamy i które możemy łatwo kontrolować. Nasze działania wpisują się w ten kontekst – tworzymy własne, krajowe rozwiązania sieciowe dla 4G i 5G.



No właśnie. Kwestie bezpieczeństwa czy suwerenności cyfrowej są roztrząsane szczególnie uważnie przy okazji wprowadzania 5G. Wybór dostawcy technologii jawi się tutaj jako decyzja geopolityczna o fundamentalnym znaczeniu dla przyszłości państwa. Czy to nie przesada? Jak w tym tyglu rozmaitych polityk i interesów odnajduje się taka firma jak IS-Wireless?

Nie ma tu przesady. Piąta generacja systemów łączności znajduje zastosowanie w wielu domenach gospodarki i sektora publicznego. Pierwsze skojarzenie przywodzi na myśl internet w smartfonach, ale potencjał 5G i możliwości objawiają się przede wszystkim w sektorze kontroli procesów produkcyjnych w fabrykach, w łączności krytycznej czy monitorowaniu setek tysięcy czujników w urządzeniach internetu rzeczy (IoT). Dlatego należy myśleć o budowie 5G w nieco inny sposób niż dotychczas. Sieci poprzednich generacji (GSM, UMTS, LTE) kupowaliśmy w całości od zagranicznych dostawców, prym wiodły dwie firmy skandynawskie i jedna chińska. Sytuacja, w której na rynku sieci komórkowych jest globalnie tylko trzech–czterech dostawców jest wysoce niekorzystna dla ich klientów, którzy chcą mieć większy wybór. Na szczęście przy 5G może być inaczej. Na rynek wchodzą nowi gracze, w tym polski IS-Wireless. Możemy w pełni zaspokoić potrzeby krajowe, w tym zwłaszcza te wymagające zwiększonego poziomu bezpieczeństwa. Jesteśmy też nastawieni na globalną ekspansję i eksport.

Pańska firma tworzy, całkowicie od podstaw, polską technologię 5G. Co dokładnie to oznacza?

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl efefd978f4

Dostarczamy kompletne sieci komórkowe 4G i 5G. Mówiąc „kompletne", mam na myśli to, że w ofercie znajduje się sprzęt, oprogramowanie oraz niezbędne usługi planowania i instalacji. Nowoczesne sieci są jednak w coraz mniejszym stopniu definiowane przez sprzęt, a ich funkcjonalność określa oprogramowanie. To właśnie głównie w obszarze software skupiamy swoje wysiłki twórcze.

Na jakim etapie jest ten projekt?

Z powodzeniem zaprojektowaliśmy i zaimplementowaliśmy funkcjonalności sieci RAN, a więc sieci radiowej i Core, czyli sieci szkieletowej. Co więcej, budujemy tzw. orkiestratory sieci oraz RIC, czyli oprogramowanie sterujące siecią radiową. To, co nas wyróżnia, to sposób, w jaki budujemy naszą sieć – stawiamy na tzw. model otwarty, zwany też Open RAN, czyli taki, w którym poszczególne komponenty sieci mogą pochodzić od różnych dostawców. Jesteśmy jedyną firmą w kategorii małych i średnich w Europie, która tak szeroko pokrywa łańcuch wartości w Open RAN. Zostało to zresztą zauważone w listopadowym raporcie największych europejskich operatorów. W tym modelu komponenty od różnych dostawców działają ze sobą, co stanowi niemałą rewolucję na rynku telekomunikacyjnym. Jeśli chodzi o stopień gotowości, to zaprezentowaliśmy kompletną działającą sieć 5G na tegorocznych targach Mobile World Congress 2021 w Barcelonie i dziś jesteśmy na etapie testów u klientów i partnerów zarówno w Polsce, jak i za granicą.

Gdzie udało się już wdrożyć wasze rozwiązania?

Pierwsze nasze wdrożenia to prywatna sieć 5G dla jednego z liderów przemysłu 4.0 w Polsce. Drugie stanowi zastosowanie naszego systemu w dostarczeniu łączności krytycznej. Wspólnie z firmą MindMade z grupy WB na targach MSPO w Kielcach zaprezentowaliśmy rozwiązanie przeznaczone dla służb oraz Sił Zbrojnych RP. W dużym uproszczeniu to bezprzewodowa, bezpieczna sieć, którą można zabrać ze sobą w dowolne warunki „w plecaku". Testowaliśmy to rozwiązanie w polu przy dużym zainteresowaniu potencjalnych klientów. Po testach u klientów w tym roku czekają nas komercyjne wdrożenia w 2022 r. w kilku miejscach na świecie.

Mówi pan o ekspansji zagranicznej. Czym polskie 5G może zaciekawić zagranicznych klientów? Komu chcecie oferować swoje rozwiązania?

Od pierwszego dnia naszej działalności jesteśmy nastawieni na rynek globalny. To, że jesteśmy zauważani i doceniani, potwierdza wspomniany wcześniej raport przygotowany przez operatorów. Z wieloma z nich rozmawiamy i widzimy w nich naszych przyszłych klientów. Drugą grupą jest przemysł, który potrzebuje sieci prywatnych. Rozmawiamy też z samorządami, lokalnymi mniejszymi operatorami, branżą logistyczną – oni wszyscy mogą uczestniczyć w oddolnym tworzeniu sieci 5G. Wielką wartością są dla nas wspaniali partnerzy, z którymi chcemy prowadzić ekspansję na rynki zagraniczne. Jednym z nich jest Comarch, z którym podpisaliśmy porozumienie kilka dni temu.

Będzie sukces?

Myślę, że mamy duże szanse. Polacy mają bardzo dobrze rozwinięte umiejętności niestandardowego rozwiązywania problemów oraz abstrakcyjnego myślenia. Coś w nas zostało z Polskiej Szkoły Matematycznej. Być może dlatego nasi programiści regularnie plasują się na czołowych lokatach w konkursach i rankingach. A jak już wspominałem, nowoczesne sieci komórkowe są oparte przede wszystkim na oprogramowaniu. Moim zdaniem te szczególne uwarunkowania to nasza dziejowa szansa, którą należy wykorzystać.

Aby to było możliwe, konieczna jest współpraca sektora prywatnego i państwa. Niedawno podpisaliście porozumienie z Instytutem Łączności – Państwowym Instytutem Badawczym i Politechniką Warszawską. Czego ono dokładnie dotyczy?

Współpracy na rzecz cyberbezpieczeństwa sieci 5G. IS-Wireless wspólnie z partnerami opracuje model zwiększający bezpieczeństwo sieci telekomunikacyjnych opartych na ekosystemie wielu dostawców. Wspomniany model budowy sieci w modelu otwartym zyskuje na znaczeniu. Według różnych prognoz już za kilka lat większość sieci będzie powstawać właśnie w tym modelu. Bardzo ważne jest, by te sieci były jak najbardziej bezpieczne. Stąd wysiłki nasze i partnerów, by to bezpieczeństwo zapewnić. Potrzebny jest jeden wspólny standard bezpieczeństwa, który może zostać wypracowany w gronie firm uczestniczących w budowie sieci telekomunikacyjnych. Celem szczegółowym współpracy z IŁ-PIB i PW jest opracowanie specyfikacji, a następnie implementacja i ewaluacja bazowego schematu bezpieczeństwa dla sieci 5G, które oparte będą na wielu dostawcach zarówno na poziomie infrastruktury sprzętowej, platformy wirtualizacyjnej oraz warstwy programowej. Stworzony model ewaluacji bezpieczeństwa sieci będzie zgodny ze schematem certyfikacji sieci 5G, który właśnie powstaje w Europie, ponieważ jest wpisany w strategię cyberbezpieczeństwa UE.

Zdaniem niektórych ekspertów kwestie cyberbezpieczeństwa Polski powinniśmy rozpatrywać w szerszym kontekście. Dla jednych jest nim Unia Europejska, dla innych Trójmorze. Jakie jest pańskie zdanie na ten temat?

Jestem zwolennikiem rozpatrywania cyberbezpieczeństwa w szerokim ujęciu. Stanowi ono domenę konkurencji zarówno pojedynczych firm, jak i całych państw. Można zaryzykować stwierdzenie, że jest to niejako domena wojny XXI w. Od tego, jaką pozycję na tym polu zajmiemy, jakie aktywa będziemy kontrolować i jaką strategię realizować, zależy przyszłość nas i naszych dzieci. W tym celu powinniśmy wykorzystywać wszystkie dostępne fora, organizacje i mechanizmy wpływu na otaczający nas świat. Dlatego tak istotne jest, abyśmy stawiali na rozwój własnych technologii i wykorzystywali je do zbudowania polskiej przewagi konkurencyjnej.

eprasa.pl efefd978f4

MARCIN SCELINA*

Bieszczady na talerzu

Moja mama, z dziada pradziada pochodzi z okolic Leska. Ja urodziłem się w Kłodzku, bo ojciec wywodzi się z Dolnego Śląska. Mieszkaliśmy tam cztery lata, a potem wróciliśmy w rodzinne strony mamy. Większość życia, a całość świadomego, spędziłem w szeroko rozumianych Bieszczadach. Nie musiałem robić wiele, by mieszkać i pracować tam, gdzie chciałem.

Wychowałem się w wielopokoleniowym domu, gdzie w kuchni spotykały się potrawy przygotowywane przez babcię i mamę, ale też tatę, który miał smykałkę do gotowania. Moje ulubione danie – nazywane u nas „kapusta z fasolą" – jest połączeniem bigosu, kwaśnicy i zupy fasolowej. W składzie jest też trochę marchewki. I oczywiście kminek.

Potrawa jest jarska, ale pożywna. No i ten smak... Dla mnie rewelacja. Chociaż warto tu zaznaczyć, że wiele zależy od kapusty. Wiadomo – jak ogórki kiszone (to też jeden z pierwszych smaków, jakie kojarzę z dzieciństwem), tak i robiona we własnym zakresie kapusta, w każdym domu jest trochę inna. U nas zawsze kisiło się ją z marchewką i kminkiem.

Pamiętam taki obrazek: mam może cztery lata, przed nami parujące talerze, jemy z ochotą, a dziadek podsuwa mi jeszcze, dodatkowo, parę łyżek fasoli. Bo od małego bardzo fasolę lubiłem. I to mi zostało. Podobnie jak sentyment do domowych rogalików.

Były robione na śmietanowym cieście i wypełnione truskawkowo-agrestowym nadzieniem. I chociaż trafiały do tej marmolady też inne letnie owoce, dla mnie najważniejszy był w niej jeden – biały drobny agrest. Nie kupi się już dziś tej odmiany, ale u nas przetrwała. Smak rwanego prosto z krzaków agrestu (rosnącego w cieniu, czyli w gorące lato nie tak rozgrzanego) przebija wszystko.

Mieszkam w lesie, więc jagody, maliny, grzyby dostępne mamy na co dzień. Na wyciągnięcie ręki jest też np. mięta długolistna czy dodające smaku macierzanka i lebiodka (dzikie oregano).

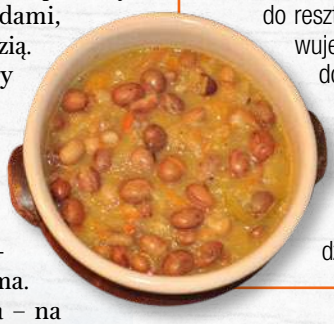
Kiedy słyszę pytanie, jakie potrawy kojarzą się z Bieszczadami, mam problem z odpowiedzią. Bieszczady to teren, który nie ma ciągłości osadniczej. II wojna światowa, potem masowe deportacje w ramach akcji „Wisła" i „H–T", sprawiły, że rdzennych mieszkańców praktycznie tu nie ma. Za to ostatnio jest moda – na potrzeby przyjeżdżających turystów – powoływania się na tradycje bojkowskie, łemkowskie czy rusińskie, w zakładanych przez przyjezdnych knajpkach. Dla mnie to trochę sztuczne, ale spróbować proponowanych tam dań można.



Kapusta z fasolą

Składniki: 0,5 kg suchej drobnej fasoli, 1 kg kapusty kiszonej, 1 cebula, przyprawy: kminek, pieprz czarny, ziele angielskie, liść laurowy, sól.

Wykonanie: Fasolę zalewamy wodą i zostawiamy na noc albo dłużej do namoczenia. Wodę z fasoli zlewamy, zalewamy świeżą wodą i gotujemy ok. 2 godzin do zmięknięcia. Pod koniec gotowania dodajemy 0,5 łyżki soli. Kapustę kiszoną zagotowujemy, wodę zlewamy, pozostawiając część do ewentualnego zakwaszenia. Ugotowaną kapustę i fasolę mieszamy, dodajemy trochę wody i przyprawy. W międzyczasie kroimy cebulę w drobną kostkę i szklimy na oleju lub smalcu. Dodajemy do reszty składników i zagotowujemy. W razie potrzeby dodajemy do zakwaszenia wodę z kapusty. Zupę można zagęścić zasmażką lub zgniecionymi ziarnami fasoli. Najlepsza jest na drugi dzień po zrobieniu.



Jeśli jednak pyta mnie pani o lokalne smaki, to przychodzi mi jeszcze do głowy coś znakomitego, a zarazem bardzo prostego. Tylko potrzebny jest kaflowy piec z blachą. Jak jest rozgrzana, kładzie się na nią pokrojone w plastry i posypane solą ziemniaki. Wystarczy chwila, żeby podpiekły się z obu stron. Potem zjada się je gorące, maczane w śmietanie. Znakomite! Jak się ta potrawa nazywa? Różnie w różnych domach. Jak przybiegałem ze szkoły, często prosiłem babcię o „placki bogackie". Ale i tak daniem numer jeden była i jest dla mnie kapusta z fasolą.

notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

** leśnik, współprowadzący (z Kazimierzem Nóżką) profil facebookowy Nadleśnictwa Baligród, współautor książek z cyklu „Zanim wyjedziesz w Bieszczady"*

Fot. Marcin Scelina

eprasa.pl efefd978f4



SŁODKO-SŁONY

Liczą się dobre składniki

ANNA MONICKA

To niby tylko zwykła kapusta, ale jej zapach oderwał moje dziecko od komputera i komórki, a następnie wywabił z pokoju do kuchni (zjadła na śniadanie i oblizywała się przez cały dzień), więc może zasługuje na krótką wzmiankę. I naśladownictwo.

No więc tak, zawsze jest z grzybami, a w tym roku postanowiłam stanąć okoniem. U rodziców niech będzie, ale u mnie nie. Jako główny dodatek wybrałam najbardziej słoneczne owoce, jakie znam, czyli morele. I to był strzał w dziesiątkę.

Reszta składników? Lista będzie krótka, ale czasem mało znaczy więcej. Przede wszystkim kapusta. Specjalnie po nią wybrałam się do tak zwanego miasta, a konkretnie na targ w Fortecy Kręglickich, gdzie można spotkać pana Ziółka z żoną i dziećmi. Mają najlepsze warzywa i kropka. A przy tym są rolnikami ekologicznymi nie tylko z nazwy. Latem pan Ziółko zachęca do zakupów, częstując gości ogórkami własnej roboty. Jak nie zjawisz się o godzinie 8 rano, gdy otwierają, nie dostaniesz już pomidorów prosto z pola, bo wykupią je restauratorzy. Nic więc dziwnego, że u niego kupiłam kapustę kwaszoną. Lepszej nie jadłam, a od kapust jestem uzależniona od dziecka: chrupiąca, słodkawa, delikatna, soczysta. A jaki puściła sok? Można go podawać na stół w kryształowym dzbanku.

Pokrojona i rzucona na zazłoconą na oliwie cebulkę (5 dużych cebul na 3 kg kapusty) po prostu musi się posmażyć. Morele – nie pierwsze lepsze, ale dojrzewające i suszone na greckim słońcu. W przeciwieństwie do tych siarkowanych są ciemnobrązowe. Kupuję je zawsze zamiast cukierków i zajadam, kiedy potrzebuję słodyczy. Pokroiłam w paseczki 30 pięknych, dorodnych owoców. Do tego wyjęłam z kompotu wigilijnego suszone jabłka, posiekałam i dodałam do kapusty. To wszystko. Nie potrzebowała żadnej soli czy innych przypraw. Musiała tylko się dobrze poddusić. Nabrała dzięki morelom miodowego koloru i niesamowitego zapachu. Trochę lata i słońca w środku zimy. Po świętach jadę po następne wiadro, bo nie ma szans, żeby dotrwała do sylwestra.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Co z dzikami?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Odstrzał sanitarny dzików jest wciąż prowadzony. Czym się różni od polowania? Polowanie to część planowej gospodarki łowieckiej. Liczbę dzików planowanych do odstrzału ustala roczny plan łowiecki. Są też plany wieloletnie, obejmujące szerszą wizję kształtowania populacji.

Plany są ustalane przez myśliwych znających swój obwód łowiecki. Przeważnie też w ramach obwodu członkowie koła mają swoje rewiry i niejednokrotnie niewiele przesady jest w stwierdzeniu, że znają każde zwierzę. Aby zapewnić obiektywność, przed zatwierdzeniem plany przechodzą długą drogę administracyjną.

Po co polować? Polowania mają sens, jeżeli są częścią gospodarki łowieckiej (w której ramach prowadzi się także wiele innych działań na rzecz przyrody). Gospodarka jest odpowiedzią na fakt, że przyroda wokół nas jest zmieniona w stosunku do stanu pierwotnego. Inne proporcje drapieżnik–ofiara, brak rozległych, nietkniętych powierzchni i siedlisk, zapewniających stabilność ekosystemu. Prowadzona na podstawie wiedzy i doświadczenia pozwala reagować w przypadkach, w których bez niej bylibyśmy bezradni. Np. eliminacja obcych, inwazyjnych, wyrządzających szkody jenotów i szopów. Albo utrzymanie populacji dzików w granicach, które umożliwią produkcję rolną.

Odstrzał sanitarny jest natomiast działaniem wyjątkowym – w tym przypadku zarządzonym w celu zapobiegania rozprzestrzeniania się afrykańskiego pomoru świń. W przeciwieństwie do polowań, nastawionych na utrzymanie liczebności, która jest korzystna dla gatunku i gospodarki, ma bardzo silnie ograniczyć liczbę dzików. Problem w tym, że zbyt wiele nie wiemy. Może zamiast odstrzału sanitarnego wystarczyłyby polowania, których lokalizacja zostałaby tak ustalona, aby „odsunąć" dziki od gospodarstw z trzodą chlewną? Może skuteczność odstrzału sanitarnego to promil tego, co dałaby konsekwentna bioasekuracja – deratyzacja gospodarstw, ukrócenie wałęsania się psów i kotów, dezynfekcja ubrań i sprzętu ludzi zajmujących się świniami?

Dziki są rodzimym gatunkiem, który ma swoją rolę w przyrodzie, regulując liczbę owadów i gryzoni, wspomagając obsiew drzew leśnych, obieg materii itp. Co będzie, jak ich zabraknie?

W przypadkach kiedy jest zbyt dużo niewiadomych, ryzykowne jest sprawdzenie hipotezy poprzez wdrożenie najbardziej drastycznego środka. Zwłaszcza kiedy ingeruje się w przyrodę.

eprasa.pl efefd978f4



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Stan wojenny i dziennikarze

Stan wojenny zablokował na całą dekadę nie tylko przemiany polityczne czy ekonomiczno-gospodarcze, ale też bezpowrotnie zahamował tworzenie nowego wolnego oblicza mediów. Zamrożenie przemian, jakie następowały w redakcjach i w głowach wielu dziennikarzy, było szansą, która raz utracona już nigdy nie powróciła.

W archiwum po dawnym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych zachował się dokument, który regulował zasady powoływania komisji weryfikacyjnych oraz sposób ich pracy, nie został jednak opatrzony datą wytworzenia. Domniemywać jednak należy – biorąc pod uwagę precyzję operacji stanu wojennego i długofalowość przygotowań do niej – że mógł powstać przed 13 grudnia 1981 r. Dokument informuje, że Wojewódzkie Sztaby Informacji i Propagandy odpowiadały za weryfikację „dziennikarzy pism partyjnych, czytelnikowskich i popołudniówek, rozgłośni regionalnych, ośrodków telewizyjnych, tygodników społeczno-kulturalnych, oddziałów pism i agencji", a także „pracowników wydawnictw, drukarń, kolportażu oraz administracji, techniki i obsługi radia i telewizji". Dokument określa także partyjne składy komisji weryfikacyjnych. Terenowych dziennikarzy przesłuchiwać mieli przedstawiciele Centralnego Sztabu Informacji i Propagandy, KW PZPR, WP, MSW, GUKPPiW oraz kierownictwo Radiokomitetu lub ZG RSW. Redaktorzy naczelni zostali ponadto „wyposażeni w narzędzia pozwalające im zwolnić pracowników z jednostki zmilitaryzowanej w innych wypadkach niż utrata zdolności do wykonywania zawodu czy osiągnięcia wieku emerytalnego".

SITA WERYFIKACYJNE

W Warszawie weryfikację prowadziły zespoły, których skład tworzyli przedstawiciele: Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, Komitetu Warszawskiego PZPR, Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, MSW, kierownictwa Komitetu ds. Radia i Telewizji, Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, przedstawicieli kierownictw Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego, członków Centralnego Sztabu Informacji i Propagandy, Zarządu Głównego Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Warszawski Sztab Propagandy miał za zadnie powołać zespoły do przeprowadzania weryfikacji dziennikarzy pism pozacentralnych, rozgłośni regionalnych, lokalnych ośrodków telewizyjnych oraz pracowników wydawnictw, drukarń, kolportażu, ale też administracji, techniki oraz obsługi radia i telewizji.

Czystki w warszawskim środowisku dziennikarskim po 13 grudnia 1981 r. prowadziło osiem powołanych zespołów dla gazet, czasopism i agencji oraz cztery funkcjonujące w Komitecie ds. Radia i Telewizji. W Warszawskim Ośrodku Telewizyjnym na 35 osób z redakcji z czterema rozwiązano umowy. W Komitecie ds. Radia i Telewizji w Warszawie do marca 1982 r. na 7700 osób zatrudnionych przeprowadzono 5155 rozmów weryfikacyjnych, w tym 412 zakwalifikowano do zwolnienia, 74 przeniesiono na inne stanowisko, a 76 urlopowano.

Proces weryfikacji dotyczył także kwestii oceny działalności Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Solidarności oraz organizacji opozycyjnych. Zawieszonemu SDP szybko przydzielono komisarza w randze pułkownika, którego zadaniem było wertowanie głównie finansowej dokumentacji stowarzyszenia, z intencją udowodnienia władzom SDP finansowych malwersacji i nadużyć. Kolejnym ruchem było zwalnianie pracowników administracyjnych stowarzyszenia, a następnie – w marcu

eprasa.pl efefd978f4

– rozwiązanie SDP. W jego miejsce niemal natychmiastowe, 20 marca 1982 r. pod patronatem reżimu, powołano nową organizację – Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, z prezesem prof. Klemensem Krzyżagórskim na czele. Środowisko dziennikarskie przesycone agenturą kipiało od plotek i szeptanej propagandy, która nasilała się w czasie likwidacji SDP i powołania w jego miejsce SD PRL.

27 marca 1982 r. Maciej Łukasiewicz odnotował: „Rzecz ciekawa: pojawiły się plotki, że władze SD, czyli my sami, zalecamy kolegom, aby masowo wstępowali do SD PRL w celu odebrania władzy betonowi. Każdy chwyt dobry?". Duże zamieszanie w środowisku dziennikarzy wywołał protest dziennikarzy SDP przeciwko likwidacji ich stowarzyszenia, część dziennikarzy, która złożyła swoje podpisy, kierowana różnymi obawami, wycofywała je. „Wpadała Janka Paradowska. W »Kurierze« coraz duszniej. Podpisów pod listem w sprawie SDP zebrała niewiele. Nawet Julek się spietrał – najpierw podpisał, potem prosił o skreślenie podpisu, więc Janka zniszczyła tamtą kopię i wpadła, by podpisać się po raz drugi na moim egzemplarzu. Zauważyłem, że w ten sposób »spadał« też podpis jej męża. Przypadek czy przezorność? Inni przyzwoici – Leszek Chmielewski, Stefan Drabek, Andrzej Gestern, na których można było liczyć – również powykręcali się pod różnymi pozorami: że nie ten adresat, że nieodpowiednie sformułowania itd. Jedna osoba powiedziała Jance, że podpisze nasz protest, ale jako ostatnia", notował w swoich dziennikach w kolejnym miejscu Maciej Łukasiewicz.

ESBECY I WERYFIKATORZY

Znaczna część grupy inicjatywnej komitetu założycielskiego SD PRL była zarejestrowana w charakterze współpracowników SB, w trakcie inicjowania SD PRL lub jeszcze wcześniej. Byli to: Leonard Wąchalski – dysponent LK ps. Przyjaźń w Poznaniu, także kontakt poufny Wydz. III Depart. II (w latach 1966–1975); Jerzy Ambroziewicz, KO ps. Altro Wydz. III Depart. I (lata 1976–1979); Kazimierz Koźniewski, wieloletni współpracownik SB, konsultant i TW ps. 33; Andrzej Dobrzyński, zarejestrowany jako kontakt poufny Wydz. II KS MO (lata 1963–1974); Jerzy Walasek, zarejestrowany jako KO ps. JW Wydz. I Depart. II (lata 1979–1984); Jacek Żemantowski, wybrany na członka tymczasowego Zarządu Głównego, zarejestrowany jako kontakt poufny, a następnie KO ps. Senior (lata 1968–1977); Florian Dłużak, wybrany na wiceprzewodniczącego SD PRL (lata 1982–1987), zarejestrowany jako KO, a następnie punkt korespondencyjny Departamentu I (lata 1979–1986).

Członkowie rozwiązanego SDP rozpoczęli działalność nieoficjalną i nielegalną. Władzy jednak udało się podporządkować oficjalne środowisko dziennikarskie, a dziennikarze niezweryfikowani i wyrzuceni z oficjalnego nurtu zaczęli zasilać wydawnictwa drugiego obiegu. Za współpracę z Solidarnością groził dziennikarzom trzyletni wyrok za „nielegalną działalność związkową".

Jak zauważył Daniel Wicenty, z punktu widzenia „reprodukcji systemu komunistycznego rola SDP nie była jednak przesadnie znacząca". Cenne z punktu badawczego rozpoznania procesu sowietyzacji środowisk intelektualnych RP byłoby prześledzenie zachowań środowiska dziennikarskiego i SDP w chwili początków stowarzyszenia u progu lat dojrzałego stalinizmu, w tym powody, dla których SDP zastąpiło powołany w 1944 r. w Lublinie Związek Zawodowy Dziennikarzy RP.

W całym okresie PRL SDP jawił się jako organizacja niesamodzielna, wręcz fasadowa, stojąca nisko w realnej hierarchii instytucji wpływających na środowisko dziennikarskie. Kusiła dziennikarzy pulą dóbr rzadkich w PRL, talonami na samochód, wczasami za granicą, czy możliwością wykorzystywania kontaktów stowarzyszenia z międzynarodowymi organizacjami dziennikarskimi i wiążącymi się z tym wyjazdami zagranicznymi. Jednak ta ostatnia możliwość zarezerwowana była zasadniczo dla władz i aktywistów stowarzyszenia.

Dopiero Sierpień '80 i zmiany, jakie przyniósł, dały asumpt do aktywizacji i gwałtownych zmian w SDP. „Solidarnościowy karnawał" jawi się we wspomnieniach wielu dziennikarzy jako „złoty okres", w którym organizacja odzyskała tożsamość, jej relacje z PZPR utraciły charakter wiernopoddańczy, a dziennikarze nie musieli się wstydzić wykonywanego zawodu. Wielu dziennikarzy Sierpień '80 przeżywało w Stoczni Gdańskiej podczas strajku, doświadczając na żywo toczącej się historii i jej siły. Część przyjeżdżała tylko z ciekawości, inni przebywając na urlopie.

Dokonujące się od sierpnia 1980 r. przemiany w kraju, przewartościowywanie postaw dziennikarzy i całych redakcji, ich odpływ z PZPR, ale też tworzenie w redakcjach komórek Solidarności zmuszało aparat bezpieczeństwa do nowych planów i działań operacyjnych obejmujących środowiska dziennikarskie. Chodziło także o utrzymanie i skuteczne zadaniowanie dotychczasowej agentury. Dziennikarze RSW „Prasa-Książka-Ruch" objęci byli od 1970 r. stałym nadzorem sprawy obiektowej o kryptonimie Unia, założonej przez Departament III MSW, mającej na celu przede wszystkim rozpracowywanie i rozpoznawanie zagrożeń płynących z infiltracji ugrupowań opozycyjnych w kraju i zachodnich ośrodków „dywersji ideologicznej". Plan działań operacyjnych na niespokojny rok 1981 w sprawie obiektowej Unia przewidywał wzmożoną koncentrację i pracę operacyjną na dziennikach wydawnictwa RSW o zasięgu ogólnokrajowych, przede wszystkim „Życiu Warszawy", „Trybunie Ludu" i „Sztandarze Młodych".

Plan działań operacyjnych bezpieki na rok 1981 zawierał bilans sytuacji polityczno-operacyjnej w poszczególnych „obiektach prasowych". I tak w „Życiu Warszawy" na 118 zatrudnionych pracowało 36 członków PZPR, w tym na rzecz aparatu bezpieczeństwa 10 osobowych źródeł informacji (8 tajnych współpracowników i 2 KO); w „Trybunie Ludu" – na 185 zatrudnionych 130 zatrudnionych to członkowie PZPR, w tym 14 dziennikarzy było wykorzystywanych jako osobowe źródła informacji; w „Sztandarze Młodych" na 92 zatrudnionych 28 to członkowie PZPR, w tym dwa TW jako osobowe źródła informacji.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl efefd978f4

Noworoczne myśli



Alina Czerniakowska

Dzisiaj zasadniczy, najważniejszy problem polega na tym, jak pokonać wszechobecne kłamstwo. Joseph Goebbels mówił: „Kłamstwo powtórzone tysiąc razy staje się prawdą", a Józef Stalin nie dopuszczał żadnej dyskusji, każdy musiał przyjąć do wiadomości, że „Komunista nie zna, co to kłamstwo, kłamią tylko nasi wrogowie".

Okazuje się, że historia zatoczyła koło, niewiele się zmieniło, podobny sposób myślenia jest uprawiany przez obecną totalną opozycję na czele z Donaldem Tuskiem. Kłamią wbrew znanym sobie faktom, zasadom, nie mówiąc już o dekalogu, sumieniu czy chociażby podstawach dobrego wychowania. Niektórzy dochodzą do perfekcji w tej sztuce manipulacji i potrafią stworzyć wokół siebie gruby pancerz utkany z wieloletniego kłamstwa tak skutecznego, że aż prawdopodobnego dla nich samych i odbiorców. „Kłamstwo – brak zaufania – rozpad wszelkiej wspólnoty społecznej, narodowej, rodzinnej – upadek państwa". Tak pisał Tadeusz Kotarbiński i wyjaśniał istotę kłamstwa, które potrafi w odbiorze społecznym stać się prawdą.

Gdy rozmawiam z nielicznymi już ludźmi, urodzonymi i wychowanymi w Polsce przedwojennej, którzy nie dali się zwieść komunistycznej machinie, głęboko mają zakodowane zasady honoru, prawdy, czyniące człowieka szlachetnym, godnym zaufania. Dla mojego ojca wystarczały trzy słowa „Tak nie wypada" – aby pozostać wiernym sumieniu. Poczucie prawdy było tak naturalne, że nawet nie wypadało o tym mówić. Ktoś dzisiaj powie, że jeśli nie ma się zasad, to nie ma czemu być wiernym. Jednak zostaje jeszcze sumienie – „najtajniejsze sanktuarium człowieka" – jak mówił Jan Paweł II. Ale jak się okazuje, ostatnio wszystko zostało zdewaluowane, ośmieszone, uznane jako niemodne, wręcz nieistniejące.

Jednak wszelkie kłamstwa, krętactwa, fikcje, zdrady mają swoje granice, poza którymi jest tylko upadek, przepaść, wyrwa... już tak dalej nie da się brnąć. Człowiek ma jednak oczy – „zwierciadło duszy", jak mówił mistrz kina Federico Fellini – „oczy nie pozwalają być doskonałym kłamcą, zawsze pokażą, co w duszy ukrywasz". Rozbiegane oczy na ekranach telewizyjnych mówią swoim głosem i nie pomagają tu żadne sztuczki operatorów filmowych ani przeróżnych speców od wizerunku, nie daje się ukryć, że kręcą, motają – po prostu kłamią. Ksiądz Jan Góra, którego uwielbiała młodzież, powiedział znamienne zdanie: „Jan Paweł II nauczył mnie mówić, patrząc ludziom w oczy". Ta myśl świetnie pasuje do innej znanej maksymy: „Żyj tak, abyś mógł codziennie patrzeć spokojnie ludziom w oczy i na swoją twarz w lustrze". „Niczym knuty i cielesnych tortur król. Lecz narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból" – dawno temu pisał poeta, a dzisiaj mamy gender, rozwiązłość, wyuzdanie, brak moralności, rozpasany wulgaryzm i zło – moda na życie, jakby Boga nie było. Wystarczy posłuchać w miejscach publicznych, jakim językiem posługują się ludzie, nawet dzieci, by z niepokojem patrzeć w przyszłość. „Bóg się rodzi, moc truchleje..." – dla człowieka wierzącego, radującego się z narodzenia Jezusa, nie ma zła, którego nie można byłoby pokonać, zwyciężyć, bo przecież „dla Boga nie ma rzeczy niemożliwych.

„W Ojczyźnie, która dumy nie znała, dumnym być uczyłem" (Józef Piłsudski). Dzisiaj ta duma z polskości jest nam szczególnie potrzebna, żeby nie bać się mówić prawdę, domagać się szanowania i egzekwowania naszych narodowych racji, bo zasłużyliśmy, by mieć właściwe miejsce w Europie i świecie.

Europa nie chce znać prawdy o Polsce, która obroniła świat przed bolszewizmem w 1920 r. Bogate kraje Europy i świata nie chcą wiedzieć, gdzie się zaczęła okrutna, hańbiąca II wojna światowa, kto był zbrodniarzem, agresorem, a kto nieugięcie bronił się do ostatnich sił. Bogaci przywódcy Zachodu nie lubią wspominać o Katyniu, Jałcie, której konsekwencje trwają. Zdradzona Polska, ten wierny sojusznik, samotnie przez ponad pół wieku walczyła ze zbrodniarzami spod znaku NKWD, UB, KGB, straciła najdzielniejszych, najwspanialszych jej synów, tej wyrwy nie udało się i nie uda zapełnić. Musimy walczyć o prawdę.

Polska niewygodna, przeszkadzająca w zbrataniu się dwóch wielkich sąsiadów, musi być dumna i silna swoją niegdyś wielkością i naszą dzisiaj mądrością i odwagą. Najbardziej wpływowe państwa, kierownictwo Unii Europejskiej i powiązani z nimi potentaci finansowi, rozgrywają bez skrupułów z góry zaplanowane strategie, korupcyjne układy. Nie liczą się metody i środki, są bezkarni. Liberalno-lewicowe środowiska, ludzie do niedawna mający rozpasaną, nieograniczoną władzę w Polsce, nadal są silni, mają prywatne media, wielkie pieniądze, najczęściej pochodzące ze złodziejskiej prywatyzacji zaraz po 1989 r. Niestety wspierani są przez część społeczeństwa ogłupioną przez wrogą propagandę w rękach służb, obcego kapitału, macek sięgających poza Polskę. „Nieszczęsna Europo! Zginiesz przez moralne obłąkanie twoich dzieci" – pojawił się dramatyczny wpis w internecie.

W polskim narodzie narasta silna tęsknota za prawdą i ona zwycięży.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl efefd978f4

PRZEZ ŚWIETLIK

Bank holiday



Wiktor Świetlik

Rozumiem, że ktoś może nie mieć choinki, nie iść na pasterkę ani nie mieć świąt Bożego Narodzenia, bo obchodzi żydowską Chanukę, muzułmańskie święto ofiarowania, bo ma wszystko poprzesuwane jak prawosławni albo obchodzi buddyjskie święto oświecenia. Może w ogóle nie wierzyć, ale obchodzić Boże Narodzenie, bo to jego tradycja. Ale jeśli ktoś nie obchodzi nic, a tych kilka wolnych dni, które właśnie minęły, to tylko „bank holiday" – jak piszą często współczesne korporacje i ambasady w życzeniach – to musi być z nim marnie.

Właśnie miał kilka dni wolnych. Frustrował się otoczeniem odprawiającym niezrozumiałe rytuały. Martwił o karpia w wannach, ścięte jodły i świerki, które w dodatku stanowią zagrożenie przeciwpożarowe, o imprezy masowe w kościołach zakłócające spokój i gromadzące niebezpieczne liczby ludzi. Nienawistny, otaczający świat, który w tym czasie się integruje i próbuje choć przez kilka dni żyć inaczej niż na co dzień. Dla niego to tylko te polityczne awantury przy wigiliach i przedświąteczna komercja. No i jeszcze drastyczne łamanie neutralności religijnej państwa i mediów, szczególnie tych publicznych. Prezydent (ten nie jego, okupacyjny) gwałcący jego uszy, mówiąc o „błogosławieństwie" i pieśni szerzące religijny zabobon. A potem przypominanie, że rok 2022 liczymy od czasu, kiedy nastąpiły jakieś nieistniejące, a zarazem – choć niby w tym sprzeczność – sprowadzające na ludzkość same nieszczęścia wydarzenia.

Komuniści choć kazali wyznawcom się modlić do jakichś swoich brodatych proroków. Ich dzieciom jest dużo trudniej, a także tym, którzy uwierzyli, że ludzką egzystencję można sprowadzić do seriali ze streamingu i walki o klimat albo swobodę inżynierii biologicznej. Ponad 20 lat temu pisałem dla tygodnika „Nowe Państwo" reportaż o tym, jak święta spędzają ostatni komuniści. Pamiętam opowieść jakiegoś starszego pana, działacza organizacji ateistycznej, który szedł na kompromis. On nie chciał zabobonnej choinki, dzieci chciały, więc ustawiał ją na balkonie.

„Zmodernizowani" przedstawiciele tego samego gatunku co my na kompromisy nie idą. W imię postępu wolą w te kilka dni, kiedy wszyscy jesteśmy szczęśliwi, swoje szczęście odnaleźć w codziennej żółci, wraz ze swoją zawsze jej pełną gazetą. Mówi się, że w święta człowiek nabiera nowych sił. Oni też. Do tego, by jeszcze głośniej krzyczeć, kogo będą w..., a kogo j..., a kogo wyślą do Auschwitz, a komu ich lider życzy śmierci samobójczej.

Ale w końcu duch wieje tam, gdzie chce. Życzę więc Państwu, im i sobie, by w Roku Pańskim 2022 zawiał także w tamtym kierunku, a także byśmy sami tacy nigdy się nie stali.

Licencja na zabijanie



Lech Makowiecki

To nie recenzja kolejnego filmu z Jamesem Bondem. Raczej głos w dyskusji o prawie do odbierania ludziom życia. Już pierwszy kodeks człowieczeństwa – Dekalog – przestrzegał: „Nie zabijaj!". Znawcy hebrajskiego twierdzą, że piąte przykazanie zostało błędnie przetłumaczone. Dokładny jego przekład brzmi: „Nie morduj!". Ulżyło mi, bo to oznacza, że skuteczna obrona kraju przez żołnierzy nie jest grzechem. Podobnie jak – w przypadku zagrożenia życia – zabicie napastnika w obronie własnej. Przez setki, tysiące lat maksyma „Oko za oko, ząb za ząb" Kodeksu Hammurabiego raz lepiej, raz gorzej regulowała zależność między popełnioną zbrodnią i adekwatną karą. Aż nastały nam czasy rozkwitu niebywałego humanitaryzmu...

Sądy przejmują się dziś bardziej dobrostanem przestępców niż losem ich ofiar! W wyniku zmian mentalności elit w większości cywilizowanych krajów zniesiono karę śmierci. I właśnie dlatego Norweg Anders Breivik – wielokrotny morderca, który w dwóch zamachach terrorystycznych z zimną krwią zamordował 77 osób – otrzymał karę zaledwie 21 lat więzienia. Z możliwością starania się o przedterminowe zwolnienie po 10 latach! A to oznacza, że sprawca największego masowego morderstwa popełnionego przez jedną osobę już może starać się o wyjście na wolność.

Czy ta lewacka nadwrażliwość obowiązuje wszędzie i wszystkich? Ależ skąd! Walka o prawo kobiet do aborcji na życzenie zwyciężyła w wielu krajach. Usuwa się już nie tylko dzieci z wadami genetycznymi (które stanowią niewielki ułamek procenta wszystkich ciąż). To prawdziwa „rzeź niewiniątek"! Na zmiłowanie nie mogą też liczyć starzy, chorzy i bezbronni emeryci, będący ciężarem dla społeczeństwa. Eutanazja ma znacząco poprawić jakość ich życia. W lepszej sytuacji są kotki, dziki, żabki czy korniki, które zawsze znajdą swych żarliwych obrońców. Dziś nawet za popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości trudno by kogoś sprawiedliwie ukarać. Norymbergi 2 nie będzie.

eprasa.pl efefd978f4

RZECZY POSPOLITE

Na nowy rok



Tomasz Łysiak

Gdy przychodzi Nowy Rok i w niebo strzelają ognie sztuczne, a ludzie stukają się kieliszkami z szampanem, myślę sobie, iż wśród owych milionów osób znajduje się także cała masa tych o poglądach lewicowych, na co dzień atakujących katolickie tradycje i chrześcijańską kulturę. I dlatego bardzo mnie bawi, że wszyscy oni (w większości nieintencjonalnie) świętują rachubę czasu, który płynie od chwili narodzin... Chrystusa.

Anno Domini – „Roku Pańskiego" przecież. Ongiś rok zaczynał się od chwili przesilenia zimowego, dnia uznanego jako dzień narodzin Jezusa Chrystusa. Tak w cywilizacji zachodniej, wedle kalendarza juliańskiego, liczymy sobie kolejne lata. W historiografii PRL usiłowano zachachmęcić ten fakt, zamieść Chrystusa pod dywan, więc propagowano system oznaczeń lat zapisywany jako „p.n.e." („przed naszą erą") – co zastępowało zapis „przed Chr." („przed Chrystusem"). A przecież i tak przyjście Jezusa na świat rozdzielało czas na dwie części – przed i po.

Wracając więc do tego – zawsze mam ochotę zagadnąć bawiących się w noc sylwestrową ateistów w ten mniej więcej sposób: Czemuż to drodzy państwo czcicie kieliszkiem szampana kolejny jubileusz urodzenia Chrystusa? Czy nie możecie sztucznych ogni wypuszczać w niebo i liczyć czas, ot choćby ab urbe condita, od założenia miasta – jak to czynił Liwiusz? Nawiązalibyście wtedy do tradycji starożytnego Rzymu – bliższej wam, a same igrzyska ileż by dostarczyły zabawy (lwy i chrześcijanie na jednej arenie – podobałoby się!).

Albo czemu nie liczycie, jak niegdyś prawosławni, od początku świata, wliczając czas starotestamentowy? Tyle przecież możliwości datowania, obchodzenia rocznic i jubileuszy. Dlaczego nie świętujecie nowego roku według tradycji chińskiej. Rok Psa? Świni? Myszy? Szczura? Kojota? Zebry? Hipopotama? Anakondy?

Dlaczego wreszcie nie sięgniecie do kalendarza Azteków, Majów czy nawet dawnych sag nordyckich? Czemu nie liczycie czasu wedle rzymskich konsulów albo archontów greckich? Tylko ten wielki bal, tę ogromną imprezę na całym świecie urządzacie, by uczcić kolejny jubileusz związany z Chrystusem? Przypomnę wam, że ten obyczaj wprowadził (i to jest najzabawniejsze) sam papież!

Na koniec jednak, proszę – czyńcie tak dalej – a ja życzę wam Bożego błogosławieństwa na nowy rok. Nowy Rok Pański!

Bawół, Małpa i Kogut



Piotr Cywiński

Zaznaczę od razu, że nazwisk nie podam, a jedynie to, że chodzi o najważniejsze osoby w naszym kraju: Bawoła, Małpę i Koguta. Za skojarzenia nie odpowiadam. A rzecz będzie o tym, co nam zgotują w nadchodzącym roku, jako że od nich zależy w dużej mierze nasz zbiorowy los. Żeby nie było, że powodują mną sympatie polityczne, po wiedzę sięgnąłem do Chińczyków, bazując na dokładnych datach urodzenia tej trójki.

Wedle chińskiego kalendarza dobiega końca rok Bawołu, a rozpocznie się Tygrysa. Jedna z tych najważniejszych postaci, jeśli nie najważniejsza, urodziła się właśnie pod znakiem Bawołu. I niech ktoś zaprzeczy, że mijający rok nie przebiegł pod jej wpływem... W tym przyszłym będzie podobnie: ta „bardzo silna osoba ze skłonnością do zamykania się w sobie", ale „twardo stąpająca po ziemi, pragmatyczna, przystosowana do ciężkiej pracy", która „nie ma szacunku dla leniwych i niedbałych" i której „można zaufać, bo sama jest uczciwa, prawdomówna i skrupulatna w wypełnianiu przyjętych zobowiązań", gwarantuje nam „stabilność", co zapewne jednych ucieszy, a innych zmartwi. Aliści, jeśli Bawół „chce odnieść prawdziwy sukces także w roku Tygrysa, będzie musiał polegać na zaufanych przyjaciołach".

Czy będzie mógł liczyć na Małpę? Ta jest „utalentowana, ma przy tym niezwykłe szczęście" i – podług chińskiej prognozy astrologicznej – „będzie to dla niej naprawdę świetny rok", ale „sukcesy nie przyjdą same z siebie, to efekt wytrwałej pracy". Małpa jest „ambitna, jej przebiegłość pomaga ominąć wiele przeszkód, dzięki tym cechom zdoła obejść kilka pułapek zastawionych przez przeciwników, bo nie tylko ona i Bawół pragną zrealizować swoje cele.

Jest jeszcze Kogut, „uosobienie pewności siebie, który łatwo się irytuje, ma tendencję do wypowiadania swoich myśli, co nie zawsze daje pozytywne skutki i czasem lepiej by było, aby swe pomysły zachował dla siebie", który „lubi być w centrum uwagi, ma skłonność do przechwałek i nic go tak nie cieszy jak komplementy i wszystko, co luksusowe". Nie wiem, skąd ta antypatia Chińczyków do tej postaci. Jak wytykają, Kogut „nie lubi żyć w biedzie i, gdy nie ma wokół nikogo, kto mógłby go podziwiać", do czego dorzucają przestrogi, że ten „nie odstąpi w dążeniu do obranego celu", że „jeśli ktoś stanie mu na drodze, ostro zaatakuje" i w 2022 r. „uda mu się zrealizować część marzeń, które od dawna spędzały mu sen z powiek, co do tej pory wymykało mu się z rąk"...

Ot, chińska mądrość. Jak będzie – się okaże, najważniejsze jednak, abyśmy zdrowi byli dosłownie i w przenośni!

eprasa.pl efefd978f4

Michał Korsun prezentuje:
Co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie!



Wycinki z przeszłości

Rycina przedstawiającego chłopca potajemnie dopijającego szampana po uczcie rodziców pochodzi z „Tygodnika Narodowego" z 1913 r. W prasie z tego okresu znaleźliśmy też ciekawy przepis na „szampańskie wino owocowe".

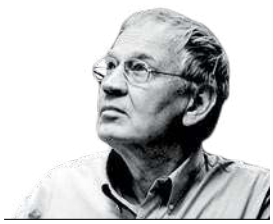
Oto on: „W gąsiorek nalać 7 kwart (litrów) wody i dosypać 3½ funta (1 funt = ok. 0,4–0,5 kg) świeżych opłukanych poziomek (lub truskawek, lub malin) i 3 kwaterki spirytusu. Zakorkować i odstawić na 14 dni na słońce lub przy piecu. Dnia 15-go przecedzić płyn przez cienkie płótno, a poziomek nie wyciskać, bo będzie mętne. Postawić na 3 dni w zimnem miejscu, poczem pozlewać w butelki od wina szampańskiego, lecz nie do pełna. Zakorkować, owiązać drutem i ułożyć w piwnicy na piasku. W przeciągu dwu tygodni zdatne do użycia, musuje jak szampan, a w leżącej pozycji może trwać do przyszłego roku bez zepsucia".



Na karnawał będzie jak znalazł! Jakby ktoś spróbował, prosimy o podesłanie butelki.

(mk)

Nowy rok i błękit



Leszek Długosz

Zaczynamy nowy rok! Ogłoszony Rokiem Romantyzmu Polskiego, w 200. rocznicę opublikowania „Ballad i romansów". Ucieszy się na swoim krakowskim pomniku autor tychże, poufale zwany „Adasiem", bo od lat krakusi właśnie „pod Adasiem" umawiają się na spotkania. Sąsiad mój serdeczny z czasów zamieszkiwania w Szarej Kamienicy, pół kroku od niego. A i z Brackiej mam niedaleko, wszak to wszystko moje podwórko.

Drugie podwórko, po tym pierwszym, z Zaklikowa, do którego często powracam myślami, jak – toutes proportions gardées – „Adaś" w wierszu opublikowanym 200 lat temu:

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
By się przypatrzyć jezioru.

Śwież tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszczą oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku wodom lice:
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna spod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklanne stropy
Aż do nóg twoich ugina;

Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu:
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga,
W jakiejś otchłani błękitu.

I tego błękitu życzmy sobie na nowy rok!

Zamów prenumeratę tygodnika SIECI z prezentem
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata
Masz pytania? NAPISZ: prenumerata@fratria.pl | ZADZWOŃ: 22 616 36 00
Autopromocja

eprasa.pl efefd978f4



OD A DO ZYBERTOWICZA

Trzy grosze do edukacji klimatycznej

Sądzę, iż to błędnie przez elity UE wytyczona polityka klimatyczna, narzucana przez kraje silniejsze tym słabszym, przyczyniła się do inflacji, z którą zmagają się kraje Unii

20 grudnia 2021 r. byłem na posiedzeniu prezydenckiej Rady ds. Młodzieży, której przewodniczy doradca Łukasz Rzepecki. Temat: „Młodzi a edukacja klimatyczna – wyzwania i potrzeby". Oprócz ludzi prezydenta Andrzej Dudy wystąpili przedstawiciele młodzieży (np. przewodnicząca Młodzieżowej Rady Klimatycznej i prezes zarządu United Nations Association Poland) oraz administracji rządowej (np. dyrektor Departamentu Edukacji i Komunikacji w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, dyrektor Departamentu Programów Nauczania i Podręczników z Ministerstwa Edukacji i Nauki).

Z strony młodych padło sporo rozsądnych postulatów, strona rządowa mówiła zaś o projektach edukacyjnych, które już są w toku. Wskazano m.in. na potrzebę odróżniania edukacji klimatycznej od edukacji ekologicznej.

W dyskusji zaproponowałem, by uwzględnić jeszcze inne, ważne rozróżnienie: by oddzielić zmiany klimatu od polityki klimatycznej.

Zmiany klimatu to zjawisko przyrodnicze – częściowo przebiegające pod wpływem nieroztropnej działalności człowieka. Z trudem, jednak udaje się uzyskiwać konsens badawczy co do charakteru i skutków tych zmian.

Polityka klimatyczna to zjawisko w pełni społeczne, wynikające z rozpoznania zmian klimatu. Zjawisko, które może być badane przez socjologię, politologię, prawo, a którym w pierwszej kolejności zajmują się aparat urzędniczy i biznes. Choć polityka klimatyczna opiera się na ustaleniach nauk przyrodniczych eksplorujących ekosystem Ziemi, to budowana jest – jak wszystkie inne polityki – pod wpływem grup interesów, podlega rozmaitym naciskom, ma swoje aspekty zakulisowe, finansowe, kulturowe itd.

Sądzę, iż to błędnie przez elity UE wytyczona polityka klimatyczna (w tym system handlu uprawnieniami do emisji), narzucana przez kraje silniejsze tym słabszym, przyczyniła się do inflacji, z którą zmagają się kraje Unii. Wzrost cen energii nastąpił z powodu jej deficytu. Deficyt ten pojawił się, moim zdaniem, z błędnego, *zbyt wczesnego* odchodzenia niektórych gospodarek od tradycyjnych źródeł energii, takich jak węgiel.

W ostatnim okresie Europa doświadczyła mniejszego (mówi się o skali kilkunastu procent) nasłonecznienia oraz ilości wiatru niż w latach poprzednich. Spowodowało to, że wkład OZE (odnawialnych źródeł energii) w tzw. miks energetyczny, czyli całość energii pozyskiwanej z różnych zasobów, istotnie spadł. OZE są niestabilne? Cały czas brakuje technologii magazynowania energii pochodzącej z wiatru i słońca. Gdy turbiny wiatrowe i fotowoltaika dostarczają tej energii więcej, niż sieć elektroenergetyczna może przyjąć, nie jest ona magazynowana, lecz się marnuje.

Gdy przedsiębiorcy dzięki tarczom antycovidowym, które wpompowały w gospodarki miliardy euro, chcą szybko nadrobić lockdownowe zaległości, powstaje zwiększone zapotrzebowanie na energię, które w niesprzyjających okolicznościach przyrody – mało słońca i/lub wiatru – nie może być w pełni zaspokojone.

Słowem, władcy UE wybrali zły timing realizacji transformacji energetycznej. Wymusili zbyt szybkie przechodzenie na zieloną energię – nie czekając na rozwinięcie technologii magazynowania energii pochodzącej z OZE. Chcąc nie chcąc, wepchnęli nas wszystkich w inflacyjne tarapaty. Ta proekologiczna gorliwość u niektórych polityków wynikła pewnie z uległości wobec lobbingu grup interesów (np. producentów technologii OZE), u innych z bezkrytycznego ulegania nowej klimatycznej *religii*.

Wróćmy do wątku edukacyjnego. Nauki społeczne opisują swój przedmiot badania znacznie mniej precyzyjnie, niż czynią to nauki eksplorujące przyrodę. Edukacja klimatyczna – choć wcale nie prosta – wydaje się zadaniem dającym się szybko wykonać. O wiele trudniejsze jest zadanie przekazania młodemu pokoleniu wiarygodnej, ideologicznie niespaczonej wiedzy o *polityce* klimatycznej. O jej meandrach, zakłóceniach, założeniach, racjach i mistyfikacjach.

Zatem do zadań na rok 2022 trzeba dopisać program edukacji ukazującej faktyczne mechanizmy polityki klimatycznej.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 22/0721/F

eprasa.pl efefd978f4

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

Książka o sile nadziei czerpanej z wiary w przyjście Chrystusa. Inspiruje do refleksji nad życiem, pozwala spojrzeć w przyszłość z nadzieją i optymizmem



100 książek w prezencie

268 STRON | POWAŻNY TEMAT | NAPISANA LEKKO I Z HUMOREM | IMPRIMATUR

Fot. Shutterstock



Książkę **„Siła nadziei”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **280 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl efefd978f4



KAROLINA BOSIEK - ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

SPONSORZY I PARTNERZY PKOI I POLSKIEJ REPREZENTACJI OLIMPIJSKIEJ

POLSKA

ORLEN — Sponsor Strategiczny
LOTTO — Sponsor Generalny
Enea — Sponsor
4F — Sponsor Kolekcji Olimpijskiej
GRUPA LUXMED — Główny Partner Medyczny
LOT — Oficjalny Przewoźnik
TVP — Główny Partner Medialny
EUROSPORT — Oficjalny Partner Medialny
WP, POLSKIE RADIO, RZECZPOSPOLITA — Partnerzy Medialni PKOl
Deloitte. — Partnerzy PKOl
Kinder Joy of moving — Partner Młodzieżowej Reprezentacji

eprasa.pl efefd978f4